

A woman with long brown hair, wearing a vibrant red coat and black boots, is walking away from the camera through a series of tall, classical stone columns. The ground is paved with a black and white checkered pattern. In the background, a city street with buildings is visible. The overall scene is dramatic and evocative.

MARY HIGGINS CLARK

Wraz
z upływem
czasu...

Prószyński i S-ka

Polecamy:

MARY HIGGINS CLARK

Dwa słodkie aniołki

Słyszałem już tę śpiewkę

Weź moje serce

Dziedziczka

Gdzie teraz jesteś

Zaginiony rękopis

Śladami zbrodni

Gdybyś wiedziała

Morderstwo Kopciuszka

Melodia dalej brzmi

W świetlistej mgle

MARY HIGGINS CLARK

Wraz z upływem czasu

Przełożyła
Zuzanna Maj

Prószyński i S-ka

Dla nowożeńców,

dr. Jamesa i Courtney Clark Morrison,

z miłością

Prolog

Pierwszy krzyk noworodka był tak przeraźliwy, że obie pary, które czekały przed prymitywną salką porodową akuszerki Cory Banks, gwałtownie zaczerpnęły powietrza. W oczach Jamesa i Jennifer Wrightów lśniła radość. Natomiast na twarzach Rose i Martina Ryanów widać było uczucie ulgi oraz pewnej rezygnacji. Ich siedemnastoletnia córka właśnie urodziła dziecko.

Znali się jako państwo Smith i państwo Jones i wcale nie pragnęli poznać swojej prawdziwej tożsamości. Minęło piętnaście minut, a oni wciąż niecierpliwie czekali, by móc zobaczyć noworodka.

Była nim ważąca przeszło trzy kilogramy dziewczynka z poskręcanyimi w pierścionki czarnymi włoskami i bardzo jasną cerą. Po chwili dziecko otworzyło oczy, były duże, o głębokim odcieniu brązu. Jennifer Wright wyciągnęła po nią rękę.

– Wydaje mi się, że mamy jeszcze coś do załatwienia – odezwała się akuszerka z uśmiechem.

James Wright otworzył małą walizeczkę.

– Sześćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział. – Proszę przeliczyć.

Matką noworodka była siedemnastolatka, która zaszła w ciążę podczas balu maturalnego, a rodzice chcieli zachować to w tajemnicy. Powiedzieli krewnym, iż jest zbyt młoda, żeby iść do college'u, i tymczasem będzie pracować u ciotki, która ma butik w Milwaukee. Osiemnastoletni chłopak, ojciec dziecka, rozpoczął studia całkowicie nieświadomy zaistniałej sytuacji.

– Czterdzieści tysięcy dolarów na naukę w college'u dla młodej matki. – Cora przeliczyła pieniądze i wręczyła tę sumę rodzicom dziewczyny.

Nadal trzymała niemowlę w swoich grubych rękach, nie dodała, że pozostałe dwadzieścia tysięcy dolarów to jej wynagrodzenie za świadczone usługi.

Dziadkowie noworodka przyjęli pieniądze w milczeniu.

– Jestem taka szczęśliwa – szepnęła Jennifer Wright, wyciągając po dziecko ramiona.

– W akcie urodzenia będą wasze nazwiska – oznajmiła Cora.

Na jej pospolitej, okrągłej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Chociaż miała dopiero czterdziestkę, wyglądała przynajmniej o dziesięć lat starzej.

– Za parę godzin będziecie mogli zabrać córkę do domu – poinformowała rodziców młodej matki.

W salce porodowej siedemnastolatka usiłowała wybudzić się ze zbyt silnej narkozy. Jeszcze czuła dotyk niemowlęcia, które trzymała w ramionach kilka minut po porodzie. Wszystko w niej krzyczało: Chcę ją mieć, chcę ją mieć, nie

oddawajcie mojego dziecka, potrafię się nią zaopiekować...

Po dwóch godzinach siedziała skulona na tylnym siedzeniu samochodu rodziców, w drodze do pobliskiego motelu.

Rano wracała samotnie samolotem do Milwaukee.

1

A teraz czas na reklamy – szepnęła Delaney Wright do drugiego prezentera popołudniowych wiadomości WRL. – Jak zwykle, są niesłychanie fascynujące.

– Ale to dzięki nim dostajemy wynagrodzenie – przypomniał jej z uśmiechem Don Brown.

– Wiem, i chwala im za to – powiedziała wesoło Delaney, patrząc w lustro, żeby sprawdzić swój wygląd.

Nie była pewna, czy ciemnoczerwona, wpadająca w fiolet bluzka, którą przygotowała dla niej garderobiana, pasowała do jej jasnej cery, współgrała jednak z długimi do ramion czarnymi włosami. Natomiast jej ulubiona wizażystka, Iris, umiejętnie zaakcentowała ciemnobrązowe oczy i długie rzęsy presenterki.

Reżyser rozpoczął odliczanie. „Dziesięć, dziewięć... trzy, dwa”. Kiedy powiedział „jeden”, Delaney zaczęła czytać:

„Jutro rano w sądzie hrabstwa Bergen, w Hackensack w stanie New Jersey, rozpoczyna się wybór ławy przysięgłych do procesu byłej nauczycielki szkoły średniej, Betsy Grant. Jest oskarżona o zamordowanie swojego bogatego męża, doktora Edwarda Granta, który zginął w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Chorował na alzheimera. Betsy Grant twierdzi stanowczo, że jest niewinna. Natomiast prokurator utrzymuje, że nie chciało się jej już dłużej czekać na śmierć męża. Ona i syn Granta są współspadkobiercami majątku ocenianego na przeszło piętnaście milionów dolarów”.

„Teraz mamy dla was szczęśliwą historię – zaczął Don Brown. – Uwielbiamy przekazywać dobre wiadomości”. Na ekranie pojawił się film. Było to spotkanie trzydziestoletniego mężczyzny z biologiczną matką. „Szukaliśmy się przez dziesięć lat – mówił z uśmiechem Matthew Trainor. – Miałem przecucie, że ona mnie woła. Musiałem ją znaleźć”.

Obejmował kręłą kobietę około pięćdziesiątki. Jej miłą twarz okalały kręcone włosy, a w piwnych oczach błyszczały łzy. „Miałam dziewiętnaście lat, kiedy urodziłam Charlesa. – Przerwała i spojrzała na syna. – W myślach zawsze nazywałam go Charlesem. W dniu jego urodzin kupowałam zabawki i przekazywałam je dla ubogich dzieci”. Po czym dodała drżącym głosem: „Podoba mi się imię, jakie dali mu adopcyjni rodzice. Matthew oznacza dar Boga...”.

Pod koniec filmu Matthew wyznał: „Odkąd pamiętam, odczuwałem taką potrzebę. Musiałem wiedzieć, kim są moi biologiczni rodzice, a szczególnie matka”.

Kiedy przytulił ją do siebie, Doris Murray zaczęła płakać. „Trudno ująć w słowach, jak bardzo tęskniłam za swoim synem”.

– Jaka radosna historia, prawda, Delaney? – spytał Don Brown.

Tylko skinęła głową. Czuła ściskanie w gardle i bała się, że wybuchnie płaczem.

Don czekał chwilę na jej odpowiedź. Na jego twarzy widać było zdziwienie.

– Teraz posłuchajmy, jakie wiadomości mają dla nas meteorolodzy – powiedział po chwili.

Delaney odezwała się dopiero po zakończeniu programu.

– Don, bardzo cię przepraszam. Tak się wzruszyłam tą historią, że trudno mi było się opanować. Myślałam, że rozplaczę się jak ta matka.

– Zobaczmy, czy po pół roku jeszcze będą ze sobą rozmawiać – rzucił Don cierpko, odsuwając swoje krzesło. – To tyle na dzisiaj.

W sąsiadującym studio, za szklaną szybą, siedział prezenter międzynarodowych wiadomości, Richard Kramer, który był właśnie na antenie. Delaney wiedziała, że Don chciałby zająć miejsce Kramera, kiedy ten przejdzie na emeryturę. Wstała z krzesła i wyszła ze studia. Poszła do swojego pokoju, zdjęła czerwoną bluzkę i włożyła podkoszulek na ramiączkach. Tego dnia zastępowała chorą prezenterkę Stephanie Lewis. Delaney cieszyła się, że mogła dzisiaj mówić o procesie Betsy Grant. Sprawa zapowiada się niezwykle ciekawie.

Cieszyła się nadejściem jesieni, choć bardzo lubiła lato. Po Labor Day1 Manhattan nabiera nowego życia. Zdała sobie sprawę, że stara się uciec myślami od gnębiącego ją problemu. Program o adopcji zburzył mur, jaki wokół siebie budowała, by ten temat przestał ją prześladować.

Musi odnaleźć swoją biologiczną matkę. James i Jennifer Wrightowie adoptowali ją kilka godzin po urodzeniu i ich nazwiska znajdowały się na metryce. Poród przyjmowała akuszerka. Nie żyła już kobieta, która zaaranżowała adopcję. Nazwisko akuszerki nie było znane. Jako miejsce urodzenia podano Filadelfię.

Sprawa wyglądała beznadziejnie. Jednak Delaney właściwie już podjęła decyzję. Słyszała o emerytowanym detektywie specjalizującym się w odnajdywaniu ludzi, którzy wydają się nie do odnalezienia. Właśnie tak jak w jej przypadku. Rozmyślając o tym, szła do odległego o półtora kilometra domu.

Na 54 Ulicy skręciła na wschód. Mieszkała w starym budynku, obok tego, gdzie niegdyś przebywała Greta Garbo, legenda kina z lat trzydziestych. Pod koniec męczącego dnia w studio Delaney często powtarzała sobie słynne powiedzenie Garbo: „Chcę być sama”.

Danny, stale uśmiechnięty portier, otworzył jej drzwi. Miała ładne, trzypokojowe mieszkanie, jednak nie wytrzymało ono porównania z dużym, pięknym domem w Oyster Bay na Long Island, gdzie się wychowała. Odłożyła torebkę, wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej Perrier i usiadła w wygodnym fotelu, opierając nogi na podnóżku.

Na stole stała duża rodzinna fotografia, zrobiona, kiedy Delaney miała trzy

lata. Siedziała u matki na kolanach, tuż obok ojca. Jej trzech bracia stali za rodzicami. Czarne kręcone włosy dziewczynki i ciemnobrązowe oczy wyraźnie zaburzały harmonię tak zwanej rodzinnej fotografii. Wszyscy inni mieli rudawe blond włosy i jasnoniebieskie lub jasnoorzechowe oczy.

To było bardzo wyraźne wspomnienie. Na widok fotografii mała Delaney zaczęła płakać. „Dlaczego nie wyglądam tak jak wy?” – zawodziła. Dowiedziała się wtedy, że jest adoptowana. Nie powiedziano tego wprost, ale rodzice wytłumaczyli jej, że bardzo chcieli mieć córeczkę i dlatego jeszcze jako niemowlę dołączyła do ich rodziny.

W zeszłym miesiącu odbyło się w Oyster Bay wielkie rodzinne spotkanie z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin matki. Jim przyjechał z Cleveland, Larry z San Francisco, a Richard z Chicago, wszyscy z żonami i dziećmi. To były szczęśliwe chwile. Rodzice przeprowadzali się na Florydę. Rozdawali meble i niepotrzebne im przedmioty, Delaney i jej bracia mogli sobie wybrać, co chcieli. Wzięła więc kilka przedmiotów.

Przyglądała się rodzinnej fotografii, usiłując wyobrazić sobie matkę, której nigdy nie poznała. Czy jestem podobna do ciebie?, zastanawiała się.

Zadzwonął telefon. Przewróciła oczami, ale odebrała, widząc, kto dzwoni. To był Carl Ferro, producent popołudniowego programu. „Stephanie przeszła do *NOW News* – oznajmił entuzjastycznie. – Wszyscy jesteśmy podekscytowani. Ostatnio była już prawdziwym – zamilkł na chwilę – utrapieniem. Wydawało się jej, że jest mądrzejsza od Kathleen”. Kathleen Gerald była realizatorką *Wiadomości*. „Jej rezygnacja nadejdzie już rano. Zostałaś nową współprezenterką Dona Browna. Gratulacje”.

Delaney gwałtownie złapała oddech. „Carl, jestem zachwycona, cóż innego mogłabym powiedzieć? – Po chwili dodała: – Żałuję tylko, że nie będę relacjonować procesu Grant”.

„Nadal chcemy, żebyś to robiła. Do końca procesu będziemy prowadzić rotację wśród współprezenterów. Jesteś wspaniałą reporterką. Taki proces to dla ciebie idealny temat”.

„Nie wyobrażałam sobie niczego lepszego, Carl. Wielkie dzięki” – zawołała Delaney.

Kiedy odłożyła telefon, ogarnął ją niepokój. Przypomniała sobie słowa niani, Bridget O’Keefe, która mówiła: „Gdy jest zbyt dobrze, kłopoty czają się za rogiem”.

1 Święto Pracy, obchodzone w Stanach Zjednoczonych w pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.).

Willy, ja naprawdę muszę podjąć jakiś nowy projekt – powiedziała Alvira. Jedli śniadanie w swoim apartamencie przy Central Park South. Właśnie pili drugą filiżankę kawy i był to jej ulubiony moment rozpoczynania rozmowy. Mąż doczytał już „Post” do kolumny sportowej, czyli najbardziej go interesującej.

Z westchnieniem odłożył dziennik i spojrzał na swoją nadal ukochaną żonę po czterdziestu trzech latach małżeństwa. Z grzywą siwych włosów, pobrużdżoną twarzą i intensywnie niebieskimi oczami przypominał swoim starszym przyjaciołom Tipa O’Neilla, legendarnego przewodniczącego Izby Reprezentantów.

– Widzę, kochanie, że jesteś trochę zdenerwowana – odezwał się uspokajającym tonem.

– Masz rację. – Alvira sięgnęła po drugi kawałek ciasta. – Ostatnio nie było nic ciekawego do roboty. Wycieczka statkiem po Sekwanie była wspaniała. Podobnie jak odwiedziny w ostatnim mieszkaniu van Gogha. To wszystko sprawiło mi wielką radość. Jednak miło jest być znów w domu.

– Willy – wyglądała przez okno na Central Park – mamy szczęście, że możemy tu mieszkać. Przypomnij sobie tylko naszą kawalerkę w Queens. Nie było tam okna w kuchni.

Doskonale to pamiętał. Pracował wtedy jako hydraulik, a Alvira była sprzątaczką. Kiedy pewnego wieczoru moczyła zmęczone stopy w wodzie z dodatkiem soli, w telewizji podano zwycięski numer losu na loterię. Dopiero po dwukrotnym sprawdzeniu biletu dotarło do Willy’ego, że wygrali czterdzieści milionów dolarów.

Zdecydowali się na odbiór wygranej w dorocznych ratach i zawsze odkładali połowę tej sumy. Kupili apartament przy Central Park South, zachowali jednak swoje stare mieszkanie w Queens na wypadek, gdyby rząd nie był w stanie kontynuować wypłat.

Potem redaktor z „Daily Standard” przeprowadził wywiad z Alvira. Zwierzyła mu się, że zawsze chciała pojechać do Cypress Point Spa w Kalifornii. zaproponował, by po powrocie napisała o tym artykuł. Dał jej broszkę z ukrytym mikrofonem, żeby mogła nagrywać przeprowadzane rozmowy. Wyjaśnił, że pomoże to przy pisaniu artykułu. Tymczasem mikrofon umożliwił zdemaskowanie przebywającego w spa mordercy. Od tamtego czasu Alvira dzięki swojej broszce rozwiązała wiele zagadek kryminalnych.

– Nie mogę się już doczekać jutrzejszego spotkania z Delaney – powiedziała.
– Ma szczęście, będzie relacjonować proces Betsy Grant.

- Tej, która zabiła swojego męża?
- Nie, Willy. Tej, która jest oskarżona o zabicie męża.
- Hm, choć niewiele o tym czytałem, powiedziałbym, że to prosta i oczywista sprawa.
- Tak wygląda. Jednak ja zawsze chcę mieć otwarty umysł...
- To otwórz umysł na fakt, że jest winna – odparł z uśmiechem Willy.

3

Około dwudziestu kilometrów dalej w swojej dziesięciopokojowej rezydencji w Alpine w stanie New Jersey Betsy Grant przygotowywała sobie drugą filiżankę kawy i zamyślona wyglądała przez okno w kuchni. Bezwiednie dotarły do niej sygnały, że jest początek września i rosnące za oknem wiązy nabierają żółtej barwy.

Dzięki tak wielkiemu oknu „czujesz jedność z przyrodą”, powiedział przesadnie rozentuzjasmowany agent nieruchomości, gdy pokazywał im dom dwanaście lat temu.

Po kolejnej nieprzespanej nocy to wspomnienie było nadal żywe, podobnie jak ciepły wzrok Teda, czekającego na jej reakcję. Widziała, że chciał kupić ten dom. Co tu mogłoby mi się nie podobać?, zadała sobie pytanie. Byłam w nim tak bardzo zakochana, że odpowiadał mi każdy jego wybór. Nie podobało mi się tylko to, że poprzedni właściciel chciał sprzedać dom po obniżonej cenie z powodu bankructwa swojej firmy. Nie chciałam korzystać z cudzego nieszczęścia. Ale dom jest naprawdę piękny, pomyślała.

Z filiżanką kawy w ręku poszła na górę. Po śmierci Teda znów spała w głównej sypialni. Przeszła przez salon, gdzie wspólnie spędzili wiele szczęśliwych chwil. Jesienią i zimą często rozpalali w kominku, oglądali ulubione programy telewizyjne lub czytali.

Kiedy Ted miał pięćdziesiąt jeden lat, dotknęła ich nieoczekiwana tragedia – pojawiły się oznaki choroby Alzheimera. Musiała odciąć mężowi dostęp do schodów, by nie wychylał się poza balustradę, i przekształcić bibliotekę na parterze w sypialnię dla niego. Sypiała w małym pokoiku obok, lecz przekazała go później całodobowej opiekunce, a sama przeniosła się do pokoju gościnnego z łazienką, również na parterze.

Takie myśli kłębiły się w głowie Betsy, kiedy postawiła kawę koło umywalki i włączyła prysznic.

Jej adwokat, Robert Maynard, miał się pojawić za godzinę. Po co on przychodzi, pomyślała z niechęcią Betsy. Dobrze wiem, co mi powie. Jestem pewna, czego się mogę spodziewać. Zdejmując szlafrok i koszulę nocną, przypomniała sobie tę straszną chwilę, kiedy usłyszała od Maynarda, że wielka ława przysięgłych oskarżyła ją o morderstwo. Zdjęcie policyjne, odciski palców, postawienie w stan oskarżenia, przekazanie kaucji – te wspomnienia stale ją prześladowały i nie mogła się ich pozbyć. Po prysznicu podpiała grzebieniem długie jasnokasztanowe włosy, pomalowała rzęsy i przeciągnęła wargi szminką. Według prognozy pogody dzień miał być chłodny. Wyjęła więc z szafy

ciemnozieloną kaszmirową koszulę z długimi rękawami i brązowe spodnie. Wszystkie ubrania dobrze leżały na jej szczupłej figurze. Od czterech miesięcy nie ubierała się już na czarno, od kiedy jeden z dziennikarzy napisał, że morderczyni Edwarda Granta paraduje we wdowich szatach. Nosiła jednak rzeczy wyłącznie w ciemnych kolorach, nawet w domu.

Przed wyjściem z pokoju uważnie rozejrzała się dokoła. To weszło jej w zwyczaj. Czasami w nocy Tedowi udawało się przedostać przez zablokowane wejście na schody i pojawić na górze.

Łatwo się było domyślić, kiedy tak się zdarzało, ponieważ cała zawartość szuflad komód i nocnych stolików była wyrzucona na podłogę. Chyba czegoś szukał, uznała później Betsy. Z łatwością doprowadzała wszystko do porządku razem z Carmen, dzienną pomocą domową. Bolało ją tylko zniknięcie pięknej bransoletki z brylantów i szmaragdów, którą dostała od Teda na pierwszą rocznicę ślubu. Widocznie zapamiętał kod do sejfu i udało mu się wyjąć z niego bransoletkę. Wciąż miała nadzieję, że ona lub Carmen znajdą ją któregoś dnia, choć było całkiem możliwe, że Ted mógł wyrzucić drobiazg do śmieci.

Chciała posłać łóżko, wiedziała jednak, że za chwilę pojawi się Carmen. „Proszę to zostawić, pani Betsy. Od tego ja tutaj jestem” – zawsze mówiła. Jednak po wielu latach wspólnego mieszkania z matką, która utrzymywała dom w nieskazitelnej czystości, Betsy nie potrafiłaby nawet zostawić talerza w zlewie czy też szlafroka na krześle.

Westchnęła głęboko i zeszła na dół w chwili, kiedy do domu wchodziła Carmen. Po półgodzinie dźwięk dzwonka oznajmił przybycie Roberta Maynarda.

Alan Grant, syn nieżyjącego „Teda” Granta, patrzył na swoją byłą żonę Carly, starając się, by odczuwana przez niego wściekłość nie odbiła się na twarzy. Ich czteroletni syn i dwuletnia córka wyczuli panujące napięcie i uciekli do swojej sypialni.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć – zaczęła ze złością, wskazując na dzieci – jak mam im zapewnić dach nad głową, jeśli zostanę stąd wyrzucona?

Była tancerką, ale jej kariera na Broadwayu dobiegła końca, kiedy została potrącona przez kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku. Teraz uderzająco piękna twarz Carly naznaczona była cierpieniem, spowodowanym bólem pleców, pamiątką po wypadku, oraz bezustannymi kłopotami finansowymi.

Jej były mąż nie znalazł na to odpowiedzi. Podniósł tylko głos, by wykrzyknąć coś na swoją obronę.

– Dobrze wiesz, że po zakończeniu procesu będę mógł podjąć pieniądze ojca. A dostanę ich mnóstwo. Betsy pójdzie do więzienia, co znaczy, że połowa majątku, jaki jej zostawił, przejdzie na mnie. Masz bogatych przyjaciół. Niech ci pożyczą pieniądze. Zapłać im odsetki.

Wyjął portfel z kieszeni i rzucił kartę kredytową na stół.

– Dzięki fotografowaniu domów w Atlancie ta jest w porządku. Używaj jej do kupowania żywności, a do trzydziestego będą pieniądze na czynsz.

Nie myśląc o pożegnaniu się z dziećmi, wyszedł z czteropokojowego mieszkania na West 89th Street na Manhattanie, opuścił budynek i szybkim krokiem skierował się do centrum.

W wieku trzydziestu pięciu lat był bardzo podobny do swojego nieżyjącego ojca, co często podkreślały media. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, rudawobrązowe włosy i piwne oczy. Wyglądał na absolwenta jednego z najlepszych uniwersytetów, człowieka uprzywilejowanego już od chwili urodzenia.

To wszystko wina Betsy, pomyślał. Przecież mieli zawsze tak dobre stosunki, a jednak namówiła ojca, żeby przestał wypisywać mu czeki na każde żądanie i wypłacał jedynie roczny zasiłek. „Alan jest świetnym fotografem – argumentowała. – Gdyby przestał odgrywać playboya i ustatkował się, mógłby dobrze zarabiać na życie”.

Ojciec przestał płacić jego rachunki i ograniczył swoją pomoc do jednego czeku w wysokości stu tysięcy dolarów na każde Boże Narodzenie. To jednak nie wystarczało na jego potrzeby, na utrzymanie byłej żony z dwójką ich dzieci oraz dziesięcioletniego syna z poprzedniego związku.

Idąc, powoli się uspokajał. To tylko kwestia czasu, tłumaczył sobie. Niemożliwe, by ława przysięgłych uniewinniła Betsy. Dodatkowym obciążeniem okazał się fakt, że przez dwa lata, jeszcze przed śmiercią jego ojca, spotykała się w tajemnicy z jakimś mężczyzną. Wszystko wyszło na jaw, a tym mężczyzną okazał się doktor Peter Benson, dziekan Wydziału Humanistyki na Franklin University w Filadelfii. Alan był już bardzo tym wszystkim znużony, wierzył jednak, że wkrótce kłopoty się skończą. To on dostanie pieniądze, a Betsy nie odziedziczy ani centa. Musi być tylko cierpliwy.

Nie miał ochoty fotografować wiosennej kolekcji dla niedawno założonej nowej firmy designerskiej, jednak musiał wykonać to zlecenie.

Idąc Central Park West na Columbus Circle, uśmiechnął się z zadowoleniem na wspomnienie wieczoru, kiedy ojciec zaatakował Betsy. Zebrali się w dniu urodzin cierpiącego na demencję Teda, czyniąc daremne wysiłki, by uczcić ten dzień. Wszyscy usłyszeli wtedy jej pełen rozpaczony okrzyk: „Dłużej tego nie zniosę”. Tej samej nocy ojciec został zamordowany. W domu była z nim tylko Betsy.

Kiedy zostanie skazana, nie będzie mogła dziedziczyć. Wówczas każdy zostawiony przez ojca cent przypadnie mnie.

Potem starał się odpędzić od siebie natrętnie powracającą myśl, że wskutek silnego uderzenia w tył głowy czaszka jego ojca popękała.

5

Jeszcze przed śniadaniem doktor Scott Clifton zebrał poranne gazety ze stopni swojego domu w Ridgewood w stanie New Jersey. Clifton miał pięćdziesiąt siedem lat, był masywnym mężczyzną o atletycznej budowie, miał opaloną twarz i gęste, choć z lekka siwiejące, blond włosy. Wraz ze zbliżającym się dniem procesu spodziewał się sensacyjnych nagłówków gazet.

Przez dwadzieścia lat Scott, Ted i doktor Kent Adams odnosili wspólnie sukcesy na polu praktyki ortopedycznej. Osiem lat temu Ted zachorował na alzheimera. Wtedy Scott i Kent zaczęli prowadzić oddzielne gabinety. Jednak praktyka chirurgiczna Scotta bardzo ucierpiała na skutek nieobecności Kenta.

Lisa rzadko schodziła, by zjeść z nim śniadanie. Nie dlatego, że długo spała, ale on wcześniej wychodził do pracy i o ósmej nigdy nie było go już w domu. Sam robił sobie kawę i płatki.

Jednak dzisiaj pojawiła się nieoczekiwanie w kuchni.

– O co ci chodzi? – spytał.

– W nocy rzuciłaś się na łóżku. Powtarzałaś imię Teda. Wiem, że ten proces nie daje ci spokoju – powiedziała po chwili wahania.

– To oczywiste. Przepraszam, jeśli nie możesz się przeze mnie wyspać.

– Nie o to chodzi. Po prostu martwię się o ciebie. – Z trudem powstrzymywała łzy. – Bez względu na to, co powiem, zawsze reagujesz złością – dodała spokojnie.

Scott nie odezwał się. Wiedział, że jego trwające trzy lata małżeństwo było pomyłką.

Ożenił się z nią, zanim na jego papierach rozwodowych zdążył wyschnąć atrament. Teraz miał troje dzieci w college'u i była żoną, która często dzwoniła z prośbą o pomoc, bo brakowało jej pieniędzy. A on, oczywiście, pomagał. Oboje dobrze wiedzieli, że tak się stanie.

Lisa, młodsza od Scotta o dwadzieścia lat, przedstawicielka handlowa firmy farmaceutycznej, pojawiała się czasem w jego biurze. Przeważnie nie miał czasu na takie rozmowy i zostawiał te sprawy pielęgniarce. Jednak dla Lisy znalazł czas. Była przedtem cheerleaderką na ważnych meczach koszykówki. Miała wspaniały uśmiech i wspaniałe ciało.

Nie wziął jednak pod uwagę faktu, że kiedy przeminie początkowe zauroczenie, okaże się, że nie jest mu do niczego potrzebna.

Mimo to ostatnią rzeczą, której by pragnął, byłoby pozbycie się Lisy właśnie teraz. Nie mógł dopuścić do tego, by została ujawniona jego sytuacja finansowa.

Wytrzyma z nią do zakończenia procesu, kiedy się wszystko uspokoi.

Zastanawiał się, czy ona czegoś nie podejrzewa.

Lisa trzymała w obu rękach kubek kawy. Zrobiła go na zamówienie. Była tam jego fotografia i napisy „Kocham Cię Scott” pod każdym możliwym kątem. Ten kubek doprowadzał go do szaleństwa.

– Scott – odezwała się niepewnym tonem.

Płakała.

– Scott, oboje wiemy, że nasze małżeństwo nie jest udane. Masz romans?

– Oczywiście, że nie. – Popatrzył na nią zdumiony.

– Nie do końca ci wierzę, uważam jednak, że lepiej będzie się rozstać. Chcę w przyszłym tygodniu spotkać się z adwokatem, by rozpocząć postępowanie rozwodowe.

Nie mogę do tego dopuścić, pomyślał z przerażeniem.

– Posłuchaj mnie, Liso. Wiem, że byłem szorstki i nie poświęcałem ci czasu, ale to nie znaczy, że cię nie kocham. Nie chcę cię stracić. Śmierć Teda i postawienie Betsy w stan oskarżenia fatalnie odbiły się na mojej praktyce. Tylko o to chodzi.

Nie patrzyła mężowi w oczy. Nie wierzyła mu. Była przekonana, że ma romans, miała jednak nadzieję na pojednanie.

– Pójdiesz ze mną do doradcy małżeńskiego? – spytała.

Dobry Boże, doradca małżeński, pomyślał Scott.

– Oczywiście, kochanie, oczywiście – odparł z wymuszonym entuzjazmem.

Delaney i Alvirah nigdy nie traciły pewności siebie. W poprzednim roku bardzo się zaprzyjaźniły, kiedy wspólnie relacjonowały na antenie proces biologicznej matki, której udało się odnaleźć rodzinę adopcyjną swojego dziecka i je wykraść. Sędzia współczuł biologicznej matce, ale jednocześnie przypomniał, że zrzekła się praw rodzicielskich, mając już dwadzieścia pięć lat, mogła więc utrzymać dziecko, a ponadto ukrywając je przez dwa miesiące, stała się przyczyną cudzego cierpienia.

Wówczas Delaney zwierzyła się przyjaciółce, że ona też jest adoptowana, o czym prawie nigdy nie mówiła. Kilkakrotnie poruszała ten temat z przybranymi rodzicami, ale sprawiało to im wielką przykrość. „Córeczko, ja trzymałam cię w ramionach w dwadzieścia minut po twoim urodzeniu – mówiła Jennifer Wright ze łzami w oczach. – Czekałam na ciebie od wielu lat. Wyobrażałam sobie małą dziewczynkę z trzema dużymi braćmi, którzy zawsze będą przy niej, gdyby zabrakło mnie i twojego ojca”.

I rzeczywiście byli. Oni wszyscy. Miała wielkie szczęście, wychowywała się w kochającej, zżytej ze sobą rodzinie. Ale teraz rodzina się rozproszyła. Może dlatego Delaney odczuwała silną potrzebę odnalezienia swojej biologicznej matki. Rodzice adopcyjni przenieśli się do Naples, na Florydę, poszukiwania więc nie nosiły już znamion zdrady.

Temat powrócił podczas rozmowy przy wspólnej kolacji z Alvirah i Willym we włoskiej restauracji u Patsy przy West 56th Street.

– Alvirah – odezwała się Delaney po chwili wahania – mówiłam już tobie i Willy’emu, że zostałam adoptowana.

Oboje skinęli głowami.

– Pamiętam, co wiele lat temu napisał dziennikarz Bob Considine: „Mam czworo dzieci. Dwoje jest adoptowanych. Zapominam, które to z nich”. Moi rodzice żartowali, że jestem inna z powodu podobieństwa do babci ojca. Była Włoszką.

– Musiała być piękną kobietą – zauważył Willy znad swojej sałaty.

– Jesteś kochany. – Delaney się uśmiechnęła. – Mam jednak tak silną potrzebę poznania swoich korzeni, swojej rodziny, że chciało mi się płakać, kiedy przekazywaliśmy wczorajsze wiadomości.

– Oglądałam je – wtrąciła Alvirah. – To było spotkanie biologicznej matki ze swoim synem.

– Tak. Kiedy syn powiedział, że musiał odnaleźć swoją biologiczną matkę, tak ścisnęło mnie w gardle, że zapomniałam swojej kwestii. Sytuację uratował

Don, przechodząc do kolejnego tematu.

– Pomyślałaś o Facebooku? – spytała Alvira, by natychmiast odpowiedzieć sobie na to pytanie. – Ale wtedy dowiedziałaby się o tym twoja rodzina.

– Oczywiście. Żona mojego brata Jima stale korzysta z Facebooka. Przynajmniej trzy razy w tygodniu zamieszcza zdjęcia swoich dzieci.

Delaney była bliska płaczu. Przyjaciółka natychmiast to zauważyła.

– Znasz jakieś okoliczności związane z twoimi narodzinami? – spytała.

– Prawie żadnych. Poród przyjęła akuszerka w Filadelfii. Po dwudziestu minutach oddano mnie Wrightom. Czekali razem z moimi biologicznymi dziadkami obok salki porodowej. Zostali sobie przedstawieni jako państwo Smith i państwo Jones. Rodzicom adopcyjnym powiedziano, że moja biologiczna matka i ojciec byli siedemnastolatkami, oboje mieli iść do college'u, między nimi doszło do intymnego zbliżenia na balu maturalnym.

Alvira ułamała kawałek chleba i zamoczyła w oliwie.

– Jestem dobrym detektywem – powiedziała. – Zajmę się twoją sprawą. – Sięgnęła do broszki wpiętej w klapę zakietu, gdzie miała mikrofon.

– Moja droga, nie musisz tego nagrywać. To miłe z twojej strony, ale sprawa jest beznadziejna.

– To się okaże – stwierdziła Alvira. – Delaney, czy wiesz dokładnie, w jakiej dzielnicy Filadelfii się urodziłaś? Znasz nazwisko akuszerki? Jej adres? Kto skontaktował z nią twoich rodziców? Czy akuszerka wiedziała, gdzie mieszka twoja biologiczna matka?

– Moja matka adopcyjna... – Głos się jej załamał. Trudno było tak nazywać Jennifer Wright, od której przez te wszystkie lata doznawała tyle miłości. – Sześć lat temu – zaczęła ponownie Delaney – wydołyłam od niej informację, że urodziłam się w Filadelfii. O tym już wiedziałam z mojego świadectwa urodzenia. Powiedziała mi, że akuszerka nazywała się Cora Banks, i dała mi jej adres. Poznała ją za pośrednictwem koleżanki z college'u. Ta koleżanka, Victoria Carney, zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miałam dziesięć lat. Często ją spotykałam. Była szalenie miła. Nigdy nie wyszła za mąż, a siostrzenica wyrzuciła wszystkie jej papiery. Moje wypytywanie bardzo przygnębiło mamę, oświadczyłam jej wtedy, że jest jedyną matką, jaką znam i jaką chcę znać.

– Matka Alice Roosevelt Longworth zmarła wkrótce po urodzeniu córki – zauważyła Alvira. – Jej ojcem był prezydent Theodore Roosevelt, który powtórnie się ożenił, kiedy Alice miała dwa lata. Gdy spytała o swoją biologiczną matkę, powiedziała to samo.

– Pamiętam, że gdzieś o tym czytałam – Delaney ze smutnym uśmiechem pokiwała głową. – Dzięki Bogu, że to sobie wtedy przypomniałam. Jednak nie byłam szczerą. Ja naprawdę chcę znaleźć swoją prawdziwą matkę. To znaczy moją biologiczną matkę – poprawiła się szybko.

Alvirah wyłączyła mikrofon.

– Muszę się nad tym zastanowić – mruknęła. – A teraz jest już nasz makaron.

Kelner wnosił parujące miski długiego makaronu linguine z sosem z małży dla obu pań oraz spaghetti z mięsnymi kulkami dla Willy'ego.

Willy uznał, że należy zmienić temat rozmowy.

– Pomyśleć, że to była jedna z ulubionych restauracji Franka Sinatry. On sam miałby teraz sto lat. A jego piosenki są o wiele lepsze od popularnych teraz przebojów. – Rozejrzał się dokoła. – Ta restauracja też sobie dobrze radzi – zauważył. – Delaney – znów zmienił temat – dowiedziałem się od żony, że będziesz relacjonować proces Betsy Grant. Ma szanse na uniewinnienie?

– Niewielkie. Nie zdziwiłabym się, gdyby wywierano na nią naciski, by zawarła ugodę z prokuratorem w kwestii wymiaru kary.

– Sądysz, że się na to zgodzi? – spytał Willy.

– Na pewno nie. Zaryzykuje proces. Czuję, że wtedy pojawi się dużo nieznanych nam wiadomości o Alanie, synu Teda Granta. Krążą plotki, że jest na skraju bankructwa.

– Jak wszyscy wiemy – mówiła dalej Delaney – w sprawach o morderstwo zawsze nasuwa się pytanie, „kto na tym korzysta”. Przedwczesna śmierć ojca uwalnia Alana od wszystkich kłopotów finansowych. Ponadto dostanie również pieniądze, która odziedziczyłaby jego macocha, gdyby uznano ją za winną.

– Też o tym myślałam – wtrąciła Alvirah.

– Jeszcze jedno – dodała Delaney. – W środowisku adwokackim mówi się, że Robert Maynard był kiedyś świetnym obrońcą, ale to należy już do przeszłości. Podtrzymuje swoją reputację, skutecznie broniąc znanych kryminalistów, i nadal otrzymuje wysokie honoraria. Problem polega na tym, że przerzuca przygotowanie obrony na młodych, niedoświadczonych prawników ze swojej kancelarii.

– Niedługo wszystko się wyjaśni – stwierdziła Alvirah, starając się nawinąć linguine na widelec, ale gruba nitka makaronu spadła do miski.

Anthony Sharkey, znany w pewnych kręgach z racji swojego nazwiska jako „Tony Rekin”, przesuwiał w palcach brylantową bransoletkę ze szmaragdami. Siedział w swoim małym mieszkanku w Moonachie w New Jersey, które znajdowało się w suterenie piętrowego drewnianego domu, będącego w fatalnym stanie, podobnie jak jego lokum. Ściany pokoju były brudne, dywan poplamiony, wszędzie unosił się zapach pleśni.

Tony dużo pił i był uzależniony od hazardu. W jego przypadku nie skutkowałą żadna terapia. Czasami po pobycie na odwyku potrafił być czysty przez rok. Potem zaczynał wszystko od początku. Tracił pracę, zatrudniał się więc do mycia okien czy jako pomocnik kelnera i szybko zostawał bez grosza. Musiał iść do schroniska, ale nic gorszego nie mogło go spotkać. Trzeźwiał, znajdował kolejną podłą pracę, wynajmował jakąś norę, ledwie wiążąc koniec z końcem.

Wyjściem z trudnej sytuacji były kradzieże. Popelniał je z umiarem, byle tylko utrzymać się na powierzchni, zapłacić czynsz i kilka razy w miesiącu jeździć do kasyn w Atlantic City. Zwykle szczęście go nie opuszczało przy grze w blackjacka, lecz ostatnio los mu nie sprzyjał i Tony bardzo potrzebował pieniędzy.

Miał dość niezwykły system popełniania kradzieży, jakby bawił się kosztem obrabowywanych przez niego ludzi. Umiał otworzyć prawie każdy sejf, nie mówiąc już o tanich kasetkach, zwykle trzymany w szafach. Nigdy nie opróżniał całego sejfu. Dobrze znał naturę ludzką oraz reakcje ofiar kradzieży. Jeśli ktoś otworzy sejf i zobaczy, że jest pusty, od razu będzie wiedział, co się stało, i powiadomi policję. Natomiast kiedy jakaś kobitka zajrzy do sejfu i zauważy, że brakuje tylko jednej rzeczy, nawet tej najbardziej drogocennej, zacznie się zastanawiać, kiedy ostatni raz nosiła ten klejnot i gdzie mogła go zostawić. Przecież żaden złodziej o zdrowych zmysłach nie zostawiłby tyle cennej biżuterii, prawda? Nieprawda.

Podczas żadnego włamania nigdy nie naruszał porządku w sejfie. Kiedy musiał coś poprzestawiać, żeby dostać się do wybranego przedmiotu, odkładał wszystko na swoje miejsce. Większość ludzi nie zgłaszała policji nawet braku brylantowego naszyjnika czy kolczyków. Mieli nadzieję, że gdzieś je zarzucili i się znajdą.

Niektórzy szczęściarze wykupili ubezpieczenie od „tajemniczego zniknięcia”. Nie wiedzą, że to ja jestem „Pan Tajemnicze Zniknięcie”, myślał Tony.

Nie wyglądał na swoje trzydzieści siedem lat, tylko o wiele starzej. W jego

kasztanowych włosach pojawiły się siwe pasma, dotknęło go też szybko postępujące łysienie czołowe. Miał obwisłe ramiona i mętne jasnopiwne oczy, nawet wtedy gdy nie pił.

Przeliczył ponownie brylanty i szmaragdy w bransoletce. Paser wycenił ją na trzydzieści tysięcy dolarów. Niewątpliwie była o wiele więcej warta, ale trzydzieści tysięcy to suma nie do pogardzenia. Powiedział paserowi, że przemyśli sprawę. Jednak coś mu mówiło, że jeszcze powinien z tym poczekać. Dodatkowym kłopotem były inicjały na zapięciu, „BG i TG”. Jakie to wzruszające, rozrzewnił się, patrząc na nie.

Teraz, kiedy zbliżał się proces Betsy Grant, może warto by się z nią skontaktować i szepnąć jej, co zauważył tej nocy, kiedy jej mąż został zamordowany.

Był jednak pewien problem. Gdyby ujawnił posiadanie bransoletki, musiałby wyjaśnić, skąd ją ma, a wtedy z całą pewnością trafiłby do więzienia.

Biura Roberta Maynarda zajmowały trzy piętra szklanej wieży, najnowszego i najdroższego budynku na Avenue of the Americas.

Kiedy stało się oczywiste, że prokurator traktuje ją jako podejrzaną w sprawie śmierci Teda, Betsy zwróciła się do prawnika rodziny, Franka Bruno, żeby polecił jej dobrego obrońcę. Dopiero po upływie pewnego czasu zorientowała się, że Bruno był przekonany o jej winie. Dlatego też skontaktował ją z siedemdziesięcioletnim adwokatem, mającym opinię jednego z najlepszych obrońców w sprawach karnych w całym kraju. I jednego z najdroższych.

Betsy wysiadła z windy na czterdziestym dziewiątym piętrze. Recepcjonistka w czarnym kostiumie ze sznurkiem pereł na szyi przywitała ją miłym uśmiechem.

– Dzień dobry, pani Grant. Zaraz przyjdzie asystent pana Maynarda, by zaprowadzić panią do sali konferencyjnej.

Betsy wiedziała, że młody prawnik, asystent Maynarda, dostaje osiemset dolarów za godzinę pracy. Wiedziała też, że w sali konferencyjnej będzie drugi asystent, a kiedy tylko usiądzie, sam Robert Maynard zaszczyci ją swoją obecnością.

Jednak tym razem czekała na niego dziesięć minut. Przez ten czas młody prawnik, który ją tu zaprowadził... Jak on się nazywa? Och, przecież Carl Canon... próbował zabawić ją rozmową.

– Jak minęła podróż z New Jersey?

– Bez problemów. W środku dnia rzadko zdarzają się utrudnienia.

– Ja pochodzę z Dakoty Północnej. Studiowałem prawo na New York University. Kiedy po raz pierwszy wylądowałem na lotnisku Kennedy'ego, poczułem się w domu.

– Wydaje mi się, że zima w Dakocie Północnej jest bardzo mroźna.

Dalszy ciąg jałowej rozmowy, stwierdziła w duchu Betsy.

– Dakota Północna próbowała znaleźć sposób na przyciągnięcie turystów. Ktoś wpadł na wspianiały pomysł, by nazwać ją Florydą Północną.

Miły młody człowiek, pomyślała Betsy, chociaż kosztuje mnie osiemset dolarów za godzinę, a zegar tyka, kiedy rozmawiamy o pogodzie.

Obróciła się na odgłos otwieranych drzwi. Do sali wszedł Robert Maynard w towarzystwie drugiego asystenta, Singha Patela. Był, jak zwykle, nienagannie ubrany. Tym razem miał na sobie szary garnitur w delikatne prążki. Biała koszula ze spinkami u mankietów, krawat w różnych odcieniach granatu, wszystko to tworzyło obraz eleganckiego człowieka sukcesu. Okulary bez oprawek podkreślały chłodny wyraz szarych oczu. Miał zwykle posępną minę, jakby nosił na plecach

ogromny ciężar.

– Betsy – zaczął – przepraszam, że musiałaś na mnie czekać, obawiam się jednak, że będę cię musiał prosić o podjęcie ważnej decyzji.

Jakiej decyzji? Gorączkowo zadawała sobie to pytanie, lecz nie była w stanie wydobyć głosu.

Maynard nie ułatwiał jej zadania.

– Znasz Singha Patela? – spytał.

Skinęła głową.

Maynard usiadł przy stole. Patel położył przed nim teczkę z dokumentami, którą za nim nosił, i sam zajął miejsce, spojrzał na klientkę.

– Betsy – zaczął adwokat poważnym, wyważonym tonem – wiem, że rozmawialiśmy o tym już wiele razy, lecz teraz, przed procesem, musimy się zmierzyć po raz ostatni z pewną sprawą. Zawsze upierałaś się przy procesie, jednak proszę, żebyś mnie teraz wysłuchała. Świadczące przeciwko tobie dowody są bardzo mocne. Na pewno zyskasz współczucie ławników z powodu tego wszystkiego, co przeszłaś, oraz dlatego, że twój mąż ubliżał ci i rzucił się na ciebie przy kolacji w wieczór swojej śmierci. Nie uciekniemy jednak przed faktem, że sześć obecnych tam osób słyszało, jak krzyczałaś: „dłużej tego nie zniosę”. Ci ludzie będą świadkami oskarżenia.

– Uderzył mnie z powodu alzheimera. To nie zdarzało się często. Miał bardzo zły dzień.

– Ale powiedziałaś: „dłużej tego nie zniosę”? – upierał się Maynard.

– Byłam bardzo zdenerwowana. Pomyślałam, że Tedowi, a czuł się dość dobrze, miło będzie spotkać dawnych przyjaciół z pracy. Ale to go tylko rozzłościło.

– Bez względu na okoliczności, Betsy, po wyjściu gości zostałam z nim w domu sama. Twierdzisz, że mogłaś zapomnieć włączyć alarm, co może zostać odebrane jako sugestia z twojej strony, iż do domu dostał się ktoś obcy, ale opiekunka zezna, że rano alarm był włączony. Ponadto ona nagle się rozchorowała i musiała jechać do domu, a gdy przyszła następnego dnia, już nic jej nie dolegało. Jaka była przyczyna tej przydatnej choroby? Śmierć Teda oznaczała dla ciebie ogromny finansowy zysk. Poza tym widywałaś się z innym mężczyzną jeszcze za życia swojego męża.

– Betsy – Maynard poprawił okulary – muszę ci powiedzieć, że dziś rano wezwał mnie prokurator i zaoferował doskonałe warunki ugody. Zdecydowanie radzę ci je przyjąć.

Zesztywniała. Poczowała suchość w ustach.

– Zdecydowanie radzisz mi je przyjąć? – spytała ochryplym szeptem.

– Tak. – Maynard pokiwał głową. – Przekonałem prokuratora, że możesz przyznać się do zabójstwa, za co grozi kara piętnastu lat więzienia. Będiesz

musiała odsiedzieć około dwunastu lat, zanim dostaniesz zwolnienie warunkowe. Wiem, jakie to trudne. Gdybyś jednak została skazana za morderstwo pierwszego stopnia, minimalny wyrok wynosi trzydzieści lat bez prawa zwolnienia warunkowego². A sędzia mógłby dać ci dożywocie.

– Dwanaście lat za coś, czego nie zrobiłam? – Wstała z krzesła. – Nie jestem winna śmierci swojego męża. Opiekowałabym się nim aż do czasu jego naturalnej śmierci.

– Betsy, jeśli rzeczywiście jesteś niewinna, to powinnaś stanąć przed sądem – oświadczył Maynard. – Dołożymy wszelkich starań, żeby cię wybronić. Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że prowadzisz bardzo ryzykowną grę.

Usiłowała zachować spokój. Mówili sobie z Robertem po imieniu, ale teraz nie chciała, by cień poufałości naznaczył to, co miała do powiedzenia.

– Panie Maynard – zaczęła – nie mam zamiaru mówić, że zabiłam męża. Bardzo go kochałam. Spędziłam z nim osiem wspólnych lat, zanim pojawiły się oznaki alzheimera. Na początku choroby również mieliśmy wiele dobrych dni. Jak pan zapewne wie, im ktoś jest młodszy, gdy na nią zapadnie, tym bardziej prawdopodobne, że umrze w ciągu dziesięciu lat. Pogorszenie stanu fizycznego i umysłowego Teda następowało bardzo szybko. Lekarze uważali, że należało oddać go do domu opieki. Nie zrobiłam tego, ponieważ podczas krótkich przebłysków świadomości cieszył się, że jest ze mną. Wierzę, że zdołam o tym przekonać ławę przysięgłych. Już panu zapłaciłam ogromną sumę, by mnie pan bronił. Więc niech pan to robi! I nie sugeruje ławnikom, że zdaniem pana będzie wyrok skazujący.

Wychodząc z sali, Betsy chciała trzasnąć drzwiami, ale nie zrobiła tego. Zjechała windą do holu i wyszedłszy na ulicę, nie dostrzegła na niej ludzi.

Dopiero po godzinie zorientowała się, że bezwiednie dotarła do centrum. Znalazła się na Piątej Alei, przed katedrą Świętego Patryka. Po chwili wahania była już w świątyni. Uklękła w ostatniej ławce, powtarzając w duchu: „Boję się. Proszę, pomóż mi”.

2 W amerykańskim prawodawstwie morderstwo pierwszego stopnia jest zaplanowane, intencjonalne. Za jego popełnienie grozi nawet dożywocie. Zabójstwo to pozbawienie kogoś życia bez wcześniejszego zamiaru, zagrożone lżejszą karą (przyp. tłum.).

Kompletowanie składu ławy przysięgłych trwało pięć dni. Wielu potencjalnych ławników zostało zwolnionych z tej funkcji. Czas trwania procesu przewidywano na trzy do pięciu tygodni, a niektórzy, z rozmaitych przyczyn, nie chcieli w nim uczestniczyć. Inni z kolei oznajmili sędziemu, że już mają swoje zdanie co do niewinności czy też winy podejrzaney. Większość z nich stwierdziła, że opierając się na przekazie medialnym, uważają Betsy za winną. Wreszcie wyznaczono czternastu ławników, siedmiu mężczyzn i siedem kobiet. Oświadczyli, że co prawda czytali o tej sprawie, ale mogą zacząć wszystko od początku, zachować pełną bezstronność, niczym się nie sugerując. Sędzia zapowiedział, że wybranych zostanie czternastu przysięgłych oraz dwóch alternatywnych, na wypadek gdyby sytuacja wymagała zastępstwa.

Był wtorek, ósma pięćdziesiąt rano, dzień rozpoczęcia procesu. Od śmierci doktora Edwarda Granta upłynęło już osiemnaście miesięcy. Delaney, wraz z innymi dziennikarzami, siedziała w zarezerwowanym dla prasy pierwszym rzędzie. Protokolantka sądowa czekała już na swoim miejscu.

Otworzyły się drzwi i pozwana, Betsy Grant, weszła na salę sądową w towarzystwie trzech swoich obrońców. Szła z wysoko podniesioną głową. Elliot Holmes, prokurator z dwudziestoletnim stażem, już wcześniej zajął swoje miejsce.

Delaney – znała Betsy tylko z telewizji i nagrań internetowych – była zdumiona młodym wyglądem tej czterdziestotrzyletniej kobiety.

Wdowa miała na sobie granatowy kostium i jasnoniebieską bluzkę, na szyi niewielki naszyjnik z pereł i podobne kolczyki. Delaney słyszała pogłoski, że Robert Maynard radził jej strój klasyczny, czarny, i żeby w żadnym wypadku nie miała na palcu pierścionka zaręczynowego z pojedynczym brylantem, wartym czterdzieści tysięcy dolarów. Powinna natomiast wyeksponować szeroką, złotą obrączkę, tym samym sygnalizując sędziom przysięgłym, że mąż ją kochał, a teraz jest pogrążona w żałobie.

Delaney przyjrzała się Robertowi Maynardowi. Uznała, że mimo siedemdziesięciu pięciu lat bardzo dobrze się prezentował ze swoimi srebrnymi włosami i wojskową postawą, widoczną nawet kiedy siedział. Jego dwaj asystenci wyglądali na trzydziestolatków.

Ławki dla publiczności były już zapełnione, co zrozumiałe przy tak głośnym procesie. Po obu stronach sali stali umundurowani funkcjonariusze z biura szeryfa.

– Proszę wstać, sąd idzie – ogłosił urzędnik sądowy punktualnie o dziewiątej. Wówczas sędzia Glen Roth wszedł na salę i usiadł w ławie sędziowskiej.

– Witam wszystkich zgromadzonych – powiedział. – Otwieram rozprawę. Stan New Jersey przeciwko Betsy Grant. Czy strony są gotowe do wygłoszenia wstępnych oświadczeń?

– Tak, Wysoki Sądzie – padła odpowiedź.

– Proszę wprowadzić sędziów przysięgłych – polecił Roth funkcjonariuszowi.

Czternastu ławników zajęło miejsca. Sędzia Roth powitał ich i poinstruował, że to, co powie im prokurator, będzie jedynie punktem wyjściowym debaty, a nie przedstawianiem dowodów. Powiadomił ich również, że w sprawie karnej na oskarżycielu ciąży obowiązek wykazania winy, mowę początkową wygłosi więc najpierw prokurator.

– Proszę zacząć – zwrócił się do oskarżyciela.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. – Elliot Holmes wstał z krzesła i podszedł do ławy przysięgłych.

– Panie i panowie. Nazywam się Elliot Holmes i jestem zastępcą prokuratora okręgowego hrabstwa Bergen w stanie New Jersey. W najbliższych tygodniach będę przedstawiał wam świadków oraz inne dowody w sprawie stan New Jersey przeciwko Betsy Grant. Sędzia już poinformował państwa o stawianych zarzutach, wydaje się jednak właściwe, by prokurator w mowie początkowej przeczytał sędziom przysięgłym akt oskarżenia.

Delaney słuchała, jak Elliot Holmes czytał z aktu oskarżenia, że dwudziestego drugiego marca, osiemnaście miesięcy temu, Betsy Grant celowo i świadomie doprowadziła do śmierci swojego męża, doktora Edwarda Granta.

– To, panie i panowie, jest zarzut morderstwa pierwszego stopnia.

Potem bardziej swobodnym tonem poinformował, że, co zostanie udowodnione, prawie siedemnaście lat temu Betsy Grant poślubiła wdowca, doktora Edwarda Granta.

– Oskarżyciel nie kwestionuje faktu, że przez wiele lat to małżeństwo było szczęśliwe. Doktor Grant, który był chirurgiem ortopedą, odnosił sukcesy w swoim zawodzie, małżonkowie żyli w komfortowych warunkach w swoim domu w Alpine. Dowiedzą się państwo również, że oskarżona, nauczycielka liceum, wzięła urlop na dwa lata przed śmiercią doktora Granta.

– Kolejne dowody wykażą, iż około ośmiu lat temu doktor Grant zaczął mieć zaniki pamięci i łatwo popadał w gniew, co było niezgodne z jego charakterem i wcześniejszym postępowaniem. Po przeprowadzeniu badań neurologicznych padła druzgocąca diagnoza: wczesnoobjawowa postać choroby Alzheimera.

– To był cios dla doktora Granta, ponieważ nie mógł dalej wykonywać zawodu chirurga. Wraz z upływem lat sytuacja stawała się coraz trudniejsza, gdy nie mógł już samodzielnie funkcjonować. Mieszkał wraz z Betsy Grant w swoim domu w Alpine, a w ostatnich latach jego życia wynajęta opiekunka musiała go

kapać, ubierać i karmić.

Ciągłe postępy choroby stanowiły wielkie obciążenie również dla Betsy Grant. Oskarżenie nadal nie kwestionuje faktu, że przez długi czas ich małżeństwo było szczęśliwe. Postępowanie dowodowe wykaże jednak, że wraz z pogarszającym się stanem zdrowia męża i coraz trudniejszej dla otoczenia sytuacji, Betsy Grant zapragnęła położyć temu kres. Po jego śmierci odziedziczyłaby połowę ogromnego majątku, jako współspadkobierczyni wraz z Alanem Grantem, trzydziestopięcioletnim synem Edwarda Granta z pierwszego małżeństwa. Mogłaby także kontynuować związek, jaki utrzymywała podczas jego choroby. Panie i panowie, jak się niebawem przekonacie, oskarżona na dwa lata przed śmiercią męża spotykała się po kryjomu, aczkolwiek regularnie, z innym mężczyzną.

– Jak wykaże dalsze postępowanie dowodowe, w wieczór poprzedzający śmierć Edwarda Granta Betsy Grant zaprosiła do domu na kolację jego syna oraz dwóch współpracujących niegdyś z mężem lekarzy wraz z żonami. Usłyszą państwo od tych świadków, że w trakcie kolacji Edward Grant był zły i zdenerwowany, nie rozpoznał też swoich dawnych kolegów. Usłyszycie także, że kiedy usiedli przy stole, niczym niesprowokowany Edward Grant przechylił się przez stół, a kiedy Betsy Grant próbowała go powstrzymać, uderzył ją w twarz. Dowiedzie się, że wtedy opiekunka, z pomocą jednego z lekarzy, odprowadziła Edwarda Granta do położonej na parterze sypialni. Pokój opiekunki znajdował się obok. W ostatnich miesiącach życia męża, kiedy nastąpiło szybkie pogorszenie jego zdrowia, Betsy Grant przeniosła się z głównej sypialni do pokoju na parterze. Chory dostał środek na uspokojenie. Opiekunka położyła go do łóżka i Edward Grant zasnął.

– Dowiedzą się państwo również, że Betsy Grant, wstrząśnięta i obolała po tak silnym uderzeniu, została przy stole i łkając, powtarzała: „Dłużej tego nie zniosę”.

– Usłyszą państwo także, że lekarze wraz z żonami oraz Alan Grant wkrótce potem opuścili dom. Opiekunka zezna, że zwykle spała w pokoju przyległym do sypialni Edwarda Granta, lecz tamtego wieczoru poczuła się bardzo źle i około dziewiątej pojechała do swojego domu. Powie wam też, że Betsy Grant zapewniała ją, iż sama zajmie się mężem, gdyby czegoś potrzebował.

– Panie i panowie, opiekunka powie wam, że następnego ranka poczuła się lepiej, a kiedy przyszła do domu państwa Grantów około ósmej rano, alarm był włączony. Powie wam, że natychmiast poszła do Edwarda Granta, a on leżał na łóżku, jakby spał, był jednak zimny i bez życia. Natychmiast zadzwoniła na numer alarmowy 911, potem pobiegła do sypialni Betsy Grant, żeby ją powiadomić o swoim odkryciu i o telefonie na policję.

Elliot Holmes zamilkł na chwilę.

– Panie i panowie, wydarzenia tego poranka oraz następnych dni dowiodły, że Edward Grant nie umarł z przyczyn naturalnych. Usłyszycie od obecnego na miejscu zdarzenia funkcjonariusza policji, że nie zauważył żadnych obrażeń na ciele Edwarda Granta. Betsy Grant i opiekunka mówiły o nagłym pogorszeniu się jego zdrowia. Działając zgodnie z procedurami, funkcjonariusz zwrócił się do lekarza Granta, który potwierdził tę wiadomość.

– Usłyszycie, że ciało Edwarda Granta zostało zabrane przez Paula Heckera, właściciela Zakładu Pogrzebowego Hecker, i odwiezione do jego zakładu. Pan Hecker powie wam, że przygotowując zwłoki do zabalsamowania, zauważył niezwykłą rzecz. Tył czaszki Edwarda Granta był wyjątkowo miękki, choć bez śladów krwi. Uznał to za oznakę poważnego urazu głowy, prawdopodobnie wskutek silnego uderzenia. To, panie i panowie, było pierwszą wskazówką, że doktor Edward Grant nie umarł na chorobę Alzheimera, nie umarł z przyczyn naturalnych.

– Lekarz sądowy zezna, że otrzymał ciało z zakładu pogrzebowego i dokonał autopsji. Powie wam, że według jego lekarskiej wiedzy Edward Grant zmarł na skutek tępego urazu głowy, który spowodował krwawienie wewnątrzczaszkowe. Wyjaśni wam także, że przy tego typu obrażeniach nie zawsze występuje krwawienie zewnętrzne, dlatego też na początku nie zauważono tego urazu.

– Panie i panowie, Edward Grant zmarł w przedziale czasu pomiędzy wyjściem gości a powrotem opiekunki następnego ranka. Tamtej nocy, aż do wczesnego rana, poza Edwardem Grantem w domu była tylko jedna osoba. A tą osobą, panie i panowie – wykrzyknął, wskazując na oskarżoną – była Betsy Grant.

– Panie i panowie, dowiedzie się również, że następnego ranka system alarmowy był w pełni sprawny, a alarm włączony. Nie było też żadnych śladów włamania, rozbitych szyb czy sforsowanych zamków.

– Panie i panowie, w swoim czasie poznacie więcej szczegółów. Teraz przedstawiłem wam tylko zarys oskarżenia. Po wysłuchaniu wszystkich zeznań będziecie przekonani ponad uzasadnioną wątpliwość, że oskarżona Betsy Grant zamordowała Edwarda Granta. Zamordowała go, by uciec od sytuacji, w jakiej się znalazła z powodu jego choroby, i zacząć nowe, o wiele lepsze życie.

– Będę miał jeszcze okazję zwrócić się do was, wygłaszając mowę końcową w tym procesie. Oskarżenie dziękuje, że spełniacie waszą powinność.

Holmes wrócił na swoje miejsce.

Delaney obserwowała teraz Roberta Maynarda, kiedy podchodził do ławy przysięgłych. Niechętnie przyznała w duchu, że wstępne oświadczenie prokuratora miało swoją siłę.

– Panie i panowie – zaczął Robert Maynard. – Gdyby materiał dowodowy był tak oczywisty i tak mocny, jak to przedstawił pan prokurator, moglibyście już teraz udać się na obrady. Uznać podejrzaną za winną, a wtedy wszyscy

moglibyśmy rozejść się do domów.

– Nie dowiedzieliście się z oświadczenia prokuratora, jak oddaną i kochającą żoną była Betsy Grant. Jak zaznaczył pan prokurator, w opiece nad mężem wspomagała ją opiekunka, jest jednak niezaprzeczną prawdą, że w ciągu siedmiu lat, kiedy jego stan fizyczny, psychiczny i emocjonalny ulegał stałemu pogorszeniu, Betsy Grant była zawsze przy nim.

– Usłyszycie też, że zarówno lekarze, jak i przyjaciele radzili jej umieszczenie męża w domu opieki. Jako prawny opiekun Edwarda Granta mogła to zrobić, uznała jednak, że byłoby to dla niego zbyt bolesne przeżycie. Dowiedcie się, że na skutek choroby zachowywał się niekiedy grubiańsko wobec żony, łącznie ze stosowaniem przemocy fizycznej. Tak się działo już od dłuższego czasu. Jednak ona nadal traktowała go z pełnym miłości zrozumieniem. Kiedy poznają państwo wszystkie materiały dowodowe, przekonają się, że gdy Betsy Grant mówiła: „Dłużej tego nie zniosę”, ostatnią rzeczą, o jakiej mogła pomyśleć, było pozbawienie go życia. Miała przecież inne wyjście, kiedy ten ciężar stawał się ponad jej siły, jak to pewnie było tamtego wieczoru – wyjście, którym mogła się posłużyć wiele lat wcześniej, ale kochała męża i wiedziała, że on chce zostać w domu. To rozwiązanie było nadal w zasięgu jej ręki, kiedy mówiła: „Dłużej tego nie zniosę”. Nikt by jej nie potępiał za oddanie męża do domu opieki.

– Panie i panowie, prokurator nie ma ani jednego świadka, który mógłby poświadczyć, że widział, co się stało Edwardowi Grantowi. Jeśli zadano mu śmiertelny cios jakimś przedmiotem, to narzędzia zbrodni nie ma. Dowiedcie się też, że były cztery klucze do frontowych drzwi domu Grantów, ale doliczono się tylko trzech. I dowiedcie się, że nikt nie ma pewności, ile osób znało kod alarmowy. Jest bardzo prawdopodobne, iż ktoś wszedł tamtej nocy do domu, wyłączył alarm, a opuszczając dom, włączył go ponownie.

– Polecam również państwu pod rozwagę pewien fakt i proszę, żebyście pamiętali o nim podczas procesu. Betsy Grant nie była jedyną spadkobierczynią Edwarda Granta. Alan Grant, będący ostatnio pod silną presją finansową, miał odziedziczyć połowę wartego piętnaście milionów dolarów majątku ojca. Jeśli Betsy Grant zostanie skazana, on odziedziczy wszystko. Tak czy inaczej, śmierć Edwarda Granta czyni bogacza z jego syna. Dowiedcie się także, że jeśli chodzi o Alana Granta, to śledztwo prokuratorskie w tej sprawie było całkowicie marginalne.

– Panie i panowie, zwrócę się do was ponownie na końcu procesu. Przypominam wam, że Betsy Grant nie musi udowadniać swojej niewinności, choć niewątpliwie będzie kwestionować materiał dowodowy oskarżenia. Jak we wszystkich sprawach karnych, na oskarżycielu spoczywa obowiązek wykazania ponad wszelką wątpliwość, że podejrzana jest winna. Oznacza to, że również ława przysięgłych musi być bezwzględnie o tym przekonana. Materiał dowodowy, jaki

poznacie, nie spełnia tych wymagań nawet w najmniejszym stopniu.

Panie prokuratorze, proszę wezwać swojego pierwszego świadka – powiedział sędzia Roth, kiedy Maynard wrócił na swoje miejsce.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był funkcjonariusz policji z Alpine, Nicholas Dowling, który pierwszy przybył na miejsce zdarzenia. Trzydziestoletni policjant, z pięcioletnim stażem w tamtejszym wydziale, zajął miejsce dla świadka; miał po raz pierwszy zeznawać w sądzie okręgowym hrabstwa.

Średniego wzrostu i średniej budowy ciała, z krótkimi kasztanowatymi włosami i chłopcęcą twarzą, miał na sobie nieskazitelnie wyprasowany mundur. Z trudem ukrywał zdenerwowanie.

Odpowiadając na pytania prokuratora, wyjaśnił, że dwudziestego drugiego marca poprzedniego roku był na patrolu zmotoryzowanym. Kilka minut po ósmej rano dostał polecenie z komendy, by pojechać do domu doktora Edwarda Granta. Dyspozytor powiedział mu, że telefonowała opiekunka z informacją, iż doktor Grant zmarł we śnie.

Po niespełna minucie dotarł do rezydencji Grantów.

– Czy był pan w tym domu wcześniej? – spytał prokurator.

– Tak. Dwa miesiące wcześniej, kiedy pełniłem służbę, zostałem tam wysłany około czwartej rano. Wtedy powitała mnie przy drzwiach kobieta, która powiedziała, że jest jego żoną, Betsy Grant.

– Jak była ubrana?

– Miała na sobie szlafrok.

– Jak się zachowywała?

– Była spokojna, lecz wyraźnie zrozpaczona. Powiedziała, że jej mąż upadł, próbując sforsować bramkę na schodach, prowadzących na piętro. Razem z opiekunką nie zdołały go podnieść i zaprowadzić do łóżka.

– Czy wyjaśniła panu, jaki był wtedy jego stan fizyczny i emocjonalny?

– Powiedziała, że mąż jest w zaawansowanym stadium choroby Alzheimera, a jego stan fizyczny i stan umysłu bardzo się pogorszyły.

– Co pan wtedy zrobił?

– Pani Grant zaprowadziła mnie do schodów, w pobliżu leżał na dywanie pan Grant i jęczał z bólu. Opiekunka, Angela Watts, przykucnęła obok, trzymała go za rękę i pocieszała. Powiedziała mi, że słyszała ten upadek, i że chory jest bardziej zszokowany niż potłuczony. Spytałem, czy wezwać karetkę. Obie panie stwierdziły, że to nie jest konieczne. Pomogłem panu Grantowi stanąć na nogi, zaprowadziliśmy go do sypialni i położyliśmy do łóżka. Zaczekałem jeszcze kilka minut, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale powiedziano mi, że zasnął.

– Czy przypomina pan sobie jakieś inne szczegóły odnośnie do ówczesnego zachowania pani Grant?

– Kiedy wychodziłem, podziękowała mi. Była spokojna, wydawała się smutna i zmęczona. Wspomniała, jak trudno jest jej patrzeć na męża będącego w takim stanie, kiedy wie, jaki niegdyś był.

– A co się wydarzyło dwudziestego drugiego marca, kiedy przyjechał pan do tego domu?

– Przy drzwiach czekała na mnie opiekunka, ta sama pani, którą spotkałem dwa miesiące wcześniej. Powiedziała mi, że według jej oceny doktor Grant nie żyje, a pani Grant jest w sypialni razem z nim.

– Co nastąpiło później?

– Zaprowadziła mnie do położonej na parterze sypialni.

– Czy do tej samej sypialni, co poprzednio?

– Tak.

– Co pan zauważył po wejściu do sypialni?

– Doktor Grant leżał na łóżku, na plecach, z głową na poduszce. Ręce spoczywały na kołdrze. Miał na sobie górę od piżamy, z długimi rękawami. Pani Grant siedziała na brzegu łóżka, głaskała go po włosach i twarzy. Spojrzała na mnie i tylko potrząsnęła głową. Poprosiłem ją, żeby się odsunęła, bo chciałem sprawdzić, czy doktor Grant wykazuje oznaki życia. Zastosowała się do mojej prośby.

– Co pan stwierdził?

– Nie oddychał, ciało było zimne. W trakcie szkolenia policyjnego zdobyłem uprawnienia technika ratownictwa medycznego. Stwierdziłem, że nie żyje.

– Czy zauważył pan jakieś urazy na jego twarzy i dłoniach?

– Nie, nie zauważyłem.

– Dotykał pan jego głowy z tyłu?

– Nie, nie zrobiłem tego.

– Czy można było przypuszczać, że odniósł uraz w tyle głowy?

– Nie. Nie było krwi ani innych oznak urazu.

– Był pan tam również dwa miesiące wcześniej. Czy tak?

– Tak.

– Na podstawie wszystkich zaistniałych okoliczności wierzył pan, że zmarł on we śnie, z naturalnych przyczyn?

– Tak. Nie miałem najmniejszego powodu do podejrzeń.

– Jakie były pana następne czynności?

– Działając zgodnie z policyjną procedurą, spytałem żonę o nazwisko jego lekarza, abym mógł się z nim skontaktować. Pani Grant podała mi to nazwisko i zatelefonowałem do doktora Marka Bevilacqua.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tak. Przedstawiłem mu sytuację. Lekarz chciał też rozmawiać z panią Grant. Podeszła do telefonu i powiedziała mu, że mąż był bardzo zdenerwowany, zanim poprzedniego wieczoru udał się na spoczynek około godziny dziewiątej.

– Co było potem?

– Wróciłem do telefonicznej rozmowy z lekarzem, który oświadczył, że doktor Grant zmarł z przyczyn naturalnych, podpisze więc kartę zgonu. Rozmawiałem też z panią Grant o wyborze zakładu pogrzebowego, który zabierze ciało. Powiedziała, że skontaktuje się z Zakładem Pogrzebowym Hecker w Closter.

– Pozostał pan w rezydencji państwa Grantów?

– Tak. Spędziłem tam godzinę, czekając na przyjazd ludzi z zakładu pogrzebowego.

– Gdzie była pani Grant w tym czasie?

– W sypialni razem z doktorem Grantem. Często rozmawiała przez telefon. Pamiętam, że dzwoniła do jego syna i kilku innych osób.

– W jakiej części domu był pan w ciągu tej godziny?

– Stałem za drzwiami sypialni, żeby zapewnić pani Grant trochę prywatności.

– Czy w ciągu godziny oczekiwania na zakład pogrzebowy jakaś inna osoba pojawiła się w domu?

– Tak. Przyszła kobieta, oświadczyła, że jest gosposią i nazywa się Carmen Sanchez.

– Jak zareagowała na wiadomość o śmierci doktora Granta?

– Wyglądała na bardzo zasmuconą. Powiedziała: „Niech spoczywa w spokoju. Skończyły się jego cierpienia”.

– Jak w ciągu tej godziny zachowywała się Betsy Grant?

– Spokojnie. Nie płakała, ale była bardzo smutna.

– Co pan robił, kiedy przyjechał właściciel zakładu pogrzebowego?

– Krótko z nim rozmawiałem. Słyszałem, że nakłaniał panią Grant, opiekunkę i gosposię, by zaczekały w innej części domu, kiedy on wraz z asystentem będą przygotowywać ciało do zabrania.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – powiedział Elliot Holmes.

– Może pan teraz przesłuchać świadka, panie Maynard – zwrócił się do obrony sędziego Roth.

Maynard zerknął na swoje notatki, po czym wstał i podszedł do miejsca dla świadka.

– Poruczniku, zeznał pan, że był pan w rezydencji jeszcze przed śmiercią pana Granta. Zgadza się?

– Tak, proszę pana.

– Byłoby słuszne stwierdzenie, że tamtego wieczoru pani Grant bardzo niepokoiła się o męża?

- Robiła wrażenie zatroskanej.
- A czy było widoczne, że doktor Grant jest pod dobrą opieką?
- Odniosłem takie wrażenie.
- Czy pani Grant przy pożegnaniu wyraziła współczucie dla cierpień męża?
- Była smutna i współczuła mu.
- Czy podczas pierwszej interwencji była zirytowana i rozdrażniona sytuacją, w jakiej się znalazła?
- Nie.
- Czy wyglądała na zmęczoną, wręcz wycieńczoną?
- Tak.
- Nie okazywała gniewu ani niechęci?
- Nie.
- Pomagała panu i opiekunce podnieść męża z podłogi i doprowadzić do łóżka?
- Pomagała.
- Pocieszała chorego, gdy kładliście go do łóżka?
- Tak.
- Wróćmy do tego poranka, kiedy ponownie został pan wezwany do rezydencji. Przy drzwiach powitała pana opiekunka, prawda?
- Tak.
- Czy w czasie pana pobytu w rezydencji opiekunka wyraziła jakieś podejrzenie odnośnie do pani Grant czy też wątpliwość, że śmierć jej męża nie miała naturalnych przyczyn?
- Nie.
- Czy zauważył pan jakieś napięcie pomiędzy opiekunką a panią Grant?
- Nic takiego nie zauważyłem.
- Byłoby słuszne stwierdzenie, że pocieszały się wzajemnie?
- Jak najbardziej słuszne.
- Uznał pan, że pani Grant była zmęczona i wyczerpana, tak?
- Tak mi się wydawało.
- Czy udało się panu zauważyć jakiegokolwiek oznaki świadczące o tym, że mogła się z kimś szarpać?
- Nic na to nie wskazywało.
- Czy na podstawie wyglądu zwłok doktora Granta można było przypuszczać, że doznał jakiegoś urazu lub się przed kimś bronił?
- Absolutnie nie.
- Ostatnie pytanie, poruczniku. Jeśli zauważyłby pan w rezydencji coś niepokojącego, co by pan wtedy zrobił?
- Gdybym podejrzewał nieczystą grę, zadzwoniłbym do komisariatu i poinformował o tym detektywa na służbie, a on skontaktowałby się z dyżurnym

detektywem wydziału zabójstw w biurze prokuratora.

– Jednak nic takiego nie miało miejsca, ponieważ nie miał pan powodu, by podejrzewać jakąś nieczystą grę. Prawda, poruczniku?

– Dokładnie tak, proszę pana.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Następnym świadkiem oskarżenia był właściciel zakładu pogrzebowego, Paul Hecker. Zeznał, że został wezwany do rezydencji przez panią Betsy Grant, która poinformowała go, iż jej cierpiący na chorobę Alzheimera mąż zmarł we śnie. Powiedział, że natychmiast skontaktował się ze swoim asystentem, a ten wkrótce przyjechał karawanem do rezydencji Grantów.

Hecker dodał, że pani Grant powitała go przy drzwiach i zaraz zaprowadziła do pokoju męża. Przed drzwiami sypialni stał młody funkcjonariusz policji z komendy w Alpine, który skinął mu głową na powitanie.

– Czy osoba, która dzisiaj przedstawiła się na sali sądowej jako Betsy Grant, jest tą samą, którą pan spotkał w rezydencji?

– Tak.

– Mógłby pan ją wskazać?

– Siedzi przy stole po mojej prawej stronie.

– Gdy pan przybył do rezydencji, jak się zachowała pani Grant?

– Była uprzejma, bardzo wyciszona.

– Proszę opisać, co pan zobaczył w sypialni.

– Zobaczyłem leżącego w łóżku zmarłego mężczyznę. Miał na sobie piżamę.

– Czy zauważył pan od razu jakieś oznaki obrażeń?

– Nie.

– Co nastąpiło potem?

– Powiedziałem pani Grant, że byłoby dobrze, gdyby wszystkie panie wyszły z sypialni, kiedy razem z asystentem będziemy przenosić zwłoki do zaparkowanego przed domem karawanu.

– Zastosowały się do pana prośby?

– Tak.

– Jak się zachowywały, kiedy wychodziły z sypialni?

– Pani Grant spokojnie opuściła pokój. Opiekunka głośno szlochała.

– Przewieźliście zwłoki do zakładu pogrzebowego, tak?

– Oczywiście.

– Czy wtedy nabrał pan podejrzeń, że doktor Grant mógł być ofiarą przemocy? – pytał prokurator.

– Nie. Wyglądało na to, że doktor Grant zmarł naturalnie, we śnie.

– Czy w jego pokoju nie dostrzegł pan niczego niezwykłego?

– Nie użyłbym słowa „niezwykły”. Można powiedzieć, że zauważyłem jednak coś osobliwego.

– To znaczy?

– Oczywiście wiedziałem, że doktor Grant jest lekarzem. Na nocnym stoliku przy jego łóżku, na kamiennej podstawce, stał staroświecki mózdzierz, który zapewne był wyposażony w tłuczek. Na podstawce znajdowała się plakietka z napisem: „Szpital Hackensack, nagrodzony dr Edward Grant”.

– Co zwróciło pana uwagę?

– Brak w nim tłuczka.

– Nie jestem pewny, czy wszyscy na sali sądowej wiedzą, co to jest tłuczek i jak wygląda. Zechciałby pan go opisać?

– Dawni farmaceuci, czyli aptekarze, używali mózdzierza i tłuczka do rozdrabniania leków. Tłuczek, mówiąc potocznie, jest podobny z kształtu do kija bejsbolowego, ale ma tylko kilkanaście centymetrów długości. Jest to ciężki przedmiot, z obu stron zaokrąglony, jednak grubszy i cięższy na samym końcu.

– Z jakiego materiału wykonane były podstawka oraz mózdzierz?

– Z czarnego marmuru.

Prokurator podniósł obiema rękami przedmiot z sąsiedniego stołu i pokazał go świadkowi.

– Pokazuję panu do zidentyfikowania przedmiot oznaczony jako dowód nr 75. Czy widział pan przedtem ten przedmiot?

– Tak. Widziałem.

– Co to jest?

– Wygląda na zestaw mózdzierza z tłuczkiem, tutaj bez tłuczka. Widzę, że napis na plakietce odnosi się do doktora Granta.

– Ten przedmiot wygląda tak samo jak widziany przez pana w rezydencji?

– Identycznie. Nie ma również tłuczka, którego brak wtedy zauważyłem.

– Można przypuszczać, że brakujący tłuczek był wykonany z tego samego materiału?

– Zwykle tak jest.

– Jest wystarczająco ciężki, by mógł posłużyć jako broń?

– Sprzeciw. – Robert Maynard zerwał się na nogi.

– Podtrzymuję sprzeciw – powiedział sędzia.

– Ile mógł ważyć tłuczek z takiego zestawu?

– Taki twardy przedmiot z marmuru może ważyć około pół kilograma.

– Tłuczek stałby w mózdzierzu skierowany cięższym końcem w dół?

– Tak. Moją uwagę przyciągnął fakt, że go tam nie było.

– Panie Hecker – kontynuował prokurator. – Zabrał pan zwłoki doktora Edwarda Granta z jego sypialni i przewiózł je do swojego zakładu pogrzebowego. Kiedy to nastąpiło?

– Wkrótce po moim przyjeździe do rezydencji.

– Zeznał pan, że była tam również opiekunka.

– Tak. Powiedziano mi, że opiekunka po przybyciu do rezydencji weszła do

sypialni pana Granta, a kiedy zbliżyła się do niego, stwierdziła, że on nie oddycha. Wówczas zadzwoniła na 911.

– Powiedziano panu, że funkcjonariusz policji z komisariatu w Alpine skontaktował się z lekarzem doktora Granta, a ten zgodził się podpisać kartę zgonu?

– Tak.

– Czy wtedy nie nasunęła się panu myśl, że mogło dojść do jakichś machinacji?

– Nie. Nic takiego nie przyszło mi do głowy.

– Co się wydarzyło po przywiezieniu ciała doktora Granta do pana zakładu pogrzebowego?

– Rozpoczęliśmy zwykłe zabiegi przygotowawcze do wystawienia zwłok i późniejszego pochówku.

– Wykonywał pan te zabiegi osobiście?

– Tak, przy pomocy jednego z techników.

– Czy w trakcie tych zabiegów zauważył pan coś niezwykłego?

– Tak.

– Co pan zauważył?

– Tył głowy doktora Granta był bardzo miękki przy dotyku, co świadczyło, że doznał silnego urazu tej części głowy.

– Już wtedy mógł się pan domyślić, jakiego rodzaju był ten uraz?

– Od razu pomyślałem o brakującym tłuszczu.

– Biorąc pod uwagę miejsce i rodzaj urazu, można byłoby to uznać za samookaleczenie?

– Absolutnie nie.

– Co pan wtedy zrobił?

– Zaprzeszałem wykonywania zabiegów na zwłokach doktora Granta i zadzwoniłem do lekarza sądowego. Natychmiast poinformował policję i przysłał ambulans, by przewieźć ciało do kostnicy hrabstwa.

– Co się wydarzyło później?

– Dokonano sekcji zwłok i po dwóch dniach przywieziono je do mojego zakładu w celu dokonania pochówku.

– Dziękuję, panie Hecker. Nie mam więcej pytań.

Delaney słuchała teraz Roberta Maynarda, który zadał świadkowi tylko jedno pytanie.

– Czy ma pan zwyczaj obserwowania przedmiotów w miejscach, do których jest pan wzywany?

– To leży w naturze mojej pracy. Kiedy zabieram zwłoki, zawsze uważnie obserwuję otoczenie.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. – Maynard wiedział, że nic nie

uzyska od tego świadka.

Delaney zauważyła wyraz zdziwienia na twarzy Betsy Grant. Jej prawnik zadał temu świadkowi tylko jedno pytanie.

Następnym świadkiem oskarżenia był lekarz sądowy hrabstwa, doktor Martin Caruso. Po opisaniu swoich kwalifikacji, wyjaśnieniu, że podczas dwudziestoletniej pracy w roli lekarza sądowego przeprowadził tysiące sekcji, przeszedł do wniosków, jakie wyciągnął z autopsji doktora Edwarda Granta. Zeznał, że czaszka zmarłego była w czterech miejscach pęknięta, co wywołało obrzęk mózgu oraz wewnętrzne krwawienie.

– Czy można dopuścić możliwość, że doktor Grant upadł i to spowodowało uraz czaszki?

– Odniesienie takich obrażeń na skutek upadku jest niemal niemożliwe.

– Dlaczego? – spytał prokurator.

– Gdyby upadł i uderzył się w głowę, wstrząs byłby tak silny, że prawie na pewno straciłby świadomość. Nie mógłby wtedy o własnych siłach wrócić do łóżka.

– Doktorze Caruso, w trakcie tego procesu zostało potwierdzone, że marmurowy tłuczek o wadze około pół kilograma zniknął z sypialni doktora Granta. Czy według pana wiedzy lekarskiej uraz, jaki odniosła ofiara, mógł zostać zadany takim przedmiotem?

– Tak. Mógł być spowodowany przez tłuczek lub podobny przedmiot. Zaraz to wyjaśnię. Gdyby ofiarę uderzono większym i cięższym przedmiotem, takim jak młotek czy kij bejsbolowy, byłoby więcej zewnętrznych śladów, wystąpiłoby także silne krwawienie. Uraz spowodowany mniejszym przedmiotem, takim jak tłuczek, wywoła wewnętrzne uszkodzenie mózgu, przy czym rzadko występuje zewnętrzny krwotok.

– Czy w tym wypadku wystąpił zewnętrzny krwotok?

– Nie, nie wystąpił.

Przesłuchanie nadal trwało, a Delaney starała się odczytać reakcję przysięgłych na zeznania świadków. Zauważyła, że kilka osób zerkało na Betsy Grant. Ze łzami w oczach słuchała, jaki cios wymierzono jej mężowi.

Potem Robert Maynard zadał lekarzowi sądowemu kilka pytań. Delaney nie miała wątpliwości, że świadek był absolutnie przekonany, iż Edward Grant zmarł z powodu uderzenia w głowę, a jego śmierć w żadnym razie nie nastąpiła na skutek wypadku.

Przesłuchanie świadka trwało do pierwszej. Sędzia Roth zarządził przerwę na posiłek.

– Panie i panowie – zwrócił się do ławy przysięgłych – wznowimy obrady kwadrans po drugiej. Podczas przerwy proszę nie rozmawiać o usłyszanych zeznaniach, ani między sobą, ani z innymi osobami. Miłego lunchu.

Po przerwie prokurator wezwał Franka Bruno, prawnika sprawującego nadzór nad majątkiem doktora Granta. Mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, poważny i powściągliwy, wyjaśnił, że po śmierci pierwszej żony doktora Granta jedynym spadkobiercą majątku ojca był ich syn, Alan. Po poślubieniu Betsy Ryan doktor Grant zmienił testament, czyniąc żonę i syna współdziedziczącymi; jedynie dom i jego wyposażenie pozostawił tylko Betsy. Zaznaczył ponadto, że gdyby kiedykolwiek został ubezwłasnowolniony, jego opiekunem prawnym zostaje Betsy Grant, która będzie podejmować za niego wszystkie decyzje, również dotyczące finansów i leczenia.

W trakcie dalszych zeznań Frank Bruno stwierdził, że wartość majątku Edwarda Granta, oprócz domu i jego wyposażenia, ocenia się na mniej więcej piętnaście milionów dolarów. Dodał, że dla dwóch osób spoza rodziny, Angeli Watts i Carmen Sanchez, w testamencie widnieją zapisy. Każda z nich ma otrzymać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Nie orientował się, czy przed śmiercią doktora Granta kobiety wiedziały o tych zapisach.

Robert Maynard rozpoczął przesłuchanie świadka.

– Panie Bruno, ile lat ma Alan Grant?

– Trzydzieści pięć.

– Czy słuszne byłoby stwierdzenie, że przez ostatnie lata, z różnych powodów, nie powodziło mu się najlepiej?

– Jak najbardziej słuszne.

– Może pan potwierdzić, że jego ojciec udzielał mu hojnej pomocy finansowej?

– Tak.

– Czy prawdą jest, że od prawie dziesięciu lat ojciec nie akceptował stylu życia Alana?

– To prawda. Pracował dorywczo. Jego jedynym zajęciem było robienie zdjęć reklamowych.

– Czy według pana wiedzy Betsy Grant wyraziła swoją opinię w kwestii finansowego wspierania Alana?

– Tak. Uważała, że jego doroczny zasiłek od ojca powinien być zmniejszony do stu tysięcy dolarów, co stanowiło mniej niż połowę tego, co przedtem dostawał.

– Doktor Grant ograniczył mu zasiłek do takiej sumy?

– Tak.

– Wiadomo panu, jak na to zareagował Alan Grant?

– Był wściekły i przez wiele miesięcy prawie nie odzywał się do ojca.

– A jaki był jego stosunek do Betsy?

– Obwinił ją za decyzję ojca i żywił do niej ogromną urazę.

– Panie Bruno, jest pan ekspertem w dziedzinie prawa spadkowego. Czy tak?

– Mam doświadczenie po trzydziestu pięciu latach praktyki.

– Czy ktoś skazany za morderstwo z premedytacją może dziedziczyć po swojej ofierze?

– Nie, taka osoba nie może odnosić korzyści z morderstwa.

– Gdyby Betsy Grant została skazana za morderstwo pierwszego stopnia, Alan Grant zostałby jedynym spadkobiercą?

– Tak.

Robert Maynard spojrział z lekkim uśmiechem na ławę przysięgłych.

– Panie Bruno, może zechciałby pan przypomnieć nam, co dostałby Alan Grant, jeśli Betsy byłaby skazana.

– Odziedzyczyłby cały majątek, który, nie wliczając w to rezydencji, wart jest piętnaście milionów dolarów. Ponieważ pan Grant był współwłaścicielem domu w Alpine, otrzymałby również włożone tam przez ojca fundusze, co zamknęłoby się w kwocie około trzech milionów dolarów. Ponadto odziedzyczyłby wszystkie osobiste rzeczy ojca, jak kosztowności i ubrania.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział Maynard.

– Wysoki Sądzie. – Prokurator Elliot Holmes podniósł się z krzesła. – Minęła już trzecia i wiem, że niedługo będzie przerwa w obradach. Proszę o pozwolenie wezwania kolejnego świadka oskarżenia jutro rano.

– W porządku – odparł sędzia Roth. Po przypomnieniu przysięgłym, żeby nie rozmawiali o sprawie, nie czytali gazet i trzymali się z dala od mediów, zakończył obrady.

Robert Maynard zamówił dla Betsy samochód na powrót do domu.

– Przyjadę po ciebie jutro o ósmej rano. Pomyślałem jednak, że dzisiaj potrzebujesz trochę samotności i spokoju.

– Masz rację i dziękuję ci – odpowiedziała cicho.

Wsiadła do samochodu ze świadomością, że jest pod ostrzałem kamer. Reporterzy trzaskali zdjęcia, nawet kiedy samochód odjeżdżał. Betsy oparła się na siedzeniu i przymknęła oczy. Ten dzień w sądzie wydawał się jedynie uludą. Jak ktoś mógłby uwierzyć, że skrzywdziła Teda? Nie opuszczały jej wspomnienia ich wspólnej przeszłości, począwszy od dnia pierwszego spotkania w szpitalu Hackensack. Złamała nogę na lodowisku, a uraz był na tyle poważny, że zawezwano doktora Granta.

Odniosła wrażenie, że jego obecność wypełnia całą przestrzeń. Trzymał w ręku zdjęcie rentgenowskie jej nogi.

– Nieźle się urządziłaś, Betsy – rzucił wesołym tonem. – Ale doprowadzimy cię do porządku.

Miała wtedy dwadzieścia pięć lat i uczyła historii w liceum w Hillsdale. Mieszkała w pobliskim Hackensack. Dowiedziała się wkrótce, że Ted jest wdowcem i mieszka w Ridgewood, też kilka kilometrów dalej. Byli sobą zauroczeni, a po roku zostali małżeństwem. Alan, wtedy student pierwszego roku na Cornell University, powitał ją w rodzinie z otwartymi ramionami. Chociaż bardzo brakowało mu matki, wiedział, że ze mną ojciec znów jest szczęśliwy, myślała Betsy. Ale od czasu, kiedy przekonałam Teda do zmniejszenia udzielanej mu pomocy finansowej, znenawidził mnie. On doskonale wie, że nigdy nie skrzywdziłabym jego ojca.

Potrząsnęła głową. Poczula suchość w ustach, wyciągnęła więc z uchwytu butelkę wody. Pomyślała o dniu, kiedy Ted zabrał ją do Alpine, by obejrzeć dom. Kiedy złożył ofertę kupna, agent poinformował ich, że właściciel chce dokonać transakcji w ciągu dwóch tygodni. Po dwunastu dniach pięknego wiosennego poranka rezydencja zmieniła właściciela i stała się ich domem.

Przez osiem lat byliśmy tam tacy szczęśliwi, Betsy westchnęła. A potem to się zaczęło. Niewielkie oznaki. Uwidoczniły się, kiedy Ted skończył pięćdziesiąt jeden lat.

Stał się roztargniony. Drażniły go różne drobiazgi. Złościł się, jeśli pacjenci przekładali wizyty. Zapominał o terminach spotkań towarzyskich. Narzekał, że ma za dużo na głowie, i był coraz bardziej przygnębiony. Jednak dopiero kiedy pojechali do pobliskiego miasta, a Ted, który prowadził, nie pamiętał drogi do

domu, wiadomo było, że dzieje się coś bardzo złego.

Jechała już autostradą prosto do Alpine. Wiedziała, że Carmen będzie czekać na nią z kolacją. Chciała spędzić spokojny wieczór, okazało się jednak, że w domu są trzy koleżanki ze szkoły, gdzie kiedyś pracowała. Przyszły, żeby ją pocieszyć, podnieść na duchu.

– Betsy – mówiła Jeanne Cohen, dyrektorka liceum – wszystko szybko się zatrze w pamięci ludzi. To okropne, że musisz przez coś takiego przechodzić. Każdy, kto cię zna, widział, jak troskliwie opiekowałaś się Tedem.

– Mam taką nadzieję – odparła Betsy cicho. – W sądzie zrobiono ze mnie potwora.

Siedziały w salonie, a ona pomyślała o cudownych chwilach, jakie spędzali tu z Tedem. Za oknami zalegał już mrok i wydawało się jej, że ona też tonie w mroku. Spojrzała na ulubiony fotel męża. Siedział w nim w ostatnią noc swego życia. Kiedy wszyscy zebrali się w salonie przed kolacją, wstał z fotela, wziął ją za rękę i prosił: „Betsy, pomóż mi to znaleźć”.

Godzinę później wpadł w szal. Miała jednak niejasne przeczucie, że w chwili tego przebłysku świadomości próbował coś jej powiedzieć.

Alvirah i Willy śledzili sprawozdanie Delaney z procesu. Potem popatrzyli na siebie.

– To chyba nie był dobry dzień dla Betsy Grant – skomentował Willy.

– Ale to dopiero początek – powiedziała Alvirah z nadzieją w głosie. – Prokurator sprytnie wszystko wyolbrzymia.

– Nie żałujesz, że nie jesteś sprawozdawczynią tego procesu?

– Zacznę chodzić do sądu jako widz, kiedy obrona ruszy do ataku. Na razie chcę się skupić na czymś innym. Delaney tak bardzo pragnie odnaleźć swoją biologiczną matkę. Teraz, kiedy jej rodzice adopcyjni są daleko stąd, uważa, iż może wrócić do sprawy, nie raniąc ich uczuć.

– To nie ma sensu. – Willy pokręcił głową.

– Właśnie że ma. Kiedy Delaney stale się z nimi widywała, wiedziała, że ilekroć wspomniała o adopcji, Jennifer Wright odbierała to jako odtrącenie. Metryka urodzenia kłamliwie podaje ich nazwiska jako rodziców. Zobaczmy, co mi się uda odkryć. Wiesz, że jestem dobrym detektywem.

Alvirah nie nauczyła się jeszcze korzystać z komputera. Wciąż popełniała omyłki, szukając danych w Internecie. Postanowiła jednak zobaczyć na własne oczy metrykę urodzenia Delaney. Z pomocą męża udało się jej dotrzeć do tej informacji. Niestety bardzo skąpej. Alvirah dowiedziała się tylko, że dwadzieścia sześć lat temu, szesnastego marca o godzinie szesnastej sześć, przysłała na świat dziewczynka, Delaney Nora Wright. Miejsce urodzenia – Oak Street numer 22, Filadelfia. Nazwiska oraz adres matki i ojca – James Charles Wright, pięćdziesiąt lat, i Jennifer Olsen Wright, czterdzieści dziewięć lat, zamieszkali w Oyster Bay na Long Island.

– Posłuchaj, Willy. Jediną informacją, jaką Wrightowie mogli dać Delaney, było nazwisko akuszerki, którą była Cora Banks, i miejsce urodzenia – Oak Street numer 22. Delaney powiedziała mi, że w książce telefonicznej Filadelfii znalazła cztery takie nazwiska. Zadzwoiła pod każdy numer, ale te kobiety były o wiele młodsze, niż akuszerka Cora Banks mogłaby teraz być, i żadna nic o takiej osobie nie wiedziała.

Kiedy Willy wydrukował metrykę urodzenia, Alvirah popatrzyła na kartkę z ponurą miną.

– Myślałam, że będzie to bardziej pomocne.

– Mogę sprawdzić w Internecie ten adres i zobaczyć, co tam teraz jest – zaproponował Willy.

Na zdjęciu lotniczym Oak Street był jakiś budynek przemysłowy, stojący

pomiędzy mniejszymi budynkami.

– Wygląda, że dom pod numerem 22 został wyburzony – oznajmił Willy, a Alvira ciężko westchnęła.

– To utrudni mi pracę. Ale popatrzmy na to z innej strony. Zawsze mówiłam, że zanim umrę, chciałabym znów zobaczyć Filadelfię. Pojedźmy tam, Willy.

Następnego ranka, o dziewiątej trzydzieści, wznowiono obrady.

– Wysoki Sądzie – zaczął Elliot Holmes. – Oskarżenie wzywa Alana Granta.

Otworzyły się drzwi prowadzące do sali sądowej, a przysięgli i widzowie wpatrywali się w syna Edwarda Granta, gdy zbliżał się wolnym krokiem do miejsca dla świadka. Był młodym, przystojnym mężczyzną, miał na sobie granatową sportową marynarkę, niewątpliwie drogą, szare spodnie i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Po zaprzysiężeniu zajął miejsce dla świadka.

Prokurator zadał mu kilka ogólnych pytań. Alan, absolwent Cornell University, profesjonalny fotograf, był rozwiedziony z matką swoich dwojga dzieci, miał także dziesięcioletniego syna z poprzedniego związku.

Potem Holmes zajął się stosunkami panującymi w rodzinie Grantów.

– Był pan zadowolony, że ojciec poślubił Betsy Ryan?

– Bardzo – odpowiedział Alan spokojnie. – Gdy umarła matka, ojciec miał dopiero czterdzieści lat. Wiedziałem, że czuje się bardzo samotny. Byłem zachwycony, kiedy poznał Betsy, a rok później się pobrali.

– Czy był pan obecny na kolacji urodzinowej ojca?

– Tak.

– Kto jeszcze tam był?

– Oczywiście Betsy. Zaprosiła też dwóch innych lekarzy, którzy z nim kiedyś pracowali, oraz ich żony. Byli doktor Kent Adams, jego żona Sarah i doktor Scott Clifton z żoną Lisą.

– Jak się wtedy zachowywał pana ojciec?

– Początkowo bardzo spokojnie. Miałem wrażenie, że cieszy go to spotkanie, chociaż wydaje mi się, że nie do końca nas rozpoznawał. Mógł mieć przebłęski świadomości, kim jesteśmy. Trudno powiedzieć.

– Czy pana macocha komentowała jego zachowanie?

– Tak. Powiedziała, że przez ostatnie dwa dni był bardzo podenerwowany, otwierał szuflady i wyrzucał ich zawartość na podłogę, zrzucał książki z półek bibliotecznych. Mówiła, że chciała odwołać kolację, ale rano miał dobry nastrój, zachowywał się spokojnie, więc nie zrobiła tego.

– Czy zaraz po przyjściu zauważył pan siniak na jej twarzy?

– Tak. Próbowiła ukryć go pod makijażem, lecz pozostał widoczny.

– Spytał pan ją o ten siniak?

– Tak.

– Co odpowiedziała?

– Że ojciec uderzył ją dwa dni temu.

- Była zła?
- Nie, raczej zrezygnowana.
- Czy zachowanie pana ojca zmieniło się w trakcie wieczoru?
- Tak. Początkowo piliśmy koktajle w salonie. Oczywiście, ojciec nie pił. Lecz kiedy mieliśmy przejść do jadalni, nagle ogarnęło go dziwne podniecenie.
- Co wtedy zrobił?
- Był zdenerwowany, nie mówiąc ani słowa, wskazał na nas palcem.
- Betsy jakoś zareagowała?
- Podeszła do niego, objęła go, zaczęła pocieszać i się uspokoił.
- Co było potem?
- Podczas kolacji panowała miła atmosfera. Ojciec był spokojny i miał apetyt. Tuż przed podaniem kawy i deseru szybko podniósł się z krzesła i dosłownie rzucił przez stół w stronę doktora Cliftona i jego żony Lisy.
- Co się wtedy stało?
- Betsy chwyciła tatę za rękę, by go powstrzymać, a on obrócił się i uderzył ją w twarz. Mocno. Opadła na krzesło i szlochała. Przy pomocy doktora Cliftona i Angeli, opiekunki ojca, zaprowadziliśmy go do jego pokoju. Zrobił się nagle bezwładny, jakby był wyczerpany. Angela dała mu środek na uspokojenie. Przebraliśmy go w piżamę i położyliśmy do łóżka. Po kilku minutach zamknął oczy i zaczął równomiernie oddychać. Zasnął.
- Co pan wtedy zrobił?
- Zauważyłem, że Angela jest bardzo blada, i spytałem, co jej dolega. Skarzyła się na ból żołądka, mówiła, że chyba czymś się zatrula. Poradziłem, żeby poszła do domu.
- Delaney zauważyła na twarzy Alana Granta wyraz bólu; wydał się jej prawdziwy.
- Co wtedy zrobiła?
- Odpowiedziała, że jeśli nie poczuje się lepiej, uda się do domu.
- Panie Grant, czy wiedział pan, jak jest umeblowana sypialnia ojca?
- Tak.
- Na nocnym stoliku obok łóżka leżały jakieś przedmioty?
- Tak. Moździerz z tłuczkiem. To nagroda, którą otrzymał od szpitala Hackensack. Byłem wtedy na bankiecie, gdy mu ją wręczono,
- Tamtej nocy, będąc w pokoju ojca, widział pan tłuczek w moździerzu?
- Tak. Jestem absolutnie pewny. Kiedy razem z Angelą Watts staraliśmy się uspokoić tatę, wskazałem tę nagrodę i powiedziałem do niego: „Tato, pamiętasz ten bankiet? Było wspaniale. Wygłosiłeś świetną mowę”. Nie wiem, czy cokolwiek z tego zrozumiał, ale ja przez cały czas patrzyłem to na niego, to na nagrodę.
- Cofnijmy się trochę. Kiedy poradził pan opiekunce, żeby poszła do domu, co pan potem robił?

– Wróciłem do jadalni. Doktor Adams położył Betsy zimny okład na twarz. Wciąż łkała, przytrzymując okład.

– Czy pan z nią rozmawiał?

– Nie. Powiedziała tylko: „Nie mogę już tego robić. Przykro mi, ale dłużej tego nie zniosę”.

– Jak pan na to zareagował?

– Żal mi było Betsy. Ojciec ją uderzył. Była nerwowo wyczerpana.

– Czy pan uznał jej wypowiedź „Nie mogę już tego robić” za groźbę w stosunku do pana ojca?

– Wtedy nie przyszło mi to nawet do głowy. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, czy to nie była groźba.

– Kiedy dowiedział się pan o śmierci ojca?

– Następnego ranka.

– Od kogo?

– Betsy do mnie zadzwoniła.

– Jak opisałby pan jej stan emocjonalny podczas tej rozmowy?

– Była bardzo rzeczowa.

– Pamięta pan, co dokładnie mówiła?

– Tak. „Alanie, tata umarł w nocy. Jestem pewna, że uznasz, podobnie jak ja, iż to było zrządzenie losu”.

– Co pan odpowiedział?

– Ogarnął mnie smutek. Potem powiedziałem mniej więcej tak: „Ojciec, jakiego znałem, nie istniał przynajmniej przez ostatnie kilka lat. Wiesz, jak się teraz czuję, Betsy. Jestem zadowolony, że skończyły się jego cierpienia”.

– Czy wtedy podejrzewał pan jakąś nieczystą grę?

– Absolutnie nie.

– Jak pan zareagował na wiadomość, że jego zwłoki zostały przekazane lekarzowi sądowemu?

– Trudno mi było uwierzyć. Myślałem, że zaszła jakaś pomyłka.

– Kiedy dowiedział się pan, że ojciec otrzymał śmiertelny cios w tył głowy, jak pan na to zareagował?

– Natychmiast pomyślałem, że Betsy zadała ten cios – stwierdził Alan Grant, patrząc prokuratorowi w oczy.

Robert Maynard zerwał się z miejsca, krzycząc:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, to wysoce niestosowne i szkodliwe.

– Podtrzymany. – Sędzia Roth natychmiast zareagował. – Odpowiedź zostaje wykreślona. Sędzia i przysięgli nie wezmą jej pod uwagę.

– Przeformułuję pytanie. Proszę opisać zachowanie ojca w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– Stawało się coraz bardziej kłopotliwe. Słowa „Dłużej tego nie zniosę”

wypowiedziane przez Betsy przed jego śmiercią wydały mi się krzykiem rozpacz.

– Jak określiliby pan swoje relacje z Betsy Grant po śmierci ojca?

– Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny byliśmy sobie bardzo bliscy. Pocieszałyśmy się wzajemnie i omawialiśmy sprawę pogrzebu.

– W jakim momencie ustały pana przyjacielskie stosunki z Betsy Grant?

– Gdy dowiedziałem się, że czaszka ojca została zmiażdżona na skutek silnego ciosu i że zniknął tłuczek ze stojącego przy łóżku mózdzierza.

– Kiedy dowiedział się pan, że pana macocha spotyka się z innym mężczyzną?

– Dopiero po śmierci ojca.

– Jak pan to przyjął?

– Byłem zszokowany. Wściekły. Rozczarowany.

– Jak Betsy Grant zachowywała się w stosunku do pana ojca w miesiącach poprzedzających jego śmierć?

– Okazywała mu wiele uczucia. Natomiast lekarz sugerował, by umieściła ojca w domu opieki.

– Dlaczego tak uważał?

– Obawiał się, że ojciec może ulec poważnemu wypadkowi.

– Na przykład?

– Tato wchodził na piętro i przechylał się przez balustradę. Wyrzucał rzeczy z szuflad w sypialni.

– Jak zareagowała Betsy Grant na sugestię lekarza?

– Zablokowała wejście na piętro, a sama przeniosła się na parter do sypialni, którą poprzedni właściciel przeznaczył na pokój dla służącej. Innymi słowy, chciała sprawować nad nim kontrolę.

– Sprzeciw! – krzyknął Maynard.

– Wysoki Sądzie, chciałbym spytać pana Granta, co rozumie przez sformułowanie „sprawować nad nim kontrolę” – odpowiedział Holmes.

– Zezwalam na udzielenie tego wyjaśnienia – zdecydował sędzia.

– Proszę uściślić swoją wypowiedź.

– Oczywiście, chciałem powiedzieć, że starała się chronić go przed odniesieniem jakiegoś urazu.

– Pani Grant zdecydowała, że zatrzyma męża w domu, mimo że lekarz sugerował inne rozwiązanie?

– Tak.

– Czym tłumaczyła swoją decyzję?

– Powiedziała, że ojciec jej potrzebuje. Mówiła, że w przebiegach świadomości błaga ją, by została z nim. Wytłumaczyła mi także, że kiedy choroba Alzheimera przedwcześnie dotyka kogoś stosunkowo młodego, ta osoba zwykle nie żyje dłużej niż siedem lat. A ten okres mój ojciec miał już za sobą.

– Jednak tego wieczoru, gdy nagły cios pozbawił pana ojca życia, czyż Betsy Grant nie zawodziła: „Dłużej tego nie zniosę”?

– Sprzeciw. Pytanie sugerujące. – Tym razem sprzeciw zgłosił jeden z asystentów Maynarda.

– Podtrzymany – orzekł sędzia.

Elliot Holmes spojrział na ławę przysięgłych. Delaney wiedziała, że prokurator dopiął swego.

– Wysoki Sądzie – powiedział. – Nie mam więcej pytań.

– Panie Maynard – sędzia Roth zwrócił się do obrońcy – może pan przesłuchać świadka.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Panie Grant, ile ma pan lat?

– Trzydzieści pięć.

– Czy po ukończeniu college’u podjął pan dalsze studia, czy od razu zaczął pracować?

– Od razu zacząłem pracować.

– Znaczy, że pracuje pan trzynaście lat?

– Tak.

– Czym się pan zajmuje?

– Zawsze byłem fotografem freelancerem.

– Jak rozumiem, nie pobiera pan stałej pensji? Otrzymuje wynagrodzenie jedynie za wykonaną pracę. Mam rację?

– Tak.

– Czy mógłby pan określić swój przeciętny roczny zarobek na przestrzeni tych lat?

– Przeważnie pomiędzy pięćdziesiąt a osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

– Czy prawdą jest, że od początku własnej kariery otrzymywał pan pomoc finansową od swojego ojca?

– Tak. Ojciec mnie kochał. Byłem jego jedynym synem i chciał mi pomóc.

– Jak wyglądała ta pomoc? Dawał panu pieniądze zawsze, kiedy pan o nie prosił, czy była jakaś inna forma wsparcia?

– Przez kilka lat po ukończeniu studiów często musiałem kupować nowy sprzęt fotograficzny, obiektywy, filtry i inne rzeczy, by móc znaleźć pracę. Przeważnie, kiedy prosiłem o pomoc, ojciec mi jej udzielał.

– Czy ten układ uległ zmianie?

– Betsy po trzech czy czterech latach po ślubie przekonała go, żeby pomagał mi raz w roku. Na każde Boże Narodzenie dostawałem od ojca czek na sto tysięcy dolarów.

– Także na to ostatnie pan otrzymał?

– Zgadza się.

– Sto tysięcy na Boże Narodzenie, a w roku zarabiał pan przeciętnie

sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, co znaczy, że miał pan na wszystkie swoje wydatki sto sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie. Mam rację?

– Tak.

Delaney robiła notatki, kiedy Maynard wglębiał się w sytuację finansową Alana Granta. Żałowała teraz, że podczas studiów w college'u nie przykładła się do nauki na kursie księgowości. Jeśli Maynard chciał dowieść, że sytuacja finansowa Granta była zabałaganiona, to osiągnął swój cel.

W odpowiedzi na pytania obrońcy Grant przyznał, że dużo kosztował go rozwód z matką jego dwojga dzieci oraz że sąd ustalił wysokie alimenty. Musiał również płacić na dziecko z innego związku. Kiedy ukończył studia, ojciec kupił mu mieszkanie z prawem własności, a on wziął pożyczkę, której zabezpieczenie stanowiła wartość mieszkania. Pożyczka miała być spłacana w miesięcznych ratach, musiał również płacić czynsz za mieszkanie, ubezpieczenie zdrowotne, za utrzymanie samochodu i za garaż. W jego dość wysokich wydatkach na własne utrzymanie mieściły się trzy wyjazdy wakacyjne w ciągu roku. Grant przyznał, aczkolwiek niechętnie, że jego wydatki sięgające osiemnastu tysięcy dolarów miesięcznie znacznie przewyższały sumę, jaką miał do dyspozycji, czyli sto sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie.

Maynard wciąż zadawał pytania.

– Czy ojciec kiedykolwiek rozmawiał z panem o zmianie zawodu?

– Mówił mi, że fotografia nie popłaca i że jest to zajęcie dorywcze. Chciał, żebym miał zawód, który zapewniłby mi stały dochód.

– Posłuchał pan jego rady i szukał innego zajęcia?

– Nie.

– Wróćmy do pana deficytu finansowego, jaki już ustaliliśmy. Żeby wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, brał pan jeszcze inne pożyczki?

– Poza pożyczką pod zastaw mieszkania zaciągałem również długi u przyjaciół.

– Od tych długów płaci pan odsetki?

– Płacę odsetki od pożyczki bankowej. Większość moich przyjaciół zgodziła się, że zwrócę im dług wraz z odsetkami, kiedy otrzymam spadek.

– Jak pan wcześniej zeznał, otrzymał swój doroczny prezent w ostatnie Boże Narodzenie, już po śmierci ojca. Zgadza się?

– Tak. Skontaktowałem się ze sprawującym pieczę nad majątkiem prawnikiem i on uzyskał zgodę sądu na tę wypłatę.

– Czy Betsy Grant nie protestowała przeciwko temu?

– Nie rozmawiałem z nią na ten temat, zrobił to prawnik i powiedział, że nie miała zastrzeżeń.

– Trzy miesiące temu zwrócił się pan ponownie do sądu o kolejną wypłatę, prawda?

– Tak, ponieważ wszystkie środki są zamrożone aż do zakończenia procesu. Powiedziano mi, że ze względu na moje wydatki mogę się ubiegać o częściową wypłatę.

– Jaką sumę zatwierdził sąd?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Panie Grant, ma pan odziedziczyć połowę wartego piętnaście milionów dolarów majątku, jeśli Betsy Grant nie zostanie skazana, a jeśli zostanie, odziedziczy pan całe piętnaście milionów. Mam rację?

– Tak to rozumiem, proszę pana.

– Panie Grant, cofnijmy się o osiemnaście miesięcy, kiedy pana ojciec jeszcze żył. Czy słuszne jest stwierdzenie, że znalazł się pan wtedy w rozpaczliwej sytuacji finansowej, a jednocześnie był spadkobiercą wielomilionowego majątku, gotowego do podziału po jego śmierci?

– Tak. Ale ja kochałem ojca i nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią.

Delaney widziała, jak Alan Grant, odpowiadając na pytania, wierci się na krześle. Czuł się nieswojo.

– Panie Grant, dokąd pan poszedł po urodzinowej kolacji ojca?

– Wróciłem do Nowego Jorku. Miałem się z kimś spotkać w barze koło mojego mieszkania.

– O której pan tam dotarł?

– Około dziesiątej wieczorem.

– Jak długo pan tam przebywał?

– Jakies dwie godziny. Wyszedłem koło północy

– Spotkał się pan tam ze swoją byłą dziewczyną. Nie mylę się?

– To prawda. Spotkaliśmy się.

– Jak się ona nazywa?

– Josie Mason.

– Wyszliście razem?

– Tak.

– Dokąd poszliście?

– Poszliśmy do jej mieszkania, dwie przecznice dalej.

– Został pan tej nocy w jej mieszkaniu?

– Tak. – Alan poczerwieniał ze złości. – Panie Maynard, wiem, do czego pan zmierza. Wszystkie moje poczynania są całkowicie przejrzyste od chwili, gdy opuściłem dom ojca, do następnego rana, kiedy zadzwoniła do mnie Betsy, zawiadamiając o jego śmierci. W barze są kamery monitoringu; również w budynku, gdzie mieszka moja była dziewczyna. Prokurator już to wszystko sprawdził.

– Naturalnie – potwierdził Maynard ironicznym tonem. – Proszę mi powiedzieć, panie Grant, czy znał pan kod do alarmu w domu swojego ojca?

- Nie, nie znałem.
- Czy jest jakiś powód, dla którego nie znał pan tego kodu?
- To nigdy nie było konieczne.
- Miał pan kiedykolwiek klucz do domu ojca?
- Nie, nie miałem. Powtarzam, to nigdy nie było konieczne.
- Tak więc gdyby coś nagłego wydarzyło się w domu, pan nie miał klucza i nie znał kodu do alarmu.
 - Jak już mówiłem, nigdy nie zachodziła taka konieczność. W domu zawsze byli ludzie, gosposia, opiekunka. Nie musiałem mieć klucza ani znać kodu.
 - Często widywał się pan z ojcem, prawda?
 - Tak, przynajmniej co dwa tygodnie, również w czasie jego choroby.
 - Pana ojciec, nawet w ostatnich latach, miewał przebłycki świadomości. Nie mylę się?
 - Tak. Ceniłem je.
 - Czy spytał go pan wtedy o kod do alarmu?
 - Absolutnie nie.
 - Materiał dowodowy wykaże, że nie doliczono się jednego z kilku kluczy do domu. To był klucz pana ojca.
 - Nic nie wiem o tym kluczu.
 - Wysoki Sądzie – powiedział Maynard – nie mam więcej pytań do tego świadka. – W końcu zdania zabrzmiał sarkastyczny ton.
 - W porządku – odparł sędzia. – Zarządzam przerwę na lunch.

Przez cały ranek Delaney robiła notatki z przebiegu procesu. Na lunch chodziła do sądowej kafeterii, gdzie bywało również wielu widzów, i starała się słuchać wygłaszanych przez nich opinii na temat zeznań świadków. Nie widziała tam nigdy Betsy Grant ani jej adwokatów, ani prokuratora i jego asystentów.

Kafeteria była hałaśliwa, ale Delaney wybrała miejsce obok stolika, przy którym siedziało pięć znanych jej z sali sądowej kobiet, rozprawiających o wydarzeniach dnia. Wszystkie miały siwe włosy i wyglądały na osoby dobrze po siedemdziesiątce. W panującym gwarze musiały mówić głośno. Ich słowa bardzo ją zaskoczyły.

– Uważam, że ona to zrobiła – upierała się jedna z kobiet. – Właściwie jestem prawie pewna, że to ona. Moja babka miała alzheimera, a matka, która się nią opiekowała, była na skraju załamania nerwowego. Babcia, kiedyś rozkoszna, najmiłsza osoba, jaką można by sobie wyobrazić, pod koniec choroby stała się podejrzliwa, myślała, że moja matka próbuje ją zabić, wypluwała podawane leki. Jej śmierć była łaską z nieba, mogliśmy wtedy wspominać cudowne chwile spędzane z nią, śmiać się z wielu przezabawnych sytuacji.

– Louise, czy twoja matka nigdy nie miała ochoty jej zabić?

– Oczywiście, że nie – odparła zszokowana Louise.

– Jednak wierzysz, że Betsy Grant zabiła swojego męża?

– Tak, wierzę. Pomyślcie tylko, jej mąż zachorował na alzheimera, mając pięćdziesiąt jeden lat. Ona miała wtedy dopiero trzydzieści trzy. Była już u kresu wytrzymałości. Uważam, że Betsy Grant to naprawdę miła osoba, ale coś w niej pękło.

Poparła ją trzecia kobieta ze stolika obok.

– Nie zapominajcie, że ona nie tylko odziedziczyłaby mnóstwo pieniędzy, ale spotykała się też z innym facetem. Czytałam gdzieś, że miłość i pieniądze są bardzo często przyczyną morderstw. Betsy Grant miała motyw.

– A syn Granta? – Czwarta kobieta potrząsnęła głową. – Ojciec rozpuścił Alana do granic możliwości, a to Betsy przekonała go, by ograniczył mu wsparcie finansowe. Jak widać, siedzi w długach po uszy. Wydostanie się z nich tylko po śmierci ojca.

– Przecież go sprawdzali. Spędził noc w Nowym Jorku.

– A nie mógł znaleźć kogoś, kto zrobiłby to za niego?

– Musiałby znać kod do alarmu i mieć klucz.

– Nie mógł też wiedzieć, że opiekunka nagle się rozchoruje i pojedzie do domu.

– Nie jest święty, nie sądzę jednak, by był w to zamieszany.

Delaney wzdrygnęła się, słysząc, że padły cztery głosy przeciwko Betsy, a tylko jeden za.

Podczas popołudniowej rozprawy zeznawały dwie żony lekarzy, obecne wraz z mężami na urodzinowej kolacji w noc śmierci doktora Granta. Nie wniosły nic nowego do sprawy, w zasadzie powtórzyły to, co przedtem mówił Alan Grant.

Trzecim świadkiem była Josie Mason. Trzydziestolatka zeznała, że niezbyt regularnie spotykała się z Alanem Grantem na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Dwudziestego pierwszego marca ubiegłego roku umówiła się z nim w nowojorskim barze około dziesiątej wieczorem. Alan opowiadał jej, że wcześniej był na kolacji w domu swojego ojca. Opowiedziała, że około północy poszli pieszo do oddalonego o kilka przecznic jej mieszkania, gdzie spędził z nią noc.

Mason zapewniła, że Alan nie opuścił jej mieszkania w nocy. Wyszedł dopiero rano koło ósmej. Dodała też, że detektywi z prokuratury okręgowej skontaktowali się z zarządcą budynku i otrzymali od niego taśmy z monitoringu, na których widać, jak ona z Alanem wchodzi tamtej nocy do budynku, a on wychodzi następnego ranka.

Po zarządzeniu przez sędziego przerwy w rozprawie Delaney udała się od razu do telewizji, by przygotować się do transmisji o szóstej po południu. Obejrzała materiał filmowy z Betsy Grant, gdy kobieta wchodziła do gmachu sądu i z niego wychodziła.

Wygląda, jakby coś ją przygniatało do ziemi, pomyślała Delaney w nagłym porywie współczucia. Mam nadzieję, że w domu czekać będą na nią przyjaciele.

Gospośnia Betsy, Carmen Sanchez, była tego dnia pierwszym świadkiem. Zaciskając wilgotne dłonie, drżącym głosem podała swoje nazwisko, powiedziała, skąd pochodzi, i odpowiedziała na wstępne pytania, jak została gosponią w domu Grantów w Alpine.

– Zaczęłam pracować dla doktora Teda zaraz po śmierci jego pierwszej żony.

– Jak dawno temu?

– Dziewiętnaście lat temu.

– Po ilu latach pani pracy u doktora Teda Granta on się powtórnie ożenił?

– Po dwóch latach. – Carmen, choć o to niepytana, zaczęła mówić z zapalem: – Nie możecie sobie nawet wyobrazić zmiany, jaka zaszła w doktorze. Był taki szczęśliwy. Jego pierwsza ukochana żona przez wiele lat chorowała na raka.

– Pani Sanchez, proszę odpowiadać tylko na zadawane pytanie – upomniał ją sędzia.

– Przepraszam. Ale gdy tylko pomyślę o doktorze Tedzie i pani Betsy, jak oni patrzyli na siebie...

– Pani Sanchez, proszę nie wchodzić w szczegóły – dodał sędzia stanowczym tonem.

– Och, Wysoki Sądzie, tak mi przykro. – Carmen popatrzyła na prokuratora i ciężko westchnęła. – Wiedziałam, że nie pójdzie mi dobrze.

– Pani Sanchez, czy tego wieczoru przed śmiercią doktora Granta byliście wszystkie w domu?

– Tak, pani Betsy wydała urodzinową kolację dla pana Teda, ja ją ugotowałam, a potem podawałam do stołu.

– Czy tego wieczoru doktor Grant nagle bardzo się zdenerwował?

– Tak, byłam wtedy w kuchni. Usłyszałam, że coś się dzieje, i pobiegłam do jadalni. Widziałam, że jest wyprowadzony z równowagi. Doktor Clifton, Alan Grant i Angela zaprowadzili go zaraz do sypialni.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Kiedy doktor Ted upadł na stół, niektóre talerze i kieliszki się potłukły. Od razu posprzątałam, chciałam podać kawę i ciasto, ale nikt nie miał już na to ochoty. Zrobiłam wszystko, co trzeba, i szykowałam się do wyjścia. Goście też zaczęli się żegnać; myślę, że wyszli zaraz po mnie.

– Wiedziała pani, że Angela Watts w pewnym momencie poszła do domu?

– Tak, źle się poczuła i chciała spędzić noc u siebie.

– Czy pani Grant prosiła, by pani została na noc, ponieważ nie będzie Angeli Watts?

– zaproponowałam, że ją zastąpię, ale pani Betsy podziękowała mi i powiedziała, że to nie jest konieczne.

– Pani Sanchez, o której weszła pani do domu Grantów tego ranka po śmierci doktora Granta?

– Zawsze przychodzę koło ósmej trzydzieści.

– Czy tego dnia, kiedy znaleziono nieżywego doktora, też pani przyszła o ósmej trzydzieści?

– Utknęłam za szkolnym autobusem, więc dotarłam chyba za dwadzieścia dziewięć.

Carmen spojrzała na Betsy, która uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy. Boże, dopomóż jej, pomyślała.

– Przyjechała pani do domu Grantów za dwadzieścia dziewięć rano, w dniu kiedy okazało się, że doktor Grant nie żyje? – upewnił się prokurator.

– Tak. – Odpowiadaj tylko na pytania, Carmen, przypominała sobie w duchu.

– Kiedy weszła pani do domu, kogo tam zastała?

– W sypialni był policjant, Angela Watts, opiekunka, i pani Betsy. Angela powiedziała mi, że doktor Ted nie żyje.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Poszłam na górę do głównej sypialni.

– Dlaczego pani tam poszła?

– Chciałam pomóc i tylko to przyszło mi do głowy. Byłam pewna, że kiedy pan Ted odszedł, pani Betsy będzie chciała wrócić do swojej dawnej sypialni. Wiedziałam, że na górze będzie jej wygodniej.

– Co pani robiła w tamtym pokoju?

– Zmieniałam pościel. Sprawdziłam, czy w łazience jest idealny porządek. Posprzątałam i odkurzyłam podłogę.

– Kiedy ostatni raz była pani w tym pokoju przed porankiem, gdy dowiedziała się pani, że doktor Ted nie żyje?

– Zawsze chodziłam tam raz w tygodniu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Kiedy ostatni raz sprzątała pani ten pokój jeszcze przed śmiercią doktora Granta?

– Sprzątałam tam dzień wcześniej.

Carmen zastanowiła się chwilę. Chciała powiedzieć, że zauważyła jakiś brud na dywanie, przypomniała sobie jednak polecenie sędziego, by odpowiadać tylko na pytania. Nie rozumiem, jak mogłam przeoczyć taką plamę w dniu przed śmiercią doktora Teda, zganiła siebie. Och, już wiem dlaczego. Tydzień temu

weszli tam ludzie do mycia okien, kiedy tylko skończyłam sprzątanie.

– Co pani robiła potem, gdy doprowadziła już pokój do porządku?

– Zeszłam na dół i zrobiłam kawę. Namawiałam panią Betsy na zjedzenie czegoś, ale tylko wypła kawę. Ja i Angela czekałyśmy z panią Betsy w pokoju śniadaniowym, kiedy ludzie z zakładu pogrzebowego zabierali ciało doktora Teda.

– Jak by pani opisała konduite pani Grant?

– Co?

– Jak się wtedy zachowywała pani Grant?

– Była bardzo spokojna. Stała przy oknie i patrzyła, jak ciało doktora Granta wkładano do karawanu.

– Czy coś do pani powiedziała?

– Owszem: „To już koniec. Dzięki Bogu, to już koniec”.

Nie to powiedziałam, pomyślała Betsy. Powiedziałam: „Dzięki Bogu, to dla niego już koniec”.

– Nie mam więcej pytań – stwierdził prokurator.

Robert Maynard wstał ze swojego miejsca.

– Nie mam pytań, Wysoki Sądzie.

– Panie i panowie – sędzia Roth zwrócił się do przysięgłych – koniec zeznań na ten tydzień. Następne posiedzenie we wtorek o dziewiątej rano.

We wtorek o ósmej rano jedna z przysięgłych zadzwoniła do gabinetu sędziego, uprzedzając, że zachorowała na zapalenie oskrzeli i nie może uczestniczyć w posiedzeniu. Jednocześnie stwierdziła, że na pewno jutro poczuje się lepiej. Po przedyskutowaniu z adwokatami, czy należy ją usprawiedliwić i kontynuować przewód sądowy, czy też odwołać dzisiejszą rozprawę, sędzia, aczkolwiek niechętnie, postanowił odroczyć ją do następnego dnia.

Program telewizyjny o szóstej wieczorem pierwszy podał wiadomość, że Stevena Harwina, dwudziestojednoletniego syna wybitnego reżysera Lucasa Harwina, znaleziono martwego na skutek przedawkowania w jego mieszkaniu w SoHo. Tę tragedię potęgował fakt, że Steven jako nastolatek wyleczył się z białaczki, a potem zajmował się zbieraniem pieniędzy na badania nad tą chorobą. Założył fundusz „Pięć dolarów miesięcznie”, który zyskał trzysta tysięcy darczyńców. Na tydzień przed śmiercią przemawiał na imprezie zorganizowanej w celu prowadzenia zbiórki: „Moje pokolenie musi wziąć na siebie odpowiedzialność i włączyć się w poszukiwania lekarstwa na raka”.

– To okropna strata – szepnęła Delaney do Dona, kiedy siedzieli obok siebie, czekając na sygnał do wejścia na antenę.

– Niedawno słyszałem, że facet, z którym chodziłem do college’u, zrobił to samo – odparł Don. – Trzydzieści sześć lat i dwoje dzieci. Chciałbym wszystkich dilerów wysłać na Marsa.

– Ja też.

Kiedy skończyły się reklamy, Don zwrócił się do komentatora sportowego, Ricka Johnsona.

– Co słyhać w bejsbolu, Rick? Jakie szanse mają w tym sezonie Yankees?

Po wiadomościach Delaney jak zwykle poszła pieszo do domu. Często spotykała się z przyjaciółmi w jednej z pobliskich restauracji, dzisiaj jednak wybrała samotność. Za każdym razem, gdy zaczęła odczuwać nagłą potrzebę odnalezienia swojej biologicznej matki, lubiła być w domu.

Te okresowe ataki tęsknoty spotęgowały się po programie, gdzie kamery towarzyszyły spotkaniu syna z biologiczną matką, no i rozmowa z Alvirah i Willym w restauracji u Patsy rozbudziła nadzieję. Ciekawa jestem, myślała, przechodząc Sixth Avenue, czy ona rzeczywiście zamierza rozpocząć własne dochodzenie. Uśmiechnęła się. Kiedy Alvirah Meehan mówi, że chce coś zrobić, to robi. Kto wie? Może znajdzie jakiś sposób i odszuka akuszerkę?

Wróciła myślami do procesu. Prokuratura odnosiła sukces. Zebrano wiele dowodów wskazujących, że Betsy Grant zamordowała swojego męża. W przypadku Alana Granta obrona miała twarde orzechy do zgryzienia, ponieważ prokuratura udowodniła, że tamtą noc spędził w Nowym Jorku.

– A gdzie się podział tłuczek? – zastanawiała się Delaney. Co prawda, Betsy miała wystarczająco dużo czasu, by się go pozbyć. Ale gdzie mogła go schować? Zgodnie z tym, co podawała prasa, lekarz sądowy, po otrzymaniu wiadomości z zakładu pogrzebowego, skontaktował się z policją i zgłosił, że podejrzewa, iż

powodem śmierci Granta był uraz czaszki. Policja natychmiast otrzymała nakaz rewizji w domu Grantów, gdzie dokonano szczegółowego przeszukania, łącznie z przylegającym do domu terenem. Upłynęło jednak przynajmniej trzydzieści godzin od czasu przewiezienia ciała do zakładu pogrzebowego, odkrycia urazu czaszki, sekcji zwłok, otrzymania przez policję nakazu rewizji, aż wreszcie doszło do przeszukania domu.

Pomyślała też o zeznaniach gosposi. Coś ją w nich zastanowiło. Czy chodziło tylko o to, że była bardzo zdenerwowana i starała się przeformułować swoje odpowiedzi? Sędzia stale przypominał jej, że ma odpowiadać tylko na pytania, co wyprowadzało ją z równowagi.

Czekając na zmianę świateł, Delaney poczuła dotyk czyjejs dłoni i usłyszała znajomy głos.

– Czy mogę zaprosić panią na kolację?

Zaskoczona, szybko podniosła wzrok. To był Jonathan Cruise, którego poznała dwa miesiące wcześniej na ślubie przyjaciół w Bostonie. Pracował jako dziennikarz śledczy dla „Washington Post” i okazało się, że mieli ze sobą wiele wspólnego.

Kiedy przed miesiącem Jonathan przyjechał do Nowego Jorku, by odwiedzić siostrę, zjedli razem kolację. Potem zadzwonił, żeby powiedzieć, jak wspaniale było ją spotkać, i na tym się skończyło. Od tamtego czasu nie miała od niego żadnych wiadomości. Jednak często o nim myślała, rozczarowana, że więcej się do niej nie odezwał.

Zawsze chodziła pieszo do domu, po pracy więc zmieniała pantofle na tenisówki. Teraz Jonathan wydał się jej bardzo wysoki, ale uświadomiła sobie, że podczas dwóch poprzednich spotkań miała wysokie obcasy, a wtedy zdawał się tylko o trzy lub o pięć centymetrów wyższy od niej. W jego kruczoczarnych włosach widać było kilka srebrnych pasemek. Delaney przypomniała sobie, jak mówił, że prawdopodobnie osiwieje jeszcze przed czterdziestką. „To się przydarzyło mojemu ojcu. Może wtedy będę wyglądał dystyngowanie”.

Te myśli szybko przebiegały jej przez głowę, kiedy na niego patrzyła.

– Jon, czy masz zwyczaj pojawiania się znikąd?

Uśmiechnął się.

– Nie. O piątej przyjechałem z Waszyngtonu. Sprawdziłem program i wiedziałem, że wieczorem będziesz na wizji, więc chciałem czekać na ciebie przed drzwiami studia, ale utknąłem w korkach. To byłby prawdziwy niefart, gdybyś miała plany na wieczór. A masz?

– Teraz tak. – Delaney też się uśmiechnęła.

Alvirah i Willy wpisali do nawigacji samochodowej adres Oak Street numer 22 w Filadelfii i ruszyli do Pensylwanii.

– Pamiętaj, kochanie, że widok z lotu ptaka nie pokazuje tego domu. Jego już nie ma – ostrzegł ją Willy, kiedy według mapy satelitarnej byli o kilka kilometrów od Filadelfii.

– To nie ma znaczenia. – Alvirah zlekceważyła ewentualną przeszkodę. – Zawsze można zdobyć informacje, trzeba tylko powęszyć. Nie zapominaj też, że jeśli nawet zniknęły dawne budynki, w okolicy mogą nadal być niektórzy mieszkańcy sprzed dwudziestu sześciu lat.

Willy chciał znów uświadomić jej fakt, że pod tym adresem nie ma domu mieszkalnego, tylko jakieś przedsiębiorstwo, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Wiedział, że Alvirah zaangażowała się całym sercem w odnalezienie biologicznej matki Delaney, a gdyby się jej to nie udało, doznałaby gorzkiego rozczarowania.

Okazało się, że Oak Street znajduje się w zaniedbanej dzielnicy, gdzie rozbierano stare domy jednorodzinne i budowano magazyny.

Numer 22 był dwupiętrowym budynkiem, na którym widniał szyld: U SAMA. FABRYKA TANIEJ GLAZURY. W oknie frontowym wystawiono kafelki we wszystkich kształtach i kolorach. W sklepie widać było dwóch sprzedawców i czterech klientów.

– Zostaw to mnie – mruknęła Alvirah, wchodząc do środka.

Starszy mężczyzna, który natychmiast podszedł do niej, miał przeredzone włosy i plakietkę z imieniem Sam.

– Witam w Fabryce Taniej Glazury Sama – powiedział z miłym uśmiechem. – W czym mogę pani pomóc?

– Nie będę zabierać panu czasu i udawać klientki – odparła Alvirah. – Jednak kiedy patrzę na te piękne kafelki na wystawie, widzę, że wystrój naszej kuchni stał się przestarzały.

Daj spokój, pomyślał Willy, nie musimy przerabiać kuchni. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– Słyszę to od wielu klientów. – Sam pokiwał głową. – Przychodzą, bo obejrzeni naszą reklamą. Robią to z ciekawości, ale później stwierdzają, że chcą przerobić swoje łazienki i kuchnie. Może pani jest też jedną z tych osób?

– Może i tak – przyznała Alvirah ochoczo. – Ale jeśli ma pan wolną chwilę...

– Oczywiście – uśmiechnął się Sam.

– Od jak dawna jest pan tutaj?
– Od szesnastu lat.
– Kupił pan właśnie ten budynek?
– Nie. Kupiliśmy wystawione na sprzedaż dwa sąsiadujące ze sobą domy, zburzyliśmy je i postaviliśmy ten pawilon.
– Może pamięta pan nazwiska właścicieli tamtych domów?
– Pamiętam nazwisko jednej z nich, Cory Banks. Były z nią kłopoty.
– Dlaczego? – Alvira nie umiała ukryć podniecenia.
– Powiedziała nam, że jest dyplomowaną pielęgniarką. Lecz zaraz po sprzedaży, zanim zdążyliśmy zburzyć ten dom, zjawiała się policja z nakazem jej aresztowania. Okazało się, że jest akuszerką; przyjmowała porody, a potem sprzedawała dzieci.

– Została aresztowana?

– Nie wydaje mi się. Szybko wyjechała z miasta.

I to na tyle, pomyślał Willy.

Alvira podziękowała Samowi za informacje i wyraziła chęć obejrzenia większej liczby kafelków.

Sprzedawca zaprowadził ich na piętro, gdzie pogrupowano płytki zgodnie z ich przeznaczeniem, dołączono również fotografie wykończonych już kuchni i łazienek.

– Nie wszystkim podobały się zmiany w tej okolicy. – Sam nagle się rozgadał. – Były nawet protesty i pikety przeciwko wznoszeniu budynków użytkowych. Kobieta mieszkająca w sąsiednim domu bardzo się denerwowała. Mówiła, że mieszka tu od trzydziestu lat i nie chce mieć pod bokiem fabryki kafelków. Była do tego stopnia przejęta, że zaproponowałem kupno jej domu. Powiedziała jednak, że nie wyprowadzi się stąd, dopóki jej nie wyniosą.

Willy zauważył, że Alvira niemal nie upuściła z wrażenia trzymanego w ręku kremowego kafelka.

– Ona nadal tu mieszka? – spytała.

– Jestem tego pewny. Nazywa się Jane Mulligan. Jest teraz wdową i mieszka sama. Ma już chyba przeszło osiemdziesiąt lat, ale ile razy ją spotykam, zawsze mi wypomina, że okolica, w jakiej się wychowała, została całkowicie zdewastowana.

Alvira nie mogła się doczekać spotkania z tą sąsiadką. Została w fabryce jeszcze przez kilka minut, oglądając rozmaite wzory kafelków. Potem podziękowała Samowi, obiecując, że zastanowi się nad próbkami, które od niego dostała, i wyszła ze sklepu.

– Willy – powiedziała – jeśli ta Jane Mulligan doprowadzi nas do Cory Banks, wrócę tu, wybiorę płytki i będziesz mógł odnowić kuchnię i łazienki.

Kiedy zbliżali się do sąsiedniego domu, Alvira zdecydowała:

– Nawet jeśli Jane Mulligan jest w domu, pewnie w dzisiejszych czasach nie

wpuszcza do siebie obcych osób. Lepiej zaczekaj w samochodzie.

Przyznał jej rację, ale wzdragał się na myśl, że ma wejść sama do obcego domu, chociaż jedyną mieszkanką była prawdopodobnie tylko staruszka. Zdawał sobie jednak sprawę, że ze sprzeczki wyjdzie pokonany, niechętnie więc podszedł do krawężnika i wsiadł do niedawno kupionego, używanego mercedesa.

Alvirah nacisnęła dzwonek przy drzwiach, ale musiała chwilę odczekać, zanim ktoś zerknął przez wizjer.

– Kto tam i czego chce? – usłyszała gderliwy głos.

– Nazywam się Alvirah Meehan. Jestem reporterką z „Daily Standard” i chcę napisać serię artykułów o tym, jak zmieniają się całe dzielnice i jak na to reagują wieloletni mieszkańcy – odpowiedziała, unosząc do wizjera swoją legitymację prasową.

Usłyszała trzask otwieranego zamka. Jane Mulligan uchyliła drzwi i zlustrowała przybyłą uważnym spojrzeniem. Wreszcie otworzyła drzwi szeroko.

– Proszę wejść – mruknęła. – Mam na ten temat dużo do powiedzenia.

Zaprowadziła gościa do małego, nieskazitelnie czystego saloniku. Stała tam kanapa, fotele, pianino i okrągły stolik z wieloma fotografiami.

Jane Mulligan wskazała jej fotel, lecz Alvirah najpierw spojrzała na zdjęcia. To wnuki, pomyślała.

– Jaka ładna gromadka – powiedziała szczerze. – Czy to pani wnuki?

– Cała dziesiątka – odparła z dumą gospodyni. – Nigdzie nie znajdzie pani miłszych i bystrzejszych dzieci.

– Doskonale panią rozumiem. – Alvirah usiadła w fotelu.

– Co pani chce usłyszeć o dewastowaniu dzielnic za pomocą obiektów użyteczności publicznej?

Zanim zapytana zdołała odpowiedzieć, Jane Mulligan rozpoczęła przemowę, jak wspaniała była przed laty ta ulica.

– Wszyscy się znali. Nikt nie zamykał drzwi.

Wreszcie Alvirah udało się zadać pytanie.

– Wiem, że zburzono dwa domy, by wybudować fabrykę kafelków. Czy pani znała ludzi, którzy je zajmowali?

– Oczywiście. Dwa domy dalej mieszkali moi przyjaciele. Sprzedali dom, bo chcieli być bliżej córki, która mieszka w Connecticut.

– A ten drugi dom?

– Pierwotna właścicielka przeniosła się do domu opieki. A kobieta, która go kupiła, była kompromitująca.

– Dlaczego?

– Będąc akuszerką, robiła okropne rzeczy.

– Jak dawno to było?

– Jakieś trzydzieści lat temu.

Alvirah szybko dokonała obliczeń. Cora Banks mieszkała w tym domu, kiedy urodziła się Delaney.

– Wiedziałam, że dzieje się coś podejrzanego – mówiła Mulligan. – Obserwowałam wchodzących i wychodzących. Sytuacja zawsze była podobna. Jedna lub dwie osoby wprowadzały do domu ciężarną dziewczynę, a po godzinie lub ośmiu, dziesięciu godzinach wychodziły z nią, podtrzymując ją w drodze do samochodu.

– Potem zauważyłam, że wychodzący z dzieckiem to nie byli ci, którzy wchodzili z ciężarną dziewczyną. Sądziłam, że Cora Banks prowadzi ośrodek adopcyjny. Działała tak czternaście lat. Dopiero kiedy policjant przyszedł z nakazem aresztowania, dowiedziałam się, że sprzedawała niemowlęta. Omal nie umarłam.

– Wie pani, dokąd wyjechała?

– Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

– Czy odwiedzali ją znajomi, przyjaciele?

– Trzymała się z daleka od wszystkich.

– Nie przychodzi pani na myśl nikt, kto mógłby się z nią przyjaźnić? – drążyła Alvirah, próbując ukryć rozczarowanie.

– Kto chciałby się przyjaźnić z osobą handlującą dziećmi? – oburzyła się Mulligan. – Jeśli Cora Banks miała jakieś życie towarzyskie, to nie w tamtym domu.

Alvirah podziękowała pani Mulligan, wyszła z domu i wsiadła do samochodu.

– Jedźmy do domu – powiedziała Willy’emu.

Z tonu jej głosu wyczuł, że spotkanie z Jane Mulligan nie było owocne. W skrócie powtórzyła mu treść rozmowy.

– Z tego wynika, że nie dowiedziałas się niczego, co pomogłoby Delaney w odnalezieniu jej biologicznej matki?

– To prawda, ale wiem, dlaczego Jennifer Wright nie chce rozmawiać z Delaney o adopcji. Nie chce, by wiedziała, że ją po prostu kupili.

– Może tylko w taki sposób mogli zdobyć dziecko? – zasugerował Willy. – Oboje mieli wtedy po pięćdziesiąt lat. Może to dowodzi, jak bardzo pragnęli ją mieć.

– Niewykluczone – przyznała Alvirah. – Uważam jednak, że to co innego, jeśli młoda kobieta oddaje dziecko do adopcji, a co innego, jeśli sprzedaje je oferującemu najwyższą cenę. – Zamilkła na chwilę. – Nie powiem o tym Delaney. Powiem tylko, że to była ślepa uliczka.

– Zrezygnujesz czy dalej będziesz szukać jej matki?

– Oczywiście, że będę szukać – odparła Alvirah z przekonaniem. – Wiem, że nie żyje kobieta, która skierowała Wrightów do Cory Banks, ale może była

gadatliwa i rozmawiała o tym z rodziną lub przyjaciółmi.

– Kim są jej przyjaciele i rodzina?

– Muszę się tego dowiedzieć. Sprawdzę jej nekrolog. Powinny być na nim nazwiska rodziny. Właśnie od tego zacznę.

Przejechali most prowadzący z Pensylwanii do New Jersey i kierowali się na Manhattan.

– Wiesz co, Willy – odezwała się nagle Alvira – niektóre kafelki bardzo mi się spodobały. Zafascynowały mnie fotografie odremontowanych kuchni i łazienek. Obiecałam sobie, że jeśli odnajdziemy matkę Delaney, przeprowadzę niewielki remont. Ale tylko wtedy.

– Kochanie. – Westchnął ciężko. – Chcesz powiedzieć, że ja będę robił remont, a ty będziesz patrzeć.

– Willy. – Alvira się uśmiechnęła. – Zawsze wiedziałam, że jesteś bystrym facetem.

Delaney i Jon poszli dalej pieszo na E57th Street i tuż przed First Avenue znaleźli irlandzką restaurację Neary's.

– Kiedy mieszkałem w Nowym Jorku, często przychodziłem tu z dziadkiem – mówił Jon, kiedy prowadzono ich do stolika. Rozejrzał się dokoła. – To miejsce jest ponadczasowe. Nic się nie zmieniło.

– Jestem tutaj pierwszy raz – powiedziała Delaney.

– Ta restauracja miała swoje dni chwały. Była ulubioną knajpą gubernatora Careya. Miał swoje słynne powiedzenie, że Bóg przemienił wodę w wino, a Jimmy Neary odwrócił ten proces.

Roześmiała się. Miała wrażenie, że zna Jona od bardzo dawna. Była uszczęśliwiona, że po miesiącu milczenia tak nagle się pojawił.

Tego wieczoru mieli się lepiej poznać. Powiedziała mu, że zajmuje się teraz reportażami sądowymi i uwielbia ten rodzaj pracy. Ponadto nie będzie już dorywczą, lecz stałą współprowadzącą popołudniowych wiadomości.

– To wielki sukces – ocenił Jon. – A przy okazji, pamiętam, że lubiłaś wypić kieliszek chardonnay.

– A ty lubisz wódkę z martini – przypomniała Delaney.

Siedziała na ławie, a on po przeciwnej stronie i patrzył jej prosto w oczy.

– Wydaje mi się, że o stałej pracy współprowadzącej mówiłaś z pewnym wahaniem. – Jon powrócił do tematu.

– To nie tak. Jest wspaniale. Uwielbiam pracę reportera sądowego. Chyba niewiele osób w pełni rozumie, jak to jest, kiedy widzi się czyjś proces, słucha się świadków wbijających gwoździe do trumny oskarżonego czy też oskarżonej.

– Jesteś sprawozdawczynią z procesu Betsy Grant. Czytałem o tym.

– Tak.

– Wydaje mi się, że nie ma tam żadnych wątpliwości. Sama w domu ze swoim mężem. Opiekunka nagle się rozchorowała i musi wyjść.

– Sugerujesz, że Betsy Grant podała coś opiekunce, by ta się rozchorowała?

– Aż się zdumiała, że po tym, co powiedział, ogarnął ją gniew.

– Nie złość się na mnie – zaprotestował. – Posłuchaj, Delaney, jak mawiał nasz niezapomniany humorysta Will Rogers, „Wiem tylko to, co przeczytam w gazecie”.

Te słowa ułagodziły Delaney. Skinęła głową.

– Masz rację. Przesadziłam. Ale siedząc tam, patrzyłam na tę kobietę, gdy słuchała zeznań właściciela zakładu pogrzebowego, a potem swojego pasierba, i sama odczuwałam te ciosy. Kiedy lekarz sądowy mówił o sile śmiertelnego ciosu,

zadanego jej mężowi, Betsy kręciła głową, jakby temu zaprzeczała.

Jon patrzył na Delaney i nie odzywał się.

– Wiem, o czym myślisz – rzuciła zaczepnie. – Jej reakcja byłaby taka sama bez względu na to, czy jest winna, czy nie.

Skinął głową.

Dotarło do niej, że lepiej zmienić temat. Na rozprawie potrafię zachować bezstronność, pomyślała. Dlaczego chcę za wszelką cenę chronić kobietę, która może być winna, w najlepszym wypadku, zabójstwa dokonanego na bezbronnej ofierze alzheimera? Na to pytanie nie potrafiła sobie odpowiedzieć. Zjawił się kelner, który przyniósł im drinki.

– Kiedy spytałam, co cię sprowadziło do Nowego Jorku, powiedziałeś, że ja. Miły komplement, ale to nieprawda. Co ściągnęło cię tu z Waszyngtonu?

Zaczekał na odejście kelnera, a potem tak bardzo zniżył głos, że Delaney z trudem mogła go dosłyszeć.

– Począwszy od Waszyngtonu, na całym Wschodnim Wybrzeżu oraz w Bostonie działa wyspecjalizowana szajka farmaceutów, którzy dostają od lekarzy nielegalne recepty i sprzedają je ludziom z górnej półki, celebrytom i maklerom giełdowym. Ten proceder przynosi niewyobrażalne zyski. Lekarze widzą pacjenta minutę albo wcale i wypisują im recepty na silne środki przeciwbólowe, takie opioidy jak Percocet, Oksykodon i tym podobne. Obowiązkiem farmaceutów jest zawiadomianie władz, kiedy otrzymują podejrzaną receptę. Jednak niektórzy udają, że wszystko jest w porządku, i wydają leki. Korzystają z tego tysiące narkomanów i powstają nowe uzależnienia.

– Czy to się odnosi do narkotyków zażywanych okazjonalnie, w celach nielecniczych, tylko dla podniesienia nastroju?

– Niektórzy tak zaczęli, a potem popadli w uzależnienie. Inni używali tych środków dla złagodzenia bólu po rzeczywistych urazach. Kiedy ich lekarze odmawiali wypisywania dalszych recept, znajdowali takich, którzy nie przejmowali się konsekwencjami. Rozpracowuję tę szajkę dla „Washington Post”. Wiem, że niektórzy farmaceuci w Waszyngtonie i Bostonie są objęci dozorem policyjnym.

– Chcesz powiedzieć, że sprzedają narkotyki takim osobom jak Steven Harwin? – spytała.

– Właśnie tak. Prawdopodobnie zażywał silne leki przeciwbólowe, kiedy miał białaczkę, i uzależnił się od nich.

– Znasz już jakieś nazwiska?

– Niewiele, ale na początek wystarczy. A jeśli chodzi o nazwiska – powiedział, biorąc kartę od kelnera – kiedy Bloomberg był burmistrzem Nowego Jorku, dzwonił z wyprzedzeniem do przyjaciół, że on i Diana wyruszają z domu, mogą więc zaczynać piec kurczaka.

– Właśnie to chciałam zamówić.

Po złożeniu zamówień Jon popijał martini, a ona wino. Kiedy przed miesiącem byli na kolacji, rozmawiali o swoich hobby. Delaney powiedziała mu, że lubi jeździć konno, robić piesze wycieczki i jeździć na nartach. Jon przyznał wtedy: „Ja korzystam tylko z tych dwóch ostatnich przyjemności. Nigdy nie miałem okazji nauczyć się jeździć konno. Większość swoich »jazd« odbywałem w metrze. Mój ojciec i dziadek byli detektywami w nowojorskiej policji”.

Tego wieczoru rozmawiali bardziej otwarcie. Na poprzednim spotkaniu Delaney dowiedziała się, że Jon jest od niej dwa lata starszy, ale tym razem zdradził jej pewną tajemnicę.

– Jestem bliźniakiem jednojajowym. Mój brat zmarł przy narodzinach. Wiem, że matka wciąż go opłakuje. Zawsze na moich kolacjach urodzinowych ma łzy w oczach.

Ona z kolei zwierzyła się, że została adoptowana, i nieoczekiwanie uczyniła dodatkowe wyznanie.

– Ciekawa jestem, czy w dniu moich urodzin moja biologiczna matka też ma łzy w oczach.

– Jestem przekonany, że tak.

Po dwóch godzinach Jon zapłacił rachunek i odprowadził swoją towarzyszkę do domu. Dobrze jej przy nim było, co uświadomiła sobie już nie pierwszy raz. Kiedy siedzieli w restauracji, wrześnieowy wieczór stał się bardzo chłodny.

– Niedługo rozpocznie się sezon narciarski – stwierdził Jon z satysfakcją.

– Mam taką nadzieję – przyznała Delaney ochoczo.

Po wejściu do budynku zaprosiła go na ostatni kieliszek, ale pokręcił głową.

– Może innym razem.

Pocałował ją w policzek, portier trzymał otwarte drzwi, szybko więc zapytał:

– Delaney, czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Nie zdążyła zareagować, kiedy odpowiedział sobie na to pytanie.

– Ja tak.

I zniknął jej z oczu.

Następnym świadkiem oskarżenia była opiekunka, Angela Watts. Delaney zauważyła, że kobieta jest zdenerwowana, podobnie jak zeznająca wcześniej gosposia. Po ustaleniu personaliów i pytaniach o jej doświadczenia jako domowej opiekunki chorych prokurator spytał o stosunki z rodziną Grantów.

W przeciwieństwie do Carmen odpowiadała rzeczowo, nie ubarwiała swoich wypowiedzi.

- Była pani opiekunką doktora Granta?
- Tak.
- Jak długo?
- Trzy lata, dwa miesiące i cztery dni.
- W jakich godzinach opiekowała się pani doktorem Grantem?
- Pracowałam sześć dni po dwadzieścia cztery godziny, a niedziele miałam wolne.
- Kto opiekował się doktorem Grantem w niedziele?
- Pani Grant.
- Czy była pani w domu tego wieczoru przed śmiercią pana Granta?
- Tak. Świątowano jego urodziny.
- Kto był na kolacji?
- Doktor i pani Grant, Alan Grant, dwóch lekarzy, z którymi doktor Grant kiedyś pracował, oraz ich żony.
- Jak zachowywał się doktor Grant tego wieczoru?
- Kiedy pito koktajle w salonie, nagle bardzo się zdenerwował, mruzczał do siebie i wykonywał agresywne gesty wobec wszystkich w pokoju.
- Co się potem stało?
- Pani Betsy objęła go i zaraz się uspokoił. Po kilku minutach wszyscy przeszli do jadalni.
- Czy siedziała pani przy stole?
- Tak. Carmen Sanchez gotowała i podawała do stołu.
- Jak zachowywał się doktor Grant podczas kolacji?
- Początkowo całkiem dobrze. Był spokojny, zachowywał się normalnie.
- Co się później wydarzyło?
- Nagle wstał. Miał wykrzywioną gniewem twarz. Tak silnie odsunął krzesło, że się przewróciło. Rzucił się przez stół, strącając talerze i kieliszki.
- Jak na to zareagowała pani Grant?
- Próbowała go podźwignąć, ale on obrócił się i uderzył ją mocno w twarz. Wtedy chwycili doktora obaj lekarze oraz jego syn i starali się uspokoić. Był

bardzo zdenerwowany. Płakał. Kiedy go pocieszali, zaproponowałam, żeby zaprowadzić go do sypialni i położyć spać.

– Co było potem?

– Doktor Clifton, Alan i ja zaprowadziliśmy go do sypialni.

– Co się wtedy stało?

– Chciałam mu pomóc włożyć piżamę, kiedy nagle zrobiło mi się niedobrze.

– Proszę opisać tę nagłą chorobę.

– Dostałam mdłości i kręciło mi się w głowie. Czułam się bardzo źle.

– Mówiła pani, że to się stało nagle?

– Po prostu w mgnieniu oka.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Wszyscy mówili: jedź do domu i zajmij się sobą. My sobie z nim poradzimy. Spytali mnie też, czy mogę prowadzić samochód. Powiedziałam, że tak, i wyszłam. Gdy dojechałam do domu, natychmiast położyłam się do łóżka i zaraz zasnęłam. Zbudziłam się jak zwykle o szóstej rano. Wszystkie dolegliwości ustąpiły. Czułam się dobrze.

– Czy wiadomo pani o tym, że ktoś oprócz pani Grant został w domu na noc?

– Pani Grant powiedziała mi, że goście zostali jeszcze godzinę i wyszli, kiedy byli pewni, że jej mąż już zasnął.

– Znaczy, że pani Grant była sama w domu z mężem, mam rację?

– Tak.

– Następnego ranka wróciła pani do domu Grantów?

– Tak.

– Znała pani czterocyfrowy kod do włączania i wyłączania alarmu?

– Tak.

– Kiedy przyjechała pani rano do państwa Grantów, drzwi frontowe były zamknięte na zamek czy nie?

– Zamknięte na zamek.

– Jaka była aktualna pozycja systemu alarmowego?

– Był włączony. Wyłączyłam go za pomocą kodu.

– Co pani robiła po wejściu do domu?

– Powiesiłam płaszcz i poszłam prosto do pokoju doktora Granta. Początkowo myślałam, że śpi, ale kiedy podeszłam do łóżka, zorientowałam się, że nie oddycha. Dotknęłam jego twarzy i szyi. Był zimny. Wiedziałam, że nie żyje.

– Co pani zrobiła po stwierdzeniu, że nie żyje?

– Zadzwoiłam na 911. Potem pobiegłam do pokoju pani Grant, by jej o tym powiedzieć.

– Czy pani Grant leżała w łóżku?

– Była w łazience. Otworzyła drzwi, kiedy ją zawołałam. Miała w ręku

suszarke do włosów. Najwidoczniej suszyła włosy. Powiedziałam jej, że doktor Grant zmarł we śnie.

– Jak na to zareagowała?

– Nie odezwała się ani słowem. Tylko patrzyła na mnie. Rzuciła suszarkę na łóżko i przemknęła obok mnie. Poszłam za nią do pokoju doktora Granta.

– Co wtedy robiła?

– Głaskała go po twarzy.

– Czy coś mówiła?

– Tak. Powtarzała: „Och, moje kochane biedactwo. Już nie będziesz musiał cierpieć”.

– Jak się zachowywała?

– Spokojnie, bardzo spokojnie. Powiedziała: „Angelo, zadzwoniłaś na 911, tak?”. Kiedy potwierdziłam, zauważyła: „Powinnam się ubrać”. Wyszła z pokoju doktora Granta i nawet się nie odwróciła, by na niego spojrzeć.

Ona robi ze mnie potwora, myślała gorączkowo Betsy. Byłam wtedy w szoku. Od kilku lat topór wisiał mi nad głową. Patrzyłam, jak ten wspaniały mężczyzna gwałtownie podupada na zdrowiu. Właśnie podjęłam decyzję o oddaniu go do domu opieki, zanim zrobi krzywdę sobie, mnie lub komuś innemu. Odczułam ulgę, że zmarł, zanim to zrobiłam. Coś ją ścisnęło w gardle na wspomnienie, jak w czasie przeblysków świadomości Ted błagał ją, by zatrzymała go w domu.

– Co się wydarzyło później?

– Pani Grant ubrała się bardzo szybko. Wróciła do pokoju doktora Granta, a wtedy przyjechał policjant.

Elliot Holmes umilkł i dopiero po chwili kontynuował przesłuchanie.

– Pani Watts, wróćmy do tego, co się działo zaraz po kolacji. Zeznała pani, że wraz z Alanem Grantem i doktorem Scottem Cliftonem odprowadziliście pana Granta do jego pokoju, gdy się zdenerwował w czasie kolacji. Czy koło jego łóżka był wtedy jakiś przedmiot?

– Tak, był.

– Mogłaby pani opisać ten przedmiot?

– To był mózdzierz z tłuczkiem i plakietką na podstawce. Nagroda dla doktora Granta, przyznana przez szpital Hackensack.

– Tłuczek można wyjąć z mózdzierza, mam rację?

– Tak.

– Pani Watts, czy tłuczek był w mózdzierzu, kiedy pomagała pani panu Grantowi położyć się do łóżka po urodzinowej kolacji?

– Tak. Był w mózdzierzu.

– Jest pani tego pewna?

– Tak. Jestem pewna.

– Pani Watts, chcę teraz zadać pani kilka pytań na inny temat. Czy poznała pani kiedyś niejakiego Petera Bensona?

– Nie, nie poznałam go.

– Czy jego nazwisko było pani znane?

– Tak.

– Czy według pani wiedzy pani Grant spotykała się z panem Bensonem?

– Tak. Wiem, że od czasu do czasu jadła z nim kolację w restauracji i zawsze wtedy dawała mi numer jego komórki, gdybym musiała się z nią skontaktować, a ona nie odbierała swojej.

– Mówiąc „od czasu do czasu”, co pani przez to rozumie?

– Powiedziałabym, że kilka razy w miesiącu.

– Kiedy ostatnim razem jadła z nim kolację?

– W wieczór przed urodzinami pana Granta.

– Czy pani Grant kiedykolwiek rozmawiała z panią o panu Bensonie?

– Nie. Powiedziała mi tylko, że jest jej przyjacielem jeszcze z liceum. Nic więcej nie mówiła. Ale zawsze wydawała się szczęśliwa, kiedy szła na spotkanie z nim.

– Nie mam więcej pytań. – Prokurator ze złośliwym uśmieszkiem wymienił spojrzenie z przewodniczącym ławy przysięgłych.

W sądzie panowała cisza, kiedy prokurator wracał na miejsce.

Delaney była ciekawa, jaką linię po zeznaniach opiekunki przyjmie obrona.

– Panie Maynard – powiedział sędzia – może pan przesłuchać świadka.

– Pani Watts – zaczął Maynard – zeznała pani, że przebywała pani w domu Grantów przez sześć dni w tygodniu, zawsze całą dobę. Czy tak?

– Tak.

– Kiedy pani Grant miała się spotkać z panem Bensonem, o której zwykle wychodziła z domu?

– Pomiędzy wpół do piątej a piątą.

– A o której przeważnie wracała do domu?

– Pomiędzy dziesiątą trzydzieści a jedenastą.

– Czy zdarzyło się kiedyś, żeby pani Grant w ogóle nie wróciła do domu albo przyszła później?

– Szczerze mówiąc, często zasypiam już o dziesiątej. Mam bardzo lekki sen i zwykle słyszę, kiedy wraca i podnoszą się drzwi garażu. Jednak nie mogę przysiąc, że nigdy nie wróciła do domu po wyznaczonej godzinie.

– Czy pani Grant kiedykolwiek zawiadomiła panią, że nie wróci do domu po którejś z tych kolacji?

– Nie, zawsze wracała do domu.

– I zawsze sypiała w małej sypialni na parterze, żeby być blisko doktora Granta, na wypadek gdyby wstał w nocy?

– Tak. Zawsze pomagała mi zająć się nim, kiedy wstawał w nocy.
– Pani Watts, zeznała pani, że posiadała własny klucz do drzwi frontowych i że znała pani kod do alarmu. Czy tak?

– Tak.

– Wie pani, kto jeszcze miał klucz i znał kod do alarmu?

– Oczywiście pani Grant i gospodarza Carmen. Obie też znały kod.

– Mamy więc trzy klucze. Czy jeszcze ktoś inny miał klucz lub były jakieś zapasowe?

– Kiedy rozpoczynałam pracę, były cztery klucze. Jeden miał doktor Grant, ale kilka lat temu zgubił go lub gdzieś zarzucił. Nigdy go nie znaleźliśmy.

– Pani Watts, większość nowoczesnych systemów alarmowych posiada dokumentację elektroniczną, pozwalającą dokładnie ustalić, kiedy alarm został aktywowany i wyłączony, a nawet którego klucza używano. Czy w domu Grantów znajdował się tego typu alarm?

– Nie, to był stary system, nie miał takich funkcji.

– Nie rozmawiano o tym, by go udoskonalić lub zastąpić nowym?

– Pytałam o to panią Grant, a ona powiedziała mi, że ze względu na pana doktora lepiej nie wprowadzać żadnych zmian. Kiedy zaczęłam się nim opiekować, umiał sam otworzyć drzwi, a kiedy miał dobry dzień, również wprowadzić kod. Lecz przez ostatnie dwa lata nie był w stanie tego robić.

– Widziała pani kiedyś, jak doktor Grant sam wprowadzał kod?

– Tak, widziałam.

– Gdy wstukiwiał cztery cyfry w puszkę alarmową, jednocześnie robił jeszcze coś innego?

– Tak. Głośno powtarzał cyfry.

– Mówił na tyle głośno, że pani wszystko słyszała?

– Tak.

– Zatem zgodnie z pani zeznaniem w czasie, kiedy pracowała pani u państwa Grantów, były tam łącznie cztery klucze, a kodu do alarmu nie zmieniano od lat. A jeden z czterech kluczy, dzięki któremu ktoś mógł wejść do domu Grantów, zniknął kilka lat temu. Ponadto doktor Grant miał zwyczaj powtarzania kodu w taki sposób, że każdy, kto byłby w pobliżu, mógł go słyszeć. Czy mam rację?

– Tak.

Maynard patrzył w milczeniu na ławę przysięgłych. Potem zwrócił się do sędziego.

– Nie mam więcej pytań.

Dwa dni po śmierci syna ojciec Stevena Harwina zwołał konferencję prasową.

– W ciągu dwudziestu trzech lat życia Steven walczył z białaczką i pokonał chorobę, ukończył z wyróżnieniem Bowdoin College i założył klub „Pięć dolarów miesięcznie”, by wciągnąć młodych ludzi do przekazywania pieniędzy na badania nad tą chorobą. Gdy sam z nią walczył, zmuszony do używania środków przeciwbólowych, uzależnił się od nich i nie był w stanie się z tego uzależnienia wyzwolić, choć dzielnie z tym walczył. W jego mieszkaniu znaleziono bardzo silne leki. Przysięgam, że dopadnę osobę lub osoby, które mu je sprzedały, i zdemaskuję ich niewyobrażalne draństwo.

Po tych słowach reżyser czterech oscarowych filmów zamilkł, głos uwiązł mu w gardle i odwrócił się od kamer.

Delaney i Don Brown oglądali ten wywiad w studio.

– Nie chciałabym być w skórze faceta, który sprzedał prochy synowi Lucasa Harwina – powiedziała Delaney.

– Czuję się tak samo, gdyby to był mój syn – stwierdził Don. – Sean ma szesnaście lat, a w tym wieku dzieciaki pakują się w kłopoty. Na szczęście jest w prywatnej szkole, chociaż nie ma gwarancji, że uchroni się tam przed narkotykami. W zeszłym roku wyrzucili chłopaka z jego poprzedniej szkoły, bo sprzedawał prochy w szatni.

Szef redakcji, Vince Stacey, rozpoczął już odliczanie. Na „jeden” znaleźli się ponownie na wizji i Delaney rozpoczęła relację z procesu Betsy Grant.

– Zeznania Angeli Watts, opiekunki zmarłego doktora Granta, nie były dzisiaj korzystne dla Betsy Grant. Powiedziała, że Betsy była na kolacji ze swoim dawnym kolegą szkolnym, Peterem Bensonem, w wieczór poprzedzający przyjęcie urodzinowe.

Następnie przeszła do dalszej części zeznań.

– Alarm był włączony, kiedy opiekunka przysłała tamtego ranka do domu Grantów, co okazało się bardzo pomyślną wiadomością dla prokuratora. Obronie będzie trudno dowieść, że ktoś z zewnątrz dostał się do domu.

– Jak się zachowywała Betsy Grant podczas zeznań opiekunki? – spytał Don.

– Wydawała się bardzo spokojna – odparła Delaney. – Ale ludzie różnie reagują w sytuacjach stresujących.

– Dzięki, Delaney, świetne sprawozdanie. – Don obrócił się do kamery numer jeden. – Nowojorska policja poszukuje...

Czy rzeczywiście ludzie mają różne reakcje?, zastanawiała się Delaney

podczas przerwy na reklamy. Zdała sobie sprawę, że mając dwadzieścia sześć lat, nie przeżyła nigdy śmierci bliskiego członka rodziny ani przyjaciela. Kiedy jej rodzice adopcyjni świętowali siedemdziesiąte piąte urodziny matki, mówiła sobie, że siedemdziesiąt pięć to jakby nowe sześćdziesiąt i że oboje mogą żyć jeszcze kolejne piętnaście lub dwadzieścia lat.

Po zakończeniu programu zwierzyła się z tych myśli Donowi.

– W twoim życiu też jest rozpacz – podsumował rzeczowym tonem. – Pamiętasz, jak bardzo przeżywałaś relację ze spotkania matki z synem? To, co czułaś, było rozpaczą z powodu własnej sytuacji. Niczym innym.

– Myślę, że masz rację – przyznała Delaney. – Tak, masz rację.

Przypomniała się jej historia, którą telewizja relacjonowała pół roku wcześniej. Dwuletni chłopiec wyszedł w środku nocy z domu. Zrozpaczona matka już od wczesnego ranka błagała na wizji o pomoc w poszukiwaniu syna. Wkrótce znaleziono go śpiącego na ławce w pobliskim parku. Dziecku nic się nie stało. Delaney doskonale pamiętała radość matki, gdy ta, trzymając synka w ramionach, dziękowała kobiecie, która go znalazła.

Pocieszała się myślą, że w jakiś sposób Alvirah zdoła doprowadzić do tak bardzo oczekiwanego przez nią spotkania.

Alvirah była obecna na procesie Betsy Grant w czasie, kiedy przesłuchiowano opiekunkę doktora Granta. Nie miała wówczas okazji, by porozmawiać z Delaney, bo przyjaciółka musiała szybko wracać do studia.

Było ciepło. Razem z mężem piła popołudniowy koktajl na tarasie swojego mieszkania. Patrzyła zamyślona na park po przeciwnej stronie ulicy.

– Willy – zagadnęła – co byś czuł, gdybyś się dowiedział, że twoi rodzice po prostu cię kupili?

– Myślę, że schlebiałby mi fakt, iż ktoś chciał za mnie zapłacić.

– Ale jak byś się czuł, gdyby twoja biologiczna matka, lub jej rodzice, jeśli ona była zbyt młoda, podjęła decyzję o sprzedaniu jeszcze przed twoim urodzeniem?

– Na pewno dobrze bym o nich nie myślał – stwierdził Willy stanowczo.

– Ja także nie. I to mnie właśnie martwi. Powiedzmy, że uda mi się odnaleźć biologiczną matkę Delaney. Czy dziewczyna będzie zadowolona, kiedy się dowie, że sprzedano ją jak rzecz?

– Trudno powiedzieć. Jeśli matka Delaney sama była dzieckiem, jej rodzice mogli uważać, że nie będzie w stanie zająć się niemowlęciem.

– Dlaczego więc nie zgłosili się do legalnie działającej agencji adopcyjnej, która by dokładnie prześwietliła przyszłych rodziców?

– Zgadzam się z tobą, kochanie. Z drugiej jednak strony Wrightowie byli już dość starzy, kiedy adoptowali Delaney. Ona ma teraz dwadzieścia sześć lat, a niedawno były siedemdziesiąte piąte urodziny jej matki. To znaczy, że Jennifer miała wtedy czterdzieści dziewięć lat. Wiem, że ojciec Delaney jest o rok lub dwa starszy. Teraz złagodzone już przepisy, ale jestem przekonany, że dwadzieścia sześć lat temu legalna agencja adopcyjna mogłaby odrzucić ich kandydaturę.

Willy upił łyk whiskey z lodem. Nigdy nie wypijał drugiej szklanki, rozkoszował się więc każdą kroplą drinka.

Natomiast Alvirah czasem wypijała drugi kieliszek wina.

– Może wejdźmy do środka? – zaproponowała, ponieważ zrobiło się chłodno.

On, jak zwykle, wyraził zgodę. Usiadł w swoim wygodnym skórzanym fotelu, a Alvirah na kanapie. Widział, że jest pogrążona w myślach.

Minęło kilka minut. Patrzył na zegar, by nie przegapić wiadomości o szóstej po południu i sprawozdania Delaney z procesu.

Właśnie sięgał po pilota, kiedy odezwała się Alvirah.

– Willy, dobrze się dzisiaj przyjrzałam Betsy Grant. Jest śliczną kobietą i ma

w sobie coś, co... – Nie dokończyła zdania.

– Co takiego? – spytał Willy.

– Nie wiem – odpowiedziała wolno Alvirah. – Ale to dotrze do mnie.

Zawsze się tak dzieje.

Następny świadek, doktor Kent Adams, był sześćdziesięciodwuletnim szczupłym mężczyzną o gładko przyczesanych, rzadkich siwych włosach i jasnopiwnych oczach; nosił okulary bez oprawek, miał na sobie szary garnitur w paski, emanował spokojem i pewnością siebie.

Po jego zaprzysiężeniu prokurator rozpoczął przesłuchanie. Nie był tak agresywny, jak wobec Carmen i Angeli.

Adams zeznał, że jest chirurgiem i przez wiele lat prowadził praktykę ortopedyczną wraz z doktorem Edwardem Grantem i doktorem Scottem Cliftonem.

– Panie doktorze, czy z czasem zauważył pan zmiany w zachowaniu doktora Granta?

– Niestety, tak. Wszyscy je zauważyliśmy.

– Co zwróciło waszą uwagę?

– Ted był wybitnym chirurgiem, miał dobry kontakt z pacjentami. Zawsze bardzo się o nich troszczył, dbał także o pracowników administracji. Pojawiły się jednak zmiany. O wielu rzeczach zapominał, tracił cierpliwość i denerwował się na wszystkich. Te zmiany się pogłębiały.

– Jak na to zareagowaliście?

– Ja i doktor Clifton rozmawialiśmy z Betsy Grant, wyrażając swoje zaniepokojenie.

– Co ona na to?

– Była bardzo zdenerwowana, lecz nie na nas. Zgodziła się, że z Tedem dzieje się coś bardzo złego, my postanowiliśmy z nim porozmawiać.

– Rozmawialiście?

– Tak. Sytuacja była nieprzyjemna.

– To znaczy?

– Sądzę, iż Ted miał do nas żal, że poruszamy ten temat, ale też rozumiał, że mówimy prawdę i troszczymy się o niego.

– Czy martwiło was również zdrowie pacjentów?

– Oczywiście. Doktor Clifton i ja wiedzieliśmy, że trzeba się z tym zmierzyć.

– Co się później wydarzyło?

– Ted, choć niechętnie, zgodził się na testy stanowiące podstawę do postawienia diagnozy: wczesnoobjawowa postać alzheimera.

– Po tej diagnozie nadal prowadził praktykę lekarską?

– Regularnie pojawiał się w klinice, ale nie wykonywał już zabiegów i przestał być lekarzem prowadzącym. Wraz z upływem czasu coraz rzadziej przychodził do kliniki.

– Ta sytuacja miała wpływ na pracę kliniki?
– Tak, miała. Kiedy Ted przestał aktywnie uczestniczyć w pracy, nadszedł czas na ponowną ocenę sytuacji. Ja i doktor Clifton mieliśmy odmienne poglądy na sposób prowadzenia praktyki. Po rozważeniu sprawy postanowiłem odejść i założyć własną lecznicę. Niektórzy pacjenci doktora Granta przeszli do mojej kliniki, a inni pozostali z doktorem Cliftonem.

– Jak dawno rozstał się pan z poprzednią kliniką?
– Około siedmiu lat temu.
– Jak to się odbyło?
– Otworzyłem lecznicę półtora kilometra dalej, także w Fort Lee. Doktor Clifton pozostał na dawnym miejscu.

– Czy nadal widywał się pan z doktorem Tedem Grantem i z Betsy Grant?
– Tak. Odwiedzałem ich w domu.
– Doktor Grant nadal pojawiał się w klinice doktora Cliftona?
– Betsy Grant powiedziała mi, że zawoziła tam Teda mniej więcej raz na sześć tygodni. Lubił rozmawiać z personelem i przebywać w dawnym otoczeniu.

– Panie doktorze, chciałbym, żeby pan wrócił myślą do dwudziestego pierwszego marca zeszłego roku, do wieczoru, po którym znaleziono ciało doktora Granta. Gdzie pan był wtedy?

– Żona doktora postanowiła wyprawić mu przyjęcie urodzinowe. Zostałem na nie zaproszony wraz z żoną.

Po kolejnych pytaniach prokurator uzyskał takie same informacje jak od poprzednich świadków, również o dziwnym zachowaniu doktora Granta. Doktor Adams przypominał sobie, że gdy pito koktajle, doktor Grant ze złością wskazywał palcem poszczególnych gości i wykrzykiwał słowo, które on odczytał jako „znaleźć”.

Pytany o spoliczkowanie żony przez Granta, doktor Adams powiedział, że Betsy rozpląkała się, mówiąc: „Dłużej tego nie zniosę”. Dodał, że według niego, kiedy doktor Grant rzucił się do ataku, jego celem była Lisa Clifton.

– Panie doktorze, mam jeszcze dwa pytania odnośnie do tego wieczoru. Gdzie podczas kolacji siedziała Angela Watts?

– To był okrągły stół. Angela Watts siedziała po prawej stronie Teda, a jego syn po lewej.

– A gdzie siedziała Betsy Grant?
– Obok Angeli, mając ją po lewej, a mnie po prawej.
– Dziękuję, doktorze, nie mam więcej pytań.

Wiem, do czego on zmierza, pomyślała Delaney. Betsy mogła coś wrzucić do drinka Angeli Watts, by ta się pochorowała. Ale jeśli zaplanowała zabójstwo męża, dlaczego zapraszała gości na kolację tamtego wieczoru? Może jednak prokurator ma rację. Może atak ze strony męża wreszcie przechylił szalę?

Przyszła kolej na Roberta Maynarda.

– Wysoki Sądzie, mam tylko kilka pytań. Panie doktorze, czy przyznałby pan, że Betsy Grant robiła wszystko, by jej mąż czuł się zadowolony?

– Tak.

– Czy mógłby pan opisać, jak się zachowywała, kiedy jego zdrowie zaczęło się systematycznie pogarszać?

– Troszczyła się o niego, chcąc mu zapewnić jak najlepsze warunki do życia. Oboje znaleźli się w niezwykle trudnej dla siebie sytuacji, zwłaszcza że od długiego czasu sam doktor Grant zdawał sobie sprawę ze swojego stanu. Był wspaniałym mężem i doskonałym lekarzem. Choroba sprawiła, że stał się całkowicie zależny od Betsy i opiekunki.

– Zeznał pan, że podczas przyjęcia urodzinowego doktor Grant zaatakował żonę, a ona stwierdziła: „Dłużej tego nie zniosę”. Czy kiedykolwiek słyszał pan, żeby mu groziła w jakikolwiek sposób?

– Absolutnie nie.

– Jak pan odebrał wypowiedziane wówczas słowa?

– Było mi żal Betsy. Patrząc na nią, widziałem, że jest naprawdę umęczona. Została uderzona. Sądzę, że w tej sytuacji każdy powiedziałby to samo.

– Nie mam więcej pytań – stwierdził Robert Maynard, a prokurator skrzywił się lekko.

Zeznania następnego świadka, doktora Scotta Cliftona, pokrywały się z tym, co mówił doktor Kent Adams, zachowywał się jednak z większą rezerwą i z wyraźnym dystansem mówił o Betsy. Stwierdził, że tamtego wieczoru przede wszystkim koncentrował się na uspokojeniu doktora Granta i nie zwrócił najmniejszej uwagi na moździerz i tłuczek. Nie potrafił powiedzieć, czy tłuczek był na miejscu.

Po zeznaniach doktora Cliftona sędzia zwolnił ławę przysięgłych do wtorku rano.

Mimo dotychczasowych niepowodzeń Alvira nie szczędziła wysiłków, by odszukać biologiczną matkę Delaney.

Jechali na północny kraniec Long Island, do Oyster Bay.

– Krok numer dwa – powiedziała do Willy’ego, starając się przekrzyczeć włączony GPS. – Teraz chcę obejrzeć dom, gdzie wychowywała się Delaney.

– Po stu pięćdziesięciu metrach skręć w prawo – mrucał Willy, któremu trudno się było zorientować w nieznanym terenie.

Wykonał skręt i zobaczył na mapie prosty odcinek drogi, ciągnący się przeszło kilometr, a mechaniczny głos powtarzał: „Za kilometr skręć w prawo”.

– To śliczne miejsce – odezwała się Alvira. – Pamiętasz, że przed laty zaoferowano mi pracę sprzątaczką od poniedziałku do piątku w jednym z domów w Oyster Bay, ale trudno się tam było dostać bez samochodu, a ty potrzebowałeś naszego wozu, żeby dojeżdżać do pracy?

– Pamiętam, kochanie. W tamtych czasach nie przyszłoby mi nawet do głowy, że moglibyśmy wygrać na loterii.

– Ani mnie. – Alvira westchnęła, przypominając sobie czasy, kiedy pracowała jako sprzątaczką, czyściła podłogi odkurzaczem, wycierała kurze, nosiła ciężkie ręczniki i prześcieradła do pralni w suterenie.

Po ostatnim zakręcie wjechali w Shady Nook Lane, ślepą uliczkę z domami na dużych działkach. Drzewa nie straciły jeszcze dużo liści, a wzdłuż podjazdów rosły azalie i chryzantemy. Kilka domów było w stylu Tudorów, inne przypominały duże rezydencje z frontowymi werandami.

– To ten. – Willy, śledząc numery domów na skrzynkach pocztowych, zatrzymał się przed długą, piętrową budowlą.

– Przypomina mi Mount Vernon, posiadłość George’a Washingtona – powiedziała z podziwem Alvira. – Widać, że nikt w nim nie mieszka – dodała – bo w oknach nie ma firanek. Delaney mówiła mi, że właśnie został sprzedany, nowi właściciele więc pewnie wkrótce się sprowadzą.

– Moim zdaniem miała szczęście, że adoptowali ją właśnie Wrightowie – zauważył Willy. – Podczas prywatnej adopcji tego typu tylko przypadek decyduje, jakich rodziców się dostanie.

– Masz rację. A teraz musimy porozmawiać z dawną nianią Delaney. Całe szczęście, że nadal mieszka na Long Island.

Po trzydziestu minutach dojechali do Levittown, osiedla zbudowanego po drugiej wojnie światowej dla powracających żołnierzy, i zaparkowali przed domem w stylu ranczerskim.

Drzwi otworzyła sama Bridget O'Keefe, dawna niania Delaney. W wieku siedemdziesięciu ośmiu lat była żwawa i pełna energii, miała dobrą figurę, trochę zaokrąglone biodra i krótkie siwe włosy. Serdecznie ich powitała i zaprosiła do salonu, gdzie na stoliku stały filiżanki i talerzyk ciastek.

– Dobrze jest napić się herbaty – stwierdziła. – Siadajcie, a ja zaraz wracam.
– I zniknęła w kuchni.

– Nic dziwnego, że Delaney tak bardzo ją lubiła – szepnął Willy.

Po kilku minutach Bridget wróciła z parującym dzbankiem.

– Nigdy nie używam torebek – oświadczyła. – Kiedy parzysz prawdziwą herbatę, zawsze możesz sobie powróżyc z listków.

Nalewała herbatę, podawała śmietankę, cukier i ciasteczka i od razu przeszła do rzeczy.

– Chcecie odszukać biologiczną matkę Delaney – powiedziała i było to stwierdzenie, a nie pytanie.

– Tak – odparła Alvirah. – Udało się nam odnaleźć kobietę, która sąsiadowała z akuszerką, ale ona nie wie, gdzie ta się podziała.

Celowo nie wspomniała, że akuszerka sprzedawała niemowlęta.

– Zaczęłam pracować dla Wrightów tego dnia, kiedy przywieźli Delaney do domu – wyjaśniła Bridget. – Była przepięknym noworodkiem. A to się rzadko zdarza, przeważnie na początku niemowlęta nie są atrakcyjne. Ale ona miała wspaniałe brązowe oczy i skórę o odcieniu kości słoniowej.

– Co pani o niej powiedzieli?

– Victoria Carney, przyjaciółka pani Wright, która załatwiała adopcję, wytłumaczyła, że matka była młodą dziewczyną z rodziny pochodzenia irlandzkiego.

– Nie dowiedziała się pani nic więcej o jej biologicznej matce?

– Nie. Nie przypuszczam też, by Wrightowie wiedzieli coś jeszcze. Jednak kiedy skończyła trzy lata i dowiedziała się, że jest adoptowana, Delaney zaczęła marzyć o swojej biologicznej matce.

– Mówiła nam o tym – wtrąciła Alvirah. – Co się stało z przyjaciółką, która zaaranżowała adopcję?

– Victoria Carney była bardzo miłą osobą. Umarła, kiedy Delaney miała dziesięć lat. Wrightowie bardzo to przeżyli.

– O tym też wiemy od Delaney. Skontaktowała się z siostrzenicą Victorii Carney, ale ta powiedziała, że ciotka nigdy nie rozmawiała o okolicznościach jej narodzin, a ona pozbyła się wszystkich papierów po jej śmierci. Nasze informacje też się na tym kończą – mówiła Alvirah z nutą zniechęcenia w głosie. – Pozostaje problem akuszerki, która odbierała poród. Czy nie przychodzi pani na myśl jeszcze ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać o pochodzeniu Delaney?

– Pomyślałam o tym zaraz po waszym telefonie – odparła Bridget.

Odstawiła dzbanek z herbatą, podeszła do biurka w rogu pokoju i wyjęła z szuflady fotografię.

– Nie byłam pewna, czy ją mam, ale odszukałam. Pewnego dnia przysłała do nas panna Carney ze swoją przyjaciółką Edith Howell. Poprosiła mnie, żeby zrobić im zdjęcia z Delaney. Powiedziała mi, że tyle opowiadała panie Howell o urodzie Delaney, że ta chciała mieć z nią zdjęcie. Zrobiłam fotografie aparatem panny Carney. Na jednej dziewczynkę trzyma na ręku panna Carney, a na drugiej panna Howell. Przysłała mi odbitki obu fotografii i opisała je na odwrocie.

Alvirah skwapliwie sięgnęła po zdjęcia. Na odwrocie jednego był napis: „Delaney i ja” oraz data, a na odwrocie drugiego: „Delaney, Edith Howell i ja”.

Druga kobieta była o wiele młodsza od Victorii Carney.

– Może pani wie, gdzie mieszkała Edith Howell? – spytała Alvirah.

– Wiem tylko, że była sąsiadką panny Carney w Westbury na Long Island. Odszukałam jej nazwisko w książce telefonicznej. Jeśli to ta sama Edith Howell, to nadal tam mieszka.

Bardzo nikły ślad, pomyślała zrezygnowana Alvirah. Jeśli jednak Edith Howell była sąsiadką Victorii Carney, pozostawała jeszcze nadzieja, że przy filiżance herbaty albo kieliszku wina Victoria mogła opowiedzieć jej o adopcji.

Alvirah wylewnie podziękowała Bridget O’Keefe i skierowała się do wyjścia. Zatrzymała się jednak po drodze.

– Pani często rozmawia z Delaney, prawda?

– Tak.

– Proszę jej jeszcze nie wspominać o sąsiadce Victorii Carney. Kiedy się o niej dowie, rozbudzi się w niej nadzieja i będzie rozczarowana, jeśli ten trop do niczego nie doprowadzi.

Bridget obiecała dotrzymać tajemnicy i nagle się roześmiała.

– Kiedy byliśmy dziećmi i składaliśmy obietnice, mówiliśmy: „Przysięgam z ręką na sercu”.

– Kochanie – zagadnął Willy, kiedy wsiedli do samochodu – zadzwońmy teraz do tej pani i spytajmy, czy możemy wpaść na parę minut.

– Też o tym myślałam. Ale doszłam do wniosku, że to nie jest dobry pomysł. Bridget mówiła, że mój telefon pobudził jej pamięć. Chcę dać Edith Howell czas na pobudzenie pamięci po tym, gdy jej powiem, dlaczego dzwonię.

– To ma sens – zgodził się Willy.

Zauważył, że wzmaca się ruch w kierunku zachodnim. Pogodził się więc z myślą, że podróż do domu się wydłuży, i włączył radio. Dowiedział się, że na Long Island Expressway doszło do wypadku i należy się spodziewać dużych utrudnień.

Po telefonicznym uzgodnieniu, że oboje lubią kuchnię północnych Włoch, Jon i Delaney spotkali się w restauracji Primola. To była dopiero ich trzecia randka, ale Delaney wspaniale się czuła w jego towarzystwie.

Spytała go o postępy śledztwa w sprawie handlu lekami.

– Odwiedziłem Lucasa Harwina, ojca – powiedział Jon. – Poinformowałem go, że prowadzę dla „Washington Post” śledztwo w sprawie grupy przestępczej handlującej narkotykami w Waszyngtonie, Nowym Jorku i New Jersey, która, jak uważamy, sprzedaje wysoko postawionym osobom środki przepisywane na recepty. Zapewnił mnie, że utrzyma tę informację w tajemnicy.

– W jakim był stanie, kiedy z nim rozmawiałeś?

– To uosobienie rozpaczy. Jego żona też była obecna. Ona, jak się wydaje, stara się nad sobą panować, chociaż to niewiele znaczy. Stracili jedyne dziecko.

– Mówiła mi, że miała nadzieję doczekać się pewnego dnia wnuków, a teraz tak się nie stanie. Jak się wyraziła: to przedawkowanie zabiło nie tylko Stevena, ale również następne pokolenie i jeszcze dalsze.

– Czy Lucas Harwin domyślał się, skąd syn miał prochy?

– W swoim oświadczeniu powiedział, że nie były to środki, jakie można kupić na rogu ulicy. Niewątpliwie potrzebował na nie recepty, ale te, które znaleziono w jego mieszkaniu, nie miały żadnych naklejek. Widać, że apteka, z której korzystał, celowo utajniła swoją nazwę. Policja na pewno sprawdza komórkę Stevena, by wytropić ewentualne rozmowy z lekarzem lub farmaceutą. Wywiad z Harwinem jutro się ukáže w „Washington Post”. Rozmawialiśmy o życiu Stevena, o tym, jaki wpływ jego śmierć wywarła na rodzinę, nie wspominając, oczywiście, o śledztwie.

– Co zamierzasz robić dalej?

– Wybiorę się do kilku klubów – odpowiedział Jon cicho – najpierw tam, gdzie bywają celebryci, ale nie ci z najwyższej półki.

– Celebryci narkomani?

– Tak. Nazwiska paru są ci pewnie znane, choć nie należą do ludzi chodzących w otoczeniu ochroniarzy. Postaram się zaprzyjaźnić z niektórymi z nich i może czegoś uda mi się dowiedzieć. Oglądałem w telewizji twoje sprawozdanie z procesu Betsy Grant. – Jon zmienił temat, gdy kelner zabierał talerze z ich stolika. – Byłaś, oczywiście, obiektywna, ale co myślisz o niej teraz?

Delaney zastanowiła się chwilę, potem spojrzała mu w oczy.

– Odnoszę wrażenie, że wbijają gwoździe do jej trumny. Zeznania świadków są druzgocące. Przed wszystkim chodzi o słowa, jakie wypowiedziała, kiedy Ted

Grant uderzył ją w twarz. A także o nagłą chorobę opiekunki. O włączony alarm. O randki z profesorem Peterem Bensonem. Jadła z nim kolację w wieczór poprzedzający przyjęcie urodzinowe męża.

– Czy jest możliwe, by on to zrobił?

– Absolutnie nie. W czasie popełnienia zbrodni był w Chicago. Spotykał się z profesorami, których chciał zatrudnić na Franklin University.

– Jak widać, cała ta sytuacja nie jest korzystna dla Betsy Grant.

– Na pewno. Ale gdybyś tylko mógł ją zobaczyć! Śliczna kobieta. Ma czterdzieści trzy lata, ale wygląda o wiele młodziej. Jest bardzo szczupła, a kiedy siedzi obok swojego adwokata, wygląda tak... – Delaney zamilkła na chwilę. – Szukam odpowiedniego słowa. Już wiem: bezbronnie. Serce mi się ściska na jej widok.

– Czytałem, że była nauczycielką historii w liceum w New Jersey.

– W Passack Valley. Dzwoniłam do dyrektorki szkoły. Nazywa się Jeanne Cohen i mówiła z pełnym przekonaniem, że Betsy Grant była wspaniałą nauczycielką. Uczniowie ją uwielbiali, była też bardzo lubiana przez innych nauczycieli i rodziców. Cohen powiedziała mi, że na dwa lata przed śmiercią męża Betsy wzięła urlop, by nim się opiekować. Stanowczo stwierdziła, że prędeziej niebo spadłoby nam wszystkim na głowy, niż Betsy Grant pozbawiła kogoś życia, szczególnie swojego ukochanego męża.

– Bardzo żarliwa wypowiedź – zauważył Jon.

– Nie wydaje mi się również, żeby Robert Maynard bronił jej z pełnym zaangażowaniem. Na przykład gdyby zabiła doktora Granta, podkreślam „gdyby”, dlaczego miałaby zadać mu cios w tył głowy? O ile wiem, dostał silne środki uspokajające po aferze, jaką urządził na przyjęciu. Miałaby iść do jego sypialni, posadzić go na łóżku, uderzyć tłuczkiem w tył głowy i zaraz położyć się spać? To nie ma sensu.

– Wygląda na to, że powinnaś być adwokatką Betsy Grant.

– Żałuję, że nie mogę nią być. Niestety, nie jestem prawniczką. Wiem jednak, że na pewno lepiej bym jej broniła.

Uśmiechnęli się oboje, dopiero po chwili odezwał się Jon.

– Delaney, pamiętasz, co mówiłem w zeszłym tygodniu o miłości od pierwszego wejrzenia?

– Uznałam to za zwykłą figurę stylistyczną. Ale ten cytat brzmi dobrze.

– To nie jest figura stylistyczna, lecz powiedziałem to zbyt wcześnie. Powinienem był odczekać miesiąc lub dwa.

– Ten cytat brzmi coraz lepiej. – Delaney się roześmiała.

Przywołała w pamięci mężczyzn, z którymi spotykała się po ukończeniu college’u. Kilku było dość interesujących, lecz nie na tyle, by utrzymywać stałe kontakty.

– To nie jest cytat – powiedział Jon. – Ale na razie nie mówmy o tym.
Długo patrzyli na siebie. Potem wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, którą Delaney nieświadomie przesunęła w jego stronę.

Alan Grant często chodził do klubów w SoHo ze swoim kumplem Mikiem Carrollem. Obaj wychowali się w nowojorskiej dzielnicy Queens i wiele ich łączyło. Mike również był rozwiedziony, „uwolniony z więzów”, jak lubił powtarzać.

Podobnie jak Alan mieszkał na Manhattanie w pobliżu Lincoln Center. W przeciwieństwie do Alana nie miał się dorywczych prac, był partnerem w firmie inżynierskiej i mimo wydatków na byłą żonę i dwójkę dzieci mógł żyć na dość wysokiej stopie.

Mike miał trzydzieści siedem lat, lekką nadwagę, świeżą cerę i zniewalający uśmiech. Z łatwością podrywał kobiety w barach.

– Ty wyglądasz sztywno – mówił do Alana – a ja seksownie. Tak trzymać.

Chociaż byli przyjaciółmi, zdenerwowała go wiadomość z „Post”, że trzy miesiące temu Alan otrzymał wypłatę w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Kiedy się spotkali, Mike natychmiast wyciągnął z portfela kartkę papieru.

– Czas zapłaty, przyjacielu – powiedział wesoło, lecz stanowczym tonem.

Alan wytrzeszczył oczy, patrząc na sumę długu wraz z odsetkami, sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Nie wiedziałem, że aż tyle się uzbierało – jęknął.

– Tak wyszło – potwierdził Mike. – Nie zapominaj, że przez całe lata żyłeś pod kreską. Pomogłem ci, a ty obiecałeś oddać mi dług, gdy tylko dostaniesz coś z pieniędzy ojca.

Radość Alana po otrzymaniu czeku z majątku ojca gwałtownie opadła. Dlaczego to musiało zostać ujawnione na rozprawie?, zadawał sobie pytanie. Po przeczytaniu artykułu w „Post” matka Justina natychmiast się z nim skontaktowała, domagając się zaległych alimentów. Jego była żona Carly zaś zatelefonowała tego samego dnia. Ona też czytała artykuł.

Po otrzymaniu wypłaty przekazał Carly pięćdziesiąt tysięcy dolarów zaległości, ale od tamtej pory przez kolejne trzy miesiące w ogóle jej nie płacił. Ostatnio spłacił matce Justina osiem tysięcy dolarów zaległości. Ponadto przekroczył już limit na swoim koncie bankowym, zalegał z czynszem za mieszkanie i miał mnóstwo niezapłaconych rachunków. Po odliczeniu osobistych wydatków za ostatnie trzy miesiące i spłaceniu Mike’a zostanie mu marne dziesięć tysięcy dolarów. Nie wiedział, czy po upływie tygodni czy też miesięcy będzie mógł dostać resztę pieniędzy ojca.

Muszę postarać się o więcej zleceń, pomyślał. Wypisał czek na sześćdziesiąt tysięcy dolarów i przesunął Mike’owi po barze. Co prawda niezbyt wiele pism

ubiegało się o jego usługi. Wiedział, że ma opinię bardzo dobrego fachowca, ale nierzetelnego.

– Wygląda na to, że twoja macocha zostanie skazana. – Mike dał znak barmanowi, by nalał nowe drinki. – Czytałem w gazecie, że miała faceta. To jej dobrze nie zrobi. Wiedziałaś o tym?

– Nie, nic nie wiedziałem – zaprzeczył Alan gwałtownie. – Zawsze odgrywała przy ojcu rolę kochającej żony. A okazało się, że sobie wychodziła i pewnie miała romans z tym facetem. Kiedy się o tym dowiedziałem, czułem, jakbym dostał obuchem w głowę.

Jednak ta sprawa bardzo ucieszyła Alana. Mike był sprytnym facetem, od razu podchwycił kwestię tego romansu. Kiedy Betsy zostanie skazana, myślał Alan, ja dostanę wszystkie pieniądze, do ostatniego centa.

Barman stawiał przed Mikiem nowego drinka. Odzyskawszy dobry humor, Alan zignorował fakt, że jego zasoby finansowe gwałtownie się skurczyły.

– Pamiętaj też o mnie – przypomniał barmanowi, wskazując swoją pustą szklankę.

Po trzech godzinach, lekko chwiejąc się na nogach, dotarł do swojego mieszkania. Na jego telefonie pulsowało światełko. „Zadzwoń do mnie z samego rana” – przeczytał wiadomość.

– O co chodzi? – zastanawiał się zdenerwowany.

Źle spał tej nocy, a o ósmej rano wykonał telefon.

Po zakończeniu rozmowy ukrył twarz w dłoniach i szlochał.

W tej fazie procesu Delaney bacznie obserwowała Betsy Grant. Wdowa była bardzo blada, miała prawie woskową cerę, a kiedy wchodziła na salę rozpraw, odnosiło się wrażenie, że pragnęłaby natychmiast stąd uciec. Codziennie nosiła ubrania w stonowanych kolorach, granatowy lub ciemnoszary żakiet i spódnicę. Zawsze miała sznurek pereł, kolczyki z perłami i szeroką złotą ślubną obrączkę.

Bardzo schudła, nie wyglądała już na szczupłą, tylko na wychudzoną. Mimo wszystko siedziała wyprostowana, miała spokojną twarz poza momentami, kiedy mówiono o śmiertelnym ciosie zadany jej mężowi. Wtedy zamykała oczy, jakby chciała wymazać ten obraz.

Sala sądowa zawsze była przepelniona. Delaney rozpoznawała już niektórych przyjaciół Betsy, rodziców uczniów z jej szkoły oraz osoby z lokalnej społeczności. Rozmawiała z nimi podczas przerwy na lunch, wszyscy definitywnie odrzucali możliwość, by Betsy Grant mogła być morderczynią.

Delaney wiedziała, że w telewizyjnych wiadomościach o szóstej po południu ma mówić o tym, co się wydarzyło na sali sądowej, a nie wyrażać swojej opinii i dzielić się ze słuchaczami przekonaniem, że bez względu na materiał dowodowy Betsy Grant jest niewinna.

– Zauważyłam – zwróciła się do Dona po zakończeniu programu – że Betsy jest pozbawiona wsparcia rodziny. Dowiedziałam się, że jest jedynaczką, jej matka umarła dwadzieścia lat temu, ojciec ożenił się ponownie i mieszka na Florydzie. Nie uważasz, że powinien być tutaj i wspierać córkę?

– Naturalnie. Chyba że nie może przyjechać, bo jest bardzo stary i schorowany.

Przesunęła swój laptop w stronę kolegi.

– Zobacz, co znalazłam wczoraj na Facebooku. To jest ojciec Betsy Grant, Martin Ryan, z wnukami na meczu futbolu w ich liceum w Naples.

Na ekranie krzepki siedemdziesięciolatek, uśmiechając się szeroko, obejmował dwóch nastoletnich chłopców. A podpis brzmiał: „Jestem dumny z moich wnuków. Obaj w zwycięskiej drużynie. Jestem bardzo szczęśliwy!”.

Don Brown, przeczytawszy podpis, był zszokowany.

– Jego córka jest oskarżona o zamordowanie męża, a ten palant chwali się swoimi wnukami!

– Przyrodnimi wnukami – uściśliła Delaney. – Betsy, jego jedyne dziecko, nie ma przy sobie żadnego krewnego, który mógłby ją wspierać.

Don, coraz bardziej zdumiony, ponownie czytał wpis na Facebooku.

– Don – odezwała się Delaney – mam przeczucie, że ten brak więzi między

Betsy a jej ojcem wpisuje się w szerszy scenariusz. Chcę się tym zająć w wolnym czasie.

Jon Cruise, w swobodnym, choć niewątpliwie drogim ubraniu, odwiedzał modne nocne kluby w SoHo. Przystojny, o dobrej prezencji, z rolexem widocznym na nadgarstku, gotów dać dobry napiwek bramkarzom, nie miał trudności z wejściem nawet tam, gdzie słyszał: „Nie ma wolnych stolików, ale są miejsca przy barze”.

Już po tygodniu znał cały układ. Przychodzili tam celebryci z najwyższej półki, stali bywalcy, wielu pod wpływem narkotyków. Zasięgając dyskretnie informacji w sprawie potrzebnego mu towaru, dowiedział się, że ma się z kimś spotkać w męskiej toalecie.

Dzięki pieniądзом dostarczonym przez „Washington Post” dokonał dwóch transakcji. Przeprowadzona w prywatnym laboratorium analiza prochów wykazała, że miały niewielką ilość substancji narkotycznej i nie były tak dobrej jakości, o jaką mu chodziło.

Dziesięć dni po wywiadzie z Lucasem Harwinem i jego żoną ten słynny reżyser zadzwonił do niego i prosił, żeby jak najszybciej przyszedł do jego biura.

– Pracuję nad filmem dokumentalnym – mówił. – Mam napięte terminy, w weekend jadę na plan w Massachusetts, ale przedtem chcę panu wskazać pewne tropy, mogące doprowadzić do dilerka Stevena.

Jon wiedział, co Harwin chciał powiedzieć. Najlepszym sposobem na poradzenie sobie z rozpaczą było zatopienie się w pracy.

Kiedy przybył na miejsce, zdziwił się, że biuro Harwina było nieduże, z prostym umeblowaniem. Przypomnił sobie jednak, że główna siedziba Harwin Enterprises znajdowała się w Hollywood.

– Pan Harwin czeka na pana – oznajmiła recepcjonistka. – Proszę wejść.

Lucas był ubrany swobodnie. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę i sweter z długimi rękawami. Jego biurko wyglądało jak typowe miejsce pracy producenta, z porzucanymi scenariuszami, których karty zostały poznaczone samoprzylepnymi karteczkami.

Na ścianie wisiały fotografie znanych twarzy. Jon był ciekaw, czy znalazły się w filmie dokumentalnym.

Harwin miał głębokie bruzdy na twarzy i smutny wyraz oczu, ale energicznie uściśnął rękę dziennikarza. Z leżących na biurku papierów wybrał jeden stosik i przesunął go w stronę Jona.

– Przeglądałem rzeczy Stevena – powiedział. – Miałem nadzieję znaleźć coś, co doprowadziłoby mnie do jego dilerka.

– I znalazł pan?

– Nie wiem. To może nie mieć znaczenia, ale odkryłem winietki z ostatnich trzech miesięcy życia Stevena za przejazdu autostradą i innymi płatnymi drogami. Znalazłem także winietkę sprzed półtora roku, kiedy prawie umarł po przedawkowaniu. Proszę je przeczytać. Może wpadnie pan na jakiś pomysł.

Jon uważnie przestudiował winietkę z ostatniego miesiąca życia Stevena Harwina oraz tę z okresu wcześniejszego przedawkowania.

Wiedział już, o co chodziło Lucasowi. Na trzy tygodnie przed śmiercią Steven, jak wykazywała winietka, dwa razy jeździł do New Jersey. A przed wcześniejszym przedawkowaniem w odstępnie niecałych trzech tygodni trzy razy przejeżdżał przez most George’a Washingtona.

– Wyjazdy do New Jersey? – spytał Jon.

– Tak. Steven miał przyjaciół w New Jersey, ale dlaczego jeździłby tam tak często tuż przed ponownym popadnięciem w narkomanię?

– Myśli pan, że diler mógł pochodzić z New Jersey?

– Tak.

– Czy policja poinformowała pana o jego połączeniach telefonicznych?

– Powiedzieli mi, że uzyskali zgodę sądu i przejrzyli połączenia z ostatniego roku. Nie było tam kontaktów z lekarzem czy farmaceutą. Jest jednak możliwe, że miał jeden z tych telefonów jednorazowego użytku, wymagający tylko aktywacji, z godzinnym limitem rozmów. Spójrzmy prawdzie w oczy – powiedział Lucas z rezygnacją. – Diler sprzedawał prochy nielegalnie i Steven kupował je nielegalnie. Zacierał za sobą ślady.

– Czy są inne tropy wskazujące na New Jersey?

– Tak. – Lucas Harwin otworzył szufladę biurka. – Właśnie przyszedł wyciąg z karty Visa, co może zawęzić poszukiwania. Steven jadł posiłek w Garden State Diner w Fort Lee. Dopiero tydzień temu.

– Syn używał karty kredytowej do każdego zakupu – mówił, pokazując Jonowi wyciąg. – Płacił nią nawet za kawę w Starbucksie. Żartował, że gdyby płacił gotówką, traciłby punkty na bezpłatne loty związane z kartą Visa.

Kiedy Jon oglądał rachunek, Harwin wyciągnął z szuflady dwa wyciągi bankowe, jeden z okresu, kiedy syn wrócił do nałogu, a drugi z ostatnich kilku tygodni.

– Proszę, niech pan popatrzy na nie i powie mi, co się rzuca w oczy.

Dziennikarz przejrzał wszystkie transakcje i zauważył na wcześniejszym wyciągu dwie wypłaty po sześćset dolarów każda. Jedna z dnia poprzedzającego wyjazd chłopaka do Fort Lee, a druga z dnia wyjazdu, czyli na dzień przed powrotem do nałogu. Na drugim dostrzegł wypłatę tysiąca trzystu dolarów tuż przed ostatnią wizytą Stevena w Fort Lee, na trzy dni przed jego śmiercią.

Harwin ledwie tłumził gniew.

– Mój syn nie miał powodu, by jeździć do Fort Lee w New Jersey. I to

dwukrotnie w krótkim okresie przed śmiercią, a na dodatek z zapasem gotówki w kieszeni, chyba że tam mieszkał lub pracował jego diler.

– Ten ślad rzeczywiście prowadzi do Fort Lee – przyznał Jon. – Ale pomoże nam niewiele. Zbyt duży zasięg poszukiwań. Wiem, że w Fort Lee jest dużo luksusowych budynków wielorodzinnych oraz mnóstwo domów jednorodzinnych i firm. Ludzie chcą mieć mieszkanie z widokiem na rzekę Hudson.

– Myślę o jeszcze jednej sprawie, która może okazać się pomocna – dodał Harwin. – Steven skrupulatnie uczęszczał na terapię. Właśnie wczoraj telefonował do mnie jego terapeuta. Kiedy syn wrócił do nałogu, doradca ostrzegł go, mówiąc, że te prochy same w sobie są bardzo niebezpieczne, a jeśli kupuje je na ulicy, to nie wiadomo, co w nich jest. – Lucas zacisnął wargi, jakby chciał powstrzymać cisnące mu się na usta przekleństwa. – Wtedy terapeuta usłyszał od Stevena, że nie powinien się martwić o jakość narkotyków, ponieważ jego dostawcą jest lekarz.

– Obawiam się, że to się często zdarza – powiedział Jon cicho. – Niestety, nieraz się okazuje, że dilerem jest lekarz.

– Czy ci lekarze jeszcze pamiętają, że składali przysięgę Hipokratesa? – spytał Lucas ironicznie.

– Panie Harwin, ekipa śledcza „Washington Post” jest najlepsza w tej dziedzinie. Zawiadomię wszystkich o pana podejrzeniu, że dilerem jest lekarz w Fort Lee. Sprawdzimy posiadane przez nas listy podejrzanych lekarzy, zwracając szczególną uwagę na tych, którzy pracują w pobliżu Garden State Diner. Istnieje szansa, że wpadniemy na jakiś trop.

Wstał, by się pożegnać, Lucas uściśnął mu rękę.

– Jon, jak mówiłem panu w zeszłym tygodniu, nie chcę, by ktokolwiek inny padł ofiarą tego obrzydliwego drania, zabójcy mojego syna.

Natychmiast po powrocie do domu z wizyty u Bridget O'Keefe Alvirah zatelefonowała do Edith Howell, sąsiadki Victorii Carney.

– Victoria czuła się winna z powodu tej adopcji – wyznała jej rozmówczyni.
– Mówiła, że już jako mała dziewczynka Delaney stale pytała o swoją biologiczną matkę. Victoria obwiniała się za zorganizowanie pokątnej adopcji. Gdyby Wrightowie adoptowali Delaney za pośrednictwem legalnej agencji, mogłaby odszukać swoją biologiczną matkę. Wiem, że krótko przed śmiercią Victoria pojechała do tamtego domu w Filadelfii w nadziei uzyskania informacji.

– Jak dawno temu? – spytała Alvirah.

– Zaraz po tym, gdy dom, w którym urodziła się Delaney, został przejęty przez fabrykę płytek ceramicznych. Victoria była rozczarowana. Mówiła mi, że dzwoniła do drzwi ludzi mieszkających po obu stronach budynku, aby spytać o akuszerkę. Jedna osoba powiedziała jej, że Delaney urodziła się szesnastego marca, czyli minęło już dwadzieścia sześć lat. Sąsiadka zapamiętała coś z dnia urodzin Delaney, ale to nie była istotna informacja. Victoria nigdy mi nie zdradziła, o co chodziło.

– Rozmawiała z sąsiadką? – wykrzyknęła Alvirah.

– Tak. Dzwoniła do wielu mieszkań, ale tylko jedna sąsiadka była w domu. Nie znam jej nazwiska. Niewiele mogą pomóc.

Alvirah serdecznie podziękowała Edith Howell.

– Jeśli ta sąsiadka nadal tam mieszka, może dać nam wskazówkę – szepnęła z nadzieją w głosie.

Dwa dni po rozmowie z Edith Howell Alvirah i Willy ponownie wpisali do nawigacji adres Oak Street.

– Znów tu jesteśmy. – Alvirah zaśmiała się na widok znaku WITAJCIE W FILADELFI.

– Tak – przyznał Willy. – Miejmy nadzieję, że tym razem uzyskamy trochę więcej informacji.

– Mam do siebie pretensję, że nie dzwoniłam do osób mieszkających po drugiej stronie fabryki – narzekała Alvirah.

Tym razem Willy'emu nawet nie przeszło przez myśl, by powiedzieć, że się z nią zgadza. Zresztą, będąc zagorzałym fanem bejsbolu, miał co innego na głowie. Chociaż drużyna Yankees była jego pierwszą miłością, zaangażował się teraz w mecz drużyny Mets rozgrywany z Philadelphia Phillies. Mógłby poprosić żonę o odłożenie tej podróży o kilka dni, wiedział jednak, że ona pali się do sprawdzenia tego wątku.

Niebo było zachmurzone i co chwila padał deszcz. Kiedy skręcili w Oak Street, wyglądała tak, jak ją zapamiętali, ponuro. Zaparkowali przed fabryką glazury.

– Willy, lepiej zostań w samochodzie – zasugerowała Alvira. – Ta sąsiadka, jeśli jeszcze tutaj jest, może nie być zadowolona, gdy pojawimy się u niej oboje.

Willy przystał na to chętnie i natychmiast włączył radio.

Alvira wysiadła z samochodu, przeszła obok fabryki płytek i skierowała się do stojącego obok domu. Kiedyś często sprzątała takie siedziby, zbudowane w stylu Cape Cod, z mansardowymi oknami. Ten wyglądał na podniszczony, ale trawnik był dobrze utrzymany i rośliny pod oknami zadbane.

Oby właściciele mieszkania nie zatrzasnęli mi drzwi przed nosem, pomyślała Alvira, naciskając dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły. Stał w nich mężczyzna około siedemdziesiątki, ubrany w koszulkę Philadelphia Phillies.

– Nazywam się Alvira Mehan. Pomagam młodej kobiecie, która urodziła się w domu obok, odnaleźć jej biologiczną matkę. Jestem dziennikarką, piszę felietony.

Przez uchylone drzwi zauważyła zbliżającą się kobietę, która niewątpliwie słyszała, co mówiła Alvira.

– Joe, wszystko w porządku – zwróciła się do męża. – Ta pani w zeszłym tygodniu rozmawiała z Jane Mulligan. Jane mówiła mi o niej.

– Dobrze, proszę wejść – mruknął niechętnie Joe. Było widoczne, że nie lubi słuchać poleceń.

Po wejściu do domu Alvira usłyszała z salonu odgłosy meczu. Bardzo głośne, pewnie Joe miał kłopoty ze słuchem.

– Ogląda pan mecz? – zapytała. – Nie chcę przeszkadzać.

– Jestem Diana Gibson – przedstawiła się jego żona; w przeciwieństwie do męża była uprzejma. – Chodźmy porozmawiać do kuchni.

Poprowadziła gościa do małej, ale przyjemnej kuchni.

– Proszę siadać – zapraszała. – Niech pani nie zwraca uwagi na mojego męża. Jest największym fanem bejsbolu na całej kuli ziemskiej.

– Podobnie jak mój mąż – przyznała Alvira.

Poczuła się winna, że Willy siedzi w samochodzie, słuchając meczu przez radio, a nie w ich mieszkaniu, w swoim wygodnym fotelu z puszką piwa w ręce, ale szybko o tym zapomniała.

– Wiem – zaczęła – iż pani sąsiadka, pani Mulligan, nie jest zadowolona, że obok powstaje hurtownia. A co pani sądzi o tej inwestycji?

– Mnie nie przeszkadza. Zmniejszono nam podatki, co jest bardzo korzystne. Sam, właściciel fabryki, jest bardzo miłym człowiekiem. Kiedy pada śnieg, wysyła człowieka z odśnieżarką także na nasz podjazd.

– Czy pani Mulligan wspominała, że pytałam ją o Corę Banks, właścicielkę

domu, który został zburzony, by zrobić miejsce dla fabryki?

– Tak. Mówiła mi o tym. Nikt się nie zmartwił, kiedy Cora się wyprowadziła. Pewnie Jane mówiła pani, że była akuszerką, a przed jej domem stale parkowały samochody. Jednymi przyjeżdżały ciężarne dziewczyny, a po paru godzinach ludzie z niemowlętami w ramionach odjeżdżali innymi samochodami. Myślałam, że Cora prowadzi prywatną agencję adopcyjną, dopiero kiedy przyjechała policja z nakazem aresztowania, zorientowałam się, że po prostu sprzedawała noworodki. Czy to nie okropne?

– Tak – przyznała Alvirah. – Legalna agencja adopcyjna dokładnie by prześwietliła przyszłych rodziców. Sądzę, że Cora sprzedawała dzieci tym, którzy najwięcej jej płacili. Czy pani spotkała Victorię Carney, gdy ta przed laty przyjechała tutaj w poszukiwaniu informacji o adoptowanym dziecku?

– Pamiętam ją. Podała mi datę urodzenia dziecka, szesnasty marca. Szesnastego marca jest nasza rocznica ślubu. Kiedy ta pani przyjechała szesnaście lat temu, obchodziliśmy akurat trzydziestą rocznicę. Dlatego tak dobrze to pamiętam. Powiedziałam jej, iż w dniu urodzenia tego dziecka byłam na spacerze z psem i zobaczyłam, że jakaś para prowadzi ciężarną, płaczącą dziewczynę. Podtrzymywali ją z obu stron i wprowadzili do domu Cory. To była bardzo ładna dziewczyna, wyglądało, że już zaczęła rodzić. Przyjechali starym czarnym fordem z tablicą rejestracyjną z Jersey.

Alvirah wstrzymała oddech.

– Może zapamiętała pani numery samochodu? – spytała z nadzieją w głosie.

– Nie, przykro mi.

Alvirah z trudem ukryła rozczarowanie. Nic dziwnego, że Victoria powiedziała Edith Howell, iż nie uzyskała żadnej istotnej informacji, pomyślała, szukając się do wyjścia.

Podziękowała pani Gibson za rozmowę i ruszyła w stronę samochodu. Kiedy przechodziła koło fabryki glazury, w drzwiach pojawił się właściciel, Sam.

– Hej, miło panią widzieć – zawołał. – Po pani wizycie coś mi się przypomniało. Mam kopię dokumentu kupna domu od Cory Banks, a na niej jest nazwisko jej prawnika. Zapisałem je na wypadek, gdyby pani do mnie wróciła, żeby coś kupić. Mam tę notatkę tutaj.

Wszedł za ladę i wyjął z szuflady złożony kawałek papieru.

Alvirah z trudem się powstrzymała, by nie wyrwać mu kartki z ręki. Adwokat nazywał się Leslie Fallowfield.

– Leslie Fallowfield – wykrzyknęła. – Bardzo rzadkie nazwisko.

– Też tak pomyślałem, kiedy go zobaczyłem. Nie grzeszył urodą, niski, chudy i łysiejący.

– Sam, nie wie pan, skąd on pochodzi?

– Jestem przekonany, że z tych okolic.

– Ile miał wtedy lat? – Boże, proszę, błagała Alvirah, by nie był zbyt stary i by jeszcze żył.

– Około pięćdziesięciu. Był chyba facetem Cory, bo słyszałem, jak umawiał się z nią na drinka „tam gdzie zawsze”.

Alvirah chciała ucałować Sama, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Tylko serdecznie uścisnęła mu dłoń.

– Sam, nie wiem, jak mam panu dziękować. Po prostu nie wiem, jak się za to odwdzięczę!

– Poszcęściło ci się? – spytał Willy, kiedy wróciła do samochodu.

– Willy, jeśli to, czego się dowiedziałam, doprowadzi nas do celu, wyłożymy kafelkami wszystkie podłogi, ściany i sufity naszego mieszkania.

Wysoki Sądzie, powołuję na świadka Petera Bensona – oświadczył prokurator Holmes.

Kiedy otworzyły się drzwi sali sądowej, wszyscy obrócili się, by na niego popatrzeć. Uderzająco przystojny mężczyzna, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, z pasmami siwizny w ciemnobrązowych włosach, podszedł do stanowiska dla świadków, podniósł prawą rękę i przysiągł mówić prawdę. Kiedy zajął miejsce na krześle, podszedł do niego prokurator.

Przysięgli czujnie obserwowali przesłuchanie tego wielce obiecującego świadka.

Elliot Holmes miał duże doświadczenie ze świadkami takimi jak Peter Benson. Czasem konieczne było wezwanie kogoś blisko związanego z oskarżonym i z natury rzeczy wrogo nastawionego do prokuratora. W tym wypadku również nie miał wyboru, jeśli chciał uzyskać pewne informacje.

Oskarżyciel wiedział, że musi działać ostrożnie, ponieważ tacy świadkowie mogą udzielić odpowiedzi, które storpedują sprawę. A posiadający tytuł naukowy Peter Benson był bardzo inteligentnym i wykształconym człowiekiem.

Po pierwszych pytaniach prokurator ustalił, że Peter Benson kierował katedrą humanistyki na Franklin University w Filadelfii. Jego żona była adiunktem na tym samym uniwersytecie.

Przed pięcioma laty zginęła w wypadku samochodowym. Małżeństwo trwało trzynaście lat, nie mieli dzieci.

– Jak długo zna pan oskarżoną Betsy Grant?

– Oboje wychowaliśmy się w Hawthorne w New Jersey i chodziliśmy tam do liceum. Ukończyliśmy szkołę dwadzieścia sześć lat temu.

– W latach szkolnych utrzymywaliście bliski kontakt?

– Często ją widywałem. Chodziliśmy wtedy na randki.

– Po ukończeniu szkoły nadal się pan z nią widywał?

– Spotkaliśmy się tylko kilka razy. Ona przeskoczyła rok w podstawówce, a jej rodzice uznali, że była zbyt młoda, bo ledwie skończyła siedemnaście lat, by iść do college'u. Postanowili wysłać ją do Milwaukee, by przez rok zamieszkała tam z ciotką, popracowała w jej butik i dopiero wtedy rozpoczęła studia. Tak więc gdzieś w środku lata wyjechała do Milwaukee.

– Czy widywał się pan z nią w następnych latach?

– Nie. Studiowałem w Boston College, a firma mojego ojca przeniosła się do

Karoliny Północnej, tam więc jeździłem na wakacje. Straciliśmy ze sobą kontakt.

– Kiedy znów nawiązał pan z nią kontakt albo się spotkał?

– Spotkaliśmy się przypadkiem na wystawie w Metropolitan Museum of Art na Manhattanie około trzech i pół roku temu. Przechodziłem koło niej, spojrzeliśmy na siebie i natychmiast się rozpoznaliśmy.

– Po tym spotkaniu wskrzesiliście swoją przyjaźń?

– Jeśli rozumie pan przez to, że znów staliśmy się przyjaciółmi, tak było.

– Czy powiedziała panu, że jest mężatką?

– Tak. Powiedziała mi też, że jej mąż jest chory na alzheimera, a ja z kolei wspomniałem, że moja żona zginęła w wypadku samochodowym.

– Teraz mieszka pan w Filadelfii, prawda?

– Tak.

– A ona mieszka w Alpine, zgadza się?

– Tak.

– Jak długo jedzie się samochodem z Filadelfii do Alpine?

– Nie wiem. Nigdy nie jeździłem samochodem z Filadelfii do Alpine.

Holmes zamilkł, a potem kontynuował przesłuchanie.

– Jak często widywał się pan z nią w ciągu ostatnich trzech i pół roku?

– Raz lub dwa w miesiącu, aż do śmierci doktora Granta.

– Gdzie się spotykaliście?

– Zwykle jedliśmy kolację w jednej z restauracji na Manhattanie.

– Czy kiedykolwiek byliście na kolacji w New Jersey?

– Nie. Nigdy.

– Dlaczego?

– Bez specjalnego powodu. Po prostu chcieliśmy jeździć do miasta. Mieliśmy tam kilka ulubionych restauracji.

– Jechał pan prosto na Manhattan?

– Tak.

– Nigdy więc nie jedliście kolacji w New Jersey, niedaleko jej domu? – W głosie Holmesa słychać było sarkazm.

– Jak już mówiłem, chodziliśmy na kolacje w Nowym Jorku.

– Czy słuszne byłoby stwierdzenie, że wybieraliście Nowy Jork z uwagi na mniejsze prawdopodobieństwo spotkania tam swoich znajomych?

– Tak, można byłoby je uznać za słuszne, ale w pewnym stopniu – powiedział Peter Benson po chwili wahania. – Jednak fakt, że jadaliliśmy razem kolacje, nie był żadną tajemnicą – dodał. – Pani Grant na wszelki wypadek zawsze dawała opiekunce mój numer komórki, żeby mogła zadzwonić, gdyby nagle pogorszył się stan zdrowia doktora Granta.

– Czy opiekunka kiedykolwiek dzwoniła do pana?

– Nie, nie dzwoniła.

– Mówił pan, że po śmierci męża pani Grant przestaliście się spotykać. Kiedy po raz ostatni widział się pan z oskarżoną?

– Dopóki nie wszedłem do sali sądowej, ostatni raz widziałem ją wieczorem dwudziestego marca zeszłego roku.

– A doktora Granta znaleziono martwego rano dwudziestego drugiego marca?

– O ile wiem, tak.

– Panie Benson, czy miał pan romans z panią Grant?

– Nie, nie miałem.

– Był pan zakochany w Betsy Grant?

– Szanowałem ją za jej oddanie mężowi.

– Nie takie pytanie zadałem. Czy był pan zakochany w Betsy Grant?

Peter Benson odwrócił wzrok od prokuratora, popatrzył na Betsy i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie.

– Tak, i jestem zakochany w Betsy Grant, ale kategorycznie twierdzę, że była bardzo oddana mężowi.

– Twierdzi pan, że nie widział jej po śmierci męża?

– Tak twierdzę.

– Dlaczego przestaliście się widywać?

– Pani Grant zatelefonowała do mnie dwudziestego drugiego marca z wiadomością o śmierci swojego męża. Następnego dnia znów do mnie zadzwoniła, mówiąc, że właściciel zakładu pogrzebowego odkrył podejrzaną ranę na głowie zmarłego i że policja podejrzewa ją o spowodowanie tego urazu.

– Jak pan na to zareagował?

– Byłem ogromnie zaskoczony, kiedy Betsy powiedziała, że przesłuchuje ją policja. Wiedziałem, że nie miała nic wspólnego z jego śmiercią.

– Wysoki Sądzie, proszę o wykreślenie ostatniego komentarza, ponieważ to nie była odpowiedź na moje pytanie.

Sędzia Roth skinął głową, potem zwrócił się do ławy przysięgłych.

– Panie i panowie, proszę nie zwracać uwagi na ten komentarz. Czy to jasne?

Wszyscy przysięgli przytaknęli i ponownie zwrócili wzrok na prokuratora.

– Co jeszcze mówiła panu pani Grant? – kontynuował Holmes.

– Powiedziała, że nie chce wciągać mnie w tę okropną historię. Stwierdziła, że nie powinniśmy się widywać ani nawet rozmawiać ze sobą, dopóki ta sprawa się nie skończy. Mówiła, że nie wie, kiedy to może nastąpić. Po pewnym czasie dowiedziałem się z mediów, że została aresztowana.

– I nadal pan twierdzi, że od tamtej pory nie mieliście żadnego kontaktu?

– Nie mieliśmy.

– Panie Benson, ponownie zadam panu pytanie. Czy przed śmiercią doktora Granta miał pan romans z Betsy Grant?

– Absolutnie nie. Już panu mówiłem, że nie, absolutnie nie.

– Ale przyznał pan, że się w niej kochał, tak?

Zanim odpowiedział na pytanie, Peter Benson znów spojrzął na Betsy.

– Kiedy zaczęliśmy chodzić na kolacje, byłem w głębokiej żałobie po śmierci żony. Z biegiem czasu czułem się coraz bardziej związany z Betsy. Sądzę, że nieuleczalna choroba jej męża i tragiczna śmierć mojej żony wytworzyła między nami silną więź. Aby dokładnie odpowiedzieć na pana pytanie, powtórzę, że byłem i jestem zakochany w Betsy Grant, lecz muszę ponownie kategorycznie stwierdzić, że ona była całkowicie oddana swojemu mężowi.

– Czy proponował pan Betsy Grant małżeństwo po śmierci jej męża?

– Już panu mówiłem. Nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

– Czy kiedykolwiek rozmawialiście o małżeństwie podczas waszych spotkań?

– Nie, nie rozmawialiśmy. – Peter Benson poruszył się na krześle, poczerwieniał z gniewu na twarzy. – Panie Holmes, Betsy Grant bardzo kochała swojego męża i zajmowała się nim w domu, kiedy on sam nie był już w stanie tego robić. Jest niezdolna do uczynienia komukolwiek krzywdy. Gdy zostanie oczyszczona z tych potwornych i fałszywych oskarżeń, wtedy poproszę, żeby za mnie wyszła.

Elliot Holmes chciał natychmiast prosić sędziego o wykreślenie tych komentarzy, wiedział jednak, że przysięgli słyszeli je, a tego nie mógł cofnąć. Zajmie się tym w swojej mowie końcowej.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań – powiedział.

– Panie Maynard – zwrócił się sędzia do obrońcy. – Świadek jest do pana dyspozycji.

– Nie mam pytań, Wysoki Sądzie – odrzekł Maynard ku ogólnemu zdziwieniu.

Kiedy Peter Benson opuszczał miejsce dla świadka, jedynym dźwiękiem w cichej sali sądowej było gwałtowne łkanie Betsy Grant.

Kiedy zeznawał Peter Benson, na sali sądowej były trzy sąsiadki Betsy, które przyszły, by ją wspierać. Po zamknięciu rozprawy rozmawiały z nią, zapraszały na kolację do swoich domów, lecz stanowczo im odmówiła.

– Jesteście wszystkie takie dobre – powiedziała – ale czuję się okropnie wyczerpana. Od razu położę się do łóżka.

Otoczyli ją znów dziennikarze, fotoreporterzy i ekipy telewizyjne, gdy w towarzystwie obrońców szła do samochodu. Mimo że po złożeniu zeznań Peter nie patrzył już na nią, wiedziała, iż obawia się, że swoimi zeznaniami mógł jej zaszkodzić.

Czuła bliskość Petera, odtwarzając w myślach chwilę, kiedy powiedział prokuratorowi, że ją kocha i poprosi, by za niego wyszła. Jeśli zadadzą mi to samo pytanie, kiedy będę zeznawać – myślała – odpowiem tak samo, bo taka jest prawda. To stało się prawdą już w momencie, kiedy niespodziewanie spotkali się w muzeum. Wiedziała, że Peter zadzwoni do niej wieczorem. Nie widywali się przez osiemnaście miesięcy, nie rozmawiali przez telefon, a tak bardzo siebie potrzebowali. Kiedy zorientowała się, że jest podejrzana o zamordowanie Teda, zwróciła się do adwokata Roberta Maynarda, i ten zabronił jej kontaktów z Peterem przed zakończeniem procesu.

Przypomniała sobie nagle czas, gdy mieszkała w Nowym Jorku, mając dwadzieścia kilka lat. Wynajmowała wtedy mieszkanie na West Side. Doszła jednak do wniosku, że nie nadaje się do pracy w agencji PR, i postanowiła zrobić magisterium. Potem dostała pracę nauczycielki w Pascal Valley i wróciła do New Jersey.

I spotkała Teda.

Przez resztę drogi do domu starała się nie myśleć, co będzie, jeśli sąd uzna, że jest winna morderstwa.

Mówiła Carmen, żeby nie przygotowywała dla niej kolacji, ale kiedy weszła do domu, gosposia już tam była.

– Pani Betsy, nie mogę pozwolić, by pani nic nie jadła – oświadczyła Carmen. – A rano mówiła mi pani, że nie skorzysta z żadnych zaprosin.

– Tak mówiłam – przyznała Betsy.

Zapach pieczonego kurczaka wskazywał, że Carmen przyrządza jedno z jej ulubionych dań, kurczaka z jarzynami w cieście. Poszła na górę, by przebrać się w spodnie i koszulę z długimi rękawami. Rozglądała się po sypialni, po prostu z przyzwyczajenia, liczyła jeszcze, że przypomni sobie o jakimś miejscu, gdzie Ted mógłby schować jej brylantową bransoletkę ze szmaragdami, chociaż prawdę

mówiąc, straciła już nadzieję. Razem z Carmen dokładnie przeszukała nie tylko ten pokój, ale także cały dom. Mogłabym zgłosić zaginięcie bransoletki do ubezpieczyciela, pomyślała.

Kiedy zeszła na dół, zobaczyła, że Carmen nalala jej kieliszek wina. Usiadła w pokoju dziennym, popijając wino. Włączyła wiadomości o piątej po południu, w których była jedynie wzmianka o procesie. Podczas kolacji oglądała te o szóstej, gdy Delaney Wright relacjonowała przebieg rozprawy.

Betsy zauważyła Delaney na sali sądowej i czuła się przez nią stale obserwowana. Nie było w tym nic dziwnego, przecież płacono jej, by składała relacje z przebiegu rozprawy. Dziennikarka mówiła właśnie, że Peter Benson, kierownik katedry na wydziale humanistycznym Franklin University, zeznał pod przysięgą, iż kocha Betsy Grant i ma zamiar prosić ją o rękę. Na końcu powiedziała, że po usłyszeniu tych zeznań prokurator wyglądał jak kot, któremu udało się zeżreć kanarka.

Potem współprowadzący program spytał Delaney o jej wrażenia z przebiegu procesu.

– Don – odpowiedziała – dzisiejszy dzień nie okazał się dobry dla Betsy Grant. Byłam zdumiona, kiedy jej obrońca oświadczył: „Nie mam pytań, Wysoki Sądzie”. Domyślałam się, że z jednej strony nie chciał eksponować faktu, iż chodziła na randki z mężczyzną, który był w niej zakochany, jednak z drugiej strony, co oczywiste, przysięgli oczekiwali, iż przesłucha Petera Bensona, by złagodzić wstrząs, jaki wywarły jego słowa.

Betsy nacisnęła wyłącznik na pilocie. Wiedziała, że Carmen oglądała program w kuchni, bo gdy odsunęła ledwie napoczęte jedzenie, gosposia nie namawiała jej, by zjadła więcej.

Kończyła pić kawę, kiedy zadzwonił telefon. To był jej ojciec, z Florydy.

– Jak się masz, Bets?

Wiele razy prosiła, by tak jej nie nazywał, ale zawsze o tym zapominał albo udawał, że zapomniał. Stale nazywał ją „Bets” nie dlatego, by ją zdenerwować, po prostu nie chciało mu się pamiętać, że córka tego sobie nie życzy.

– Cześć, tato, jak się miewasz?

– Dobrze. Całkiem nieźle jak na faceta będącego od dziesięciu lat na emeryturze.

Betsy wiedziała, co daje jej w ten sposób do zrozumienia; zapomniała, że w ostatnią niedzielę obchodził siedemdziesiąte piąte urodziny.

– Och, spóźnione życzenia urodzinowe – rzuciła bez szczególnego entuzjazmu.

– Dziękuję. Czytałem sprawozdania z procesu. Nie uwierzysz, ale piszą o tym we wszystkich naszych gazetach. Cieszę się, że nie pytano cię o krewnych. A może jednak pytano?

– Powiedziałałam, że moja matka nie żyje, a ojciec jest w starszym wieku i mieszka na Florydzie. O nic więcej mnie nie pytano.

– Prawdę mówiąc, jestem z tego zadowolony. Sam w ogóle o tym nie mówię i nie chciałbym, żeby wnukom zadawano jakieś pytania w szkole.

Wnuki! Musiała się przemóc, żeby nie rzucić słuchawki.

– Tato, nie chcę przerywać rozmowy, ale czekam na telefon od swojego prawnika.

– Już kończę. Trzymaj się, Bets. Wszystko będzie dobrze.

Odłożyła telefon, starając się powstrzymać gniew, jaki zawsze odczuwała w kontaktach z ojcem. Dwadzieścia lat temu, w kilka miesięcy po śmierci jej matki, powtórnie się ożenił, odszedł na wcześniejszą emeryturę, sprzedał dom i razem z nową żoną przeniósł się na Florydę. To ona chciała być blisko swoich dorosłych dzieci, a Betsy była pewna, że ojciec wymazał z pamięci zarówno jej nieżyjącego męża, jak i swoją zmarłą żonę, jakby nigdy ich nie było.

A także mnie, myślała, także mnie.

Jeśli zobaczę kolejne zdjęcie na Facebooku, jak stoi uśmiechnięty z wnukami, oszaleję. To czemu oglądasz te posty na Facebooku, pytała samą siebie.

Carmen przyszła z kuchni, by powiedzieć dobranoc.

– Niech się pani dobrze wyśpi, pani Betsy. – Próbowała się uśmiechnąć.

Sypialnia stała się jej azylem. Przeszła przez dom, gasząc światła na parterze, które Carmen zostawiła zapalone. Salon, hol, pokój dzienny, biblioteka, doprowadzona do pierwotnego stanu, po tym, gdy stała się pokojem Teda. Zanim Betsy zgasła tam światło, popatrzyła na półki pełne książek medycznych. Kiedy Ted budził się w nocy, a Angela go nie słyszała, wciąż wyciągał te tomy z półek. Podobnie jak wszystkie szuflady w domu, jeśli tylko miał taką okazję.

Zastanawiała się, czy wtedy rzeczywiście czegoś szukał, czy to były jedynie przypadkowe działania.

Peter zadzwonił o dziewiątej. Betsy leżała już w łóżku, starając się skupić na czytanej książce. Wystarczyło, że usłyszała jego głos i pękł pancierz, pod którym ukrywała swoje emocje. Szlochała.

– Och, Peter, jak się to skończy? Jak to się może skończyć?

Jon zadzwonił do Delaney i powiedział, że za kwadrans siódma będzie czekał na nią przed studium.

Kiedy wyszła z budynku, Jon był zaabsorbowany obserwacją ruchu ulicznego na Columbus Center. Popatrzyła na niego. Czarne włosy miał elegancko ostrzyżone, niewielu mężczyzn w jego wieku mogłoby się pochwalić taką fryzurą. Trzymał ręce w kieszeniach zapiętej na suwak kurtki. Robił wrażenie całkowicie odprężonego, pogodzonego ze sobą i z całym światem.

Podeszła i dotknęła jego ramienia.

– Czy można pana poderwać?

– Niestety, nie. Czekam na piękną, inteligentną, czarującą młodą damę, której trudno dorównać. – Oboje się roześmieli, a on mówił dalej. – Mam wspaniały pomysł. Dzisiejszy wieczór jest doskonały, by zjeść kolację na zewnątrz. Właśnie przechodziłem koło dawnej restauracji Mickey Mantle na Central Park South. Mają stoliki na chodniku.

– Wspaniale. Będziemy mogli stamtąd oglądać paradę.

Kiedy przechodzili przez Columbus Circle, zapytał:

– Kogo dzisiaj przesłuchiwali?

– Zeznawał Peter Benson; chodziła z nim na randki. Prokurator zmusił faceta do wyznania, że jest w Betsy zakochany i chce ją poślubić.

– Oskarżyciel na pewno ten fakt wykorzysta – stwierdził Jon.

– Masz rację. Jak mówiłam w wiadomościach, byłam zdumiona, że jej obrońca nie zadał mu żadnych pytań. Rozumiem, że nie chciał roztrząsać faktu, iż Peter Benson był niegdyś jej chłopakiem, ale jestem pewna, że przysięgli czegoś więcej od niego oczekiwali. Od początku mówiłam, że Robert Maynard nie zasługuje na swoje wygórowane honoraria.

Przeszli w milczeniu Central Park South i w wybranej przez Jona restauracji rozmawiali przy winie.

– Jon, jestem dziennikarką i wiem, że powinnam być obiektywna, ale w głębi serca wierzę w niewinność Betsy Grant. Nie mogę sobie wyobrazić, by potrafiła kogoś zamordować, a tym bardziej męża, którego, jak wszyscy twierdzą, otaczała wyjątkową czułością.

– Delaney, to wydaje się nielogiczne, lecz przez sale sądowe przewinęło się masę ludzi, którzy w normalnych warunkach nigdy nie posunęliby się do przemocy, ale doprowadzeni do ostateczności całkowicie stracili panowanie nad sobą.

– Wiem o tym, Jon, jednak na fotografiach widać, że Ted Grant był

potężnym mężczyzną, nie grubym, ale wielkim. Jak to możliwe, że kiedy spał, Betsy podniosła go do pozycji siedzącej i uderzyła akurat w takie miejsce, by roztrzaskać mu czaszkę i nie utoczyć krwi?

– Czy ona ma wiedzę medyczną?

– Nie było o tym mowy, wiem jednak, że w jego bibliotece było bardzo dużo książek medycznych.

– Zaczekajmy na dalszy rozwój wydarzeń. – Jon już nie drażył tematu.

Delaney zdała sobie sprawę, że drobiazgowo analizowanie sytuacji nie ma już sensu. Mimo to wciąż miała przed oczami udręczoną twarz Betsy Grant, kiedy ta słuchała zeznań właściciela zakładu pogrzebowego na temat ciosu, który zabił jej męża.

– Jon, opowiedz mi o swoim dochodzeniu – poprosiła, siląc się na uśmiech.

– Jest bardzo interesujące. Ale popatrzmy najpierw na menu. Nie jadłem lunchu, kupiłem sobie tylko bajgla od ulicznego sprzedawcy i jestem głodny.

– A ja miałam na lunch zimną grillowaną kanapkę z serem w sądowej kafejce. Kanapka była dobra, ale wystygła, bo o niej zapomniałam; absorbowало mnie podsłuchiwanie rozmowy siedzących obok ludzi.

– Jakie były ich reakcje?

– Prawie się nie różniły od tych w zeszłym tygodniu. Trzeba je zrozumieć, choć z drugiej strony jak ktoś mógłby roztrzaskać czaszkę temu biednemu choremu człowiekowi? Z tego nie da się wywinąć bez względu na poziom stresu. – Delaney westchnęła. – No to popatrzmy na menu.

Oboje wybrali łososia i sałatę.

– Facet, z którym się spotykałam w zeszłym roku, nienawidził łososia. Wmawiał mi, że to bardzo tłusta ryba i pewnie ma w sobie dużo rtęci.

– Dama, z którą się spotykałem w zeszłym roku, jadła tylko sałatę. Pewnego wieczoru wygłosiła wykład, że nie powinienem jeść czerwonego mięsa, więc żeby zrobić jej na złość, zamówiłem hamburgera.

Uśmiechnęli się oboje. Jon wziął Delaney za rękę.

– Do tej pory jesteśmy zgodni w wielu ważnych kwestiach – powiedział.

– Na przykład takich jak menu – odparła.

– Pytałaś o moje śledztwo – zaczął Jon, kiedy kelner odebrał ich zamówienie. – Nastąpił w nim przełom, gdy zadzwonił do mnie Lucas Harwin, reżyser. Jego syn umarł w zeszłym tygodniu na skutek przedawkowania. Kiedy się spotkaliśmy, dał mi wyciągi z karty kredytowej Stevena, z których wynikało, że w ciągu trzech tygodni przed śmiercią chłopak jeździł dwa razy do New Jersey oraz trzy razy, też w ciągu trzech tygodni, przed dwoma laty, kiedy powrócił do nałogu. Są dwa wyciągi z jego karty kredytowej z tej samej restauracji w Fort Lee w New Jersey oraz w obu przypadkach duże wypłaty z konta bankowego tuż przed wyjazdem do New Jersey. Dowiedziałem się od Lucasa, że Steven mówił swojemu

terapeucie, iż dostawał prochy od lekarza.

– Jak chcesz wykorzystać te informacje?

– Mam listę wszystkich lekarzy z Fort Lee z zaznaczonymi nazwiskami praktykujących w pobliżu restauracji.

– Są tam jakieś ciekawe nazwiska?

– Tak, ale to poufna informacja, tylko dla ciebie. Na liście są kliniki dawnych partnerów doktora Granta, doktora Kenta Adamsa i doktora Scotta Cliftona. Te placówki znajdują się blisko restauracji.

Zaciekawiona Delaney nie zauważyła nawet, że kelner postawił przed nimi talerze.

– Co teraz zamierzasz?

– Oczywiście kontynuować śledztwo. Sprawdzę środowisko lekarzy z tej okolicy. Może uda mi się dowiedzieć, czy któryś z nich nie wystawiał zbyt dużo recept na opioidy.

– Jon, oboje prowadzimy swoje śledztwa, choć na różne sposoby. Czy to tylko przypadek, że lekarze Clifton i Adams znaleźli się w strefie twojego?

– Czasem życie jest ciekawsze od fikcji. – Jon się uśmiechnął. – Jedz łososia, zanim wystygnie jak twoja grillowana kanapka z serem.

Alvirah bez kłopotów zlokalizowała Lesliego Fallowfielda. Pozbawiony uprawnień zawodowych prawnik spędził dziesięć lat w więzieniu za handel noworodkami. Jego ostatnim adresem była skrzynka pocztowa w Rowayton w Connecticut.

– Zbliżamy się do celu, Willy – zapowiedziała radośnie, kiedy mąż wyszukał tę informację. – To musi być on. Uprawiał haniebną procedurę wspólnie z Corą Banks.

– Ludzkie szumowiny – stwierdził Willy. – Jednak nie będzie łatwo znaleźć faceta, jeśli ma tylko skrytkę pocztową. Może mieć tam swój adres do korespondencji, a mieszkać w Kalifornii.

– Krok po kroku – powiedziała niezrażona Alvirah. – Mieliśmy szczęście, że zauważył nas Sam, kiedy byliśmy w Filadelfii, teraz też będziemy mieć szczęście i odnajdziemy tego gościa. Jutro jedziemy do Connecticut.

Tym razem Willy chętnie się zgodził na tę propozycję. Mets i Phillies osiągnęli identyczne wyniki i na koniec sezonu mieli rozegrać jeszcze trzy mecze. Tego dnia nie było żadnych rozgrywek. W innym wypadku musiałyby się zbuntować i powiedzieć: „Nie ma mowy”.

Wrześniowa pogoda płała figle, poprzedniego dnia było ciepło, a teraz zrobiło się chłodno. Jego żonie to nie przeszkadzało.

– Bóg nie bez powodu ustanowił cztery pory roku – orzekła. – Nie trzeba narzekać, że w sierpniu jest za gorąco, i znowu marudzić, kiedy temperatura zacznie spadać.

Ruszyli w drogę, Alvirah milczała przez całe pół godziny, co, jak wiedział Willy, było zupełnie nie w jej stylu.

– Coś się stało, kochanie? – spytał zaniepokojony.

– Co? Wszystko w porządku, tylko pograżyłam się w myślach. Wiemy, że rodzice adopcyjni Delaney zapłacili za nią pieniądze, pewnie mnóstwo pieniędzy. Jeśli nawet uda się nam znaleźć Corę za pośrednictwem Lesliego Fallowfielda, czy sądzisz, że prowadziła rejestr ludzi, którzy sprzedawali dzieci, i tych, którzy je kupowali? Uprawiała ten proceder przez wiele lat. Jej sąsiedzi z Filadelfii mówili, że co kilka dni do jej domu przyprawiano ciężarne dziewczyny. Delaney ma dwadzieścia sześć lat. Nawet jeśli znajdziemy Corę, może nam powiedzieć, że nie zna prawdziwych nazwisk rodziców z obu stron, że zawsze używali nazwiska Smith albo Jones. Wtedy znajdziemy się w ślepej uliczce.

– Alvirah, kochanie, oczekiwanie porażki nie jest w twoim stylu.

– No cóż, chociaż nie oczekuję porażki, ta sytuacja jednak mnie martwi. –

Alvirah westchnęła. – Och, Willy, zawsze mówiłam, że Connecticut jest najpiękniejszym stanem. Kiedy pani Daniels, u której sprzątałam w czwartki, przeniosła się do Darien, gdzie jej mąż dostał świetną pracę, przyjechałam tam na kilka dni, by jej pomóc się zagospodarować. Wtedy dobrze poznałam uroki tego stanu.

– No tak. – Willy usiłował sobie przypomnieć, kiedy to było.

On sam spędził te kilka dni, naprawiając instalację wodno-kanalizacyjną w domu opieki prowadzonym przez jego siostrę Pauline.

Pamiętał także, że był to jeden z nielicznych przypadków w ich małżeńskim życiu, kiedy musieli się rozstać na kilka dni. Nie lubił takich sytuacji i teraz powiedział o tym żonie.

– Ja też czułam się źle – odparła. – Ciężko się wtedy napracowałam, a pani Daniels zapłaciła mi tylko zwykłą stawkę i ani grosza więcej, chociaż się strasznie nadźwigałam. Nie lubię się chwalić, ale była jedną z pierwszych osób, do których zadzwoniłam, by powiedzieć, że wygraliśmy czterdzieści milionów dolarów na loterii.

– Pamiętam.

– Słyszałam, jak zgrzyta zębami, kiedy mówiła: „To wspaniale”. Świetnie się wtedy poczułam. Och, dojeżdżamy do Rowayton.

Po dziesięciu minutach byli już na poczcie i rozmawiali z urzędnikiem, który przedstawił się jako George Spahn. Niski, łysiejący mężczyzna z nieżytem nosa chrząkał co chwila.

– Czasem znamy właścicieli skrytek pocztowych – wyjaśnił. – Większość z nich zgłasza się raz w tygodniu po swoją pocztę. Ludzie, którzy dużo podróżują, wolą takie rozwiązanie, by przesyłki nie gromadziły się na werandzie i nie przyciągały uwagi włamywaczy do opuszczonego domu.

– Bardzo rozsądnie – przyznała Alvirah. – A Leslie Fallowfield?

– Takiego nazwiska się nie zapomina. – Urzędnik się uśmiechnął. – Oczywiście, znam go. Spokojny dżentelmen i bardzo sympatyczny. Przychodzi regularnie raz na tydzień.

– Pewnie mieszka niedaleko stąd? – Alvirah starała się nie okazać nadmiernego zainteresowania.

– Dlaczego mnie tak pani wypytuje o pana Fallowfielda? – zaniepokoił się George Spahn.

– Dlatego że moja bliska przyjaciółka chce odszukać swoją biologiczną matkę. Pan Fallowfield jest prawnikiem, który załatwiał adopcję. To jej ostatnia nadzieja, by uzyskać upragnioną informację.

Spahn popatrzył na nią uważnie i zaakceptował wyjaśnienie.

– Rozumiem – przyznał – ale lepiej będzie, jeśli najpierw sam się z nim porozumiem, a potem znów z panią.

On nie będzie chciał nas widzieć, pomyślała Alvira z rozpaczą.

– Moja żona – wtrącił Willy – umęczyła się do ostateczności, by osiągnąć ten etap. Jeśli spotkamy się z panem Fallowfieldem, w grę wchodzi dwie możliwości. Albo będzie mógł podać nazwisko biologicznej matki, albo nie. Gdyby pan był adoptowany, chyba pragnąłby poznać swoje korzenie? Nie interesował się pan nigdy swoim drzewem genealogicznym?

– Studiowałem portal genealogiczny – oświadczył Spahn z odcieniem dumy.

– Mój prapradziadek był weteranem wojny secesyjnej.

– To proszę zrozumieć, dlaczego dwudziestosześcioletnia kobieta chce wiedzieć, kim są jej rodzice.

Zapadła cisza. Urzędnik patrzył na nich, a potem odwracał wzrok.

– Powiem wam tak – odezwał się po chwili. – Pan Fallowfield przychodzi tu każdej środy punktualnie o pierwszej. Wy też możecie wtedy tu być. Ja go serdecznie powitam, a co dalej, to wasza sprawa. Tylko mnie do tego nie mieszajcie.

– Bardzo dobre rozwiązanie – ucieszyła się Alvira.

– Niewątpliwie – potwierdził Willy.

Z zamierającym sercem uświadomił sobie, że właśnie o tej godzinie rozpoczyna się mecz Mets.

Mimo nieudolnych starań Scotta, by sprawiać wrażenie oddanego i kochającego męża, Lisa wiedziała, że ich małżeństwa nie da się ocalić.

Znała powody tej sytuacji, a przynajmniej niektóre z nich. Śmierć Teda Granta wstrząsnęła Scottem do głębi. Myślał o Betsy Grant, jak mogła zadać tak okrutny cios bezbronnemu człowiekowi. Często śnił o Tedzie i wtedy powtarzał jego imię.

Coraz częściej wybudzał się ze snu i schodził na dół, by, jak twierdził, oglądać telewizję.

Lisa wiedziała też o jego stale pogarszającej się sytuacji finansowej. Wystarczającym ciosem była już choroba Teda, a na dodatek na kilka lat przed ich ślubem przestał współpracować z doktorem Adamsem. Wiedziała, że to Kent Adams chciał się wycofać, a większość pacjentów przeniosła się do jego nowej kliniki.

Ponadto Scott miał trójkę dzieci w college'u. Chłopcy bliźniacy byli na ostatnim roku w University of Michigan, a córka na pierwszym w Amherst.

Opłaty za studia stanowiły duże obciążenie, ale chłopcy mieli je wkrótce ukończyć. Kiedy Scott starał się o jej rękę, wydawało się, że jest w dobrej sytuacji finansowej.

Był jeszcze jeden czynnik. Lisa nie miała wątpliwości, że Scott nawiązał jakiś romans. Często po kolacji twierdził, że musi jeszcze odwiedzić pacjenta.

Kiedy zadzwoniła do szpitala, żeby z nim porozmawiać, dowiedziała się, że doktor Clifton nie ma tam żadnych pacjentów.

Po ślubie zrezygnowała z dobrego stanowiska w J&J Pharmaceuticals. Teraz, wiedząc, że musi zadbać o swoją przyszłość, zadzwoniła do dawnej szefowej, Susan Smith.

- Susan, czy przypadkiem nie masz dla mnie pracy? – spytała.
- Dla ciebie zawsze. Odezwałaś się w doskonałym momencie, ale z moją propozycją wiąże się konieczność cotygodniowego podróżowania.
- Nie będzie problemu.
- A jeśli Scott się sprzeciwi?
- To nie ma znaczenia. Nasze małżeństwo okazało się pomyłką i nie ma sensu dalej udawać. Umówię się z adwokatem i złożę pozew o rozwód.
- Bardzo mi przykro. Wydawałaś się taka szczęśliwa.
- „Wydawałaś się” jest najlepszym określeniem. Od samego początku było oczywiste, że zauroczenie Scotta nie potrwa długo.
- Jeśli już podjęłaś decyzję – zaczęła Susan po długim milczeniu – to

chciałabym ci coś zasugerować. Ile jest w waszym domu twoich własnych rzeczy?

– Nie licząc biżuterii, całkiem sporo. Są obrazy ze zbiorów mojego dziadka, których cena ostatnio bardzo wzrosła. On i babcia z zapałem kolekcjonowali antyki. Mam dwa perskie dywany, pudła z porcelaną i srebrem, siedemnastowieczne biurko, stoły, lampy oraz oryginalne krzesła z warsztatu dawnej sekty szejkersów. Scott spłacił pierwszej żonie udział w domu, a ona zostawiła tam prawie wszystkie meble. Przez ostatnie trzy lata czułam się tak, jakbym mieszkała w domu innej kobiety. Powiedział mi, że sprzedamy ten dom i kupimy inny, ale nigdy do tego nie doszło. Nie chciałam stawiać swoich rzeczy wśród pozostałości po pierwszej pani Clifton.

– Przyjmij moją radę. Zanim wspomnisz Scottowi o rozwodzie, zabierz wszystkie swoje rzeczy i umieść je w przechowalni. Pamiętaj stare powiedzenie: „posiadając coś fizycznie, jesteśmy w lepszej sytuacji niż ten, kto rości sobie do czegoś prawo”. Dom jest na jego nazwisko. Możesz kiedyś wrócić z miasta i przekonać się, że zamki zostały zmienione, a wtedy nie odzyskasz łatwo swoich rzeczy.

– Och, Boże, nawet o tym nie pomyślałam. Za kilka dni pojedę szukać mieszkania. Może znów coś znajdę w pobliżu Morristown.

Po zakończeniu rozmowy Lisa była przygnębiona. Niegdyś miała nadzieję, że będą żyli ze Scottem długo i szczęśliwie. Tak bardzo o nią zabiegał. Ale jego entuzjazm wygasł już po roku.

Lisa nie czuła się temu winna. Okazywała mężowi współczucie, kiedy tracił pacjentów, tolerowała jego nocne niepokoje i starała się cierpliwie znosić bezustanne poniżanie wobec ludzi.

Moje poczucie własnej wartości wynosi minus zero, doszła do wniosku. Mam trzydzieści siedem lat i zaraz się rozwiodę. Wiedziała, że uczucie, jakie niegdyś żywiła do Scotta, zostało zniszczone przez jego postępowanie. Całkiem prawdopodobne, że trzecia pani Clifton już czeka za kulisami.

Życząc jej powodzenia, dodała w myślach, wstając z krzesła w salonie. Był to ładny, duży pokój, ale Lisa nie lubiła jego surowej, chłodnej atmosfery. Scott powiedział, że przed swoim odejściem jego żona zmieniła wystrój salonu i jadalni. Założę się, pomyślała Lisa, że ona to wszystko zostawiła, bo zrozumiała, że w tej aranżacji nie ma ani odrobiny domowego ciepła. Bardziej pasowałaby do poczekalni w jego klinice.

W miejscowym klubie Lisa poznała kiedyś adwokata, specjalistę od rozwodów, i jego żonę. Chociaż Paul Stephenson i Scott się znali, miała nadzieję, że Paul zgodzi się wystąpić w jej imieniu. Umowa była prosta: „Co twoje, to twoje, a co moje, to moje”. Ona nie będzie ubiegać się o alimenty, których wcale nie potrzebowała. Adwokat miał się tylko zająć papierkową robotą. Postanowiła zadzwonić do niego później.

Odczuła nagłą potrzebę popatrzenia na piękne meble, lampy i obrazy, wśród których dorastała.

Poczuła się trochę lepiej, kiedy wchodziła po schodach na strych.

Punktualnie o dwunastej trzydzieści Alvira i Willy stawili się na pocztę w Rowayton w Connecticut. Alvira, niespokojna, że mogą rozminąć się z Leslieem Fallowfieldem, uparła się, by przyjechać jeszcze przed godziną odbierania przez niego poczty, jaką podał im George Spahn.

Spahn ledwie skinął im głową i zajął się przyklejaniem znaczków do pustych kopert na rachunki, których termin płatności upływał dopiero za trzy tygodnie.

Oczywiście, wszystkie rachunki mogły być spłacane z jednego z ich kont bankowych, ale Alvira nie chciała o tym słyszeć.

– Nikt nie pobiera pieniędzy z naszych rachunków poza dwoma osobami, Willy. Jedną z nich jesteś ty, a drugą ja.

Zbliżała się pierwsza, Alvira co chwila zerkała na zegar.

– Och, Willy, a jeśli on nie przyjdzie? – Westchnęła.

– Przyjdzie – stwierdził jej mąż.

Wraz z wybiciem pierwszej otworzyły się drzwi poczty i wszedł chudy, wyglądający na siedemdziesiąt kilka lat mężczyzna z przerzedzonymi włosami.

Nawet gdyby nie słyszała głosu Spahna wołającego: „Witam, panie Fallowfield”, wiedziałyby, że wszedł człowiek, którego tak bardzo chciała spotkać. Kiedy do niego podchodziła, pomyślała, że może powinna była zostawić Willy’ego w samochodzie na wypadek, gdyby prawnik nie chciał z nią rozmawiać i zaraz odjechał.

Już na to za późno, pomyślała, podchodząc do niego, kiedy wyjmował listy ze swojej skrytki.

– Dzień dobry, panie Fallowfield – powitała go z ciepłym uśmiechem.

Zaskoczony obrócił się w jej stronę.

– Kim pani jest?

– Jestem Alvira Meehan, a moja bliska przyjaciółka, młoda kobieta, bardzo chce odnaleźć swoją biologiczną matkę – zaczęła. – Proszę ze mną porozmawiać. Akuszerką była Cora Banks, a pan jako prawnik uczestniczył szesnaście lat temu w sprzedaży jej domu właścicielowi fabryki płytek ceramicznych.

– Jak pani do tego doszła? – Nie krył zdumienia.

– Jestem dobrym detektywem.

– Trudno zaprzeczyć.

– Czy pan wie, gdzie teraz jest Cora Banks?

Fallowfield rozejrzał się dokoła. Na pocztę było coraz więcej ludzi. Jedni czekali w kolejce z paczkami do wysłania, inni po znaczki.

– Tu nie można rozmawiać – mruknął. – Chodźmy do restauracji. Jest obok.

Zamknął swoją skrytkę i włożył kilka kopert do kieszeni kurtki.

– To jest mój mąż, Willy – powiedziała Alvira.

– W takim razie idzie z nami.

Pięć minut później wszyscy siedzieli w boksie pobliskiej restauracji i zamawiali kawę.

– Mówicie – zaczął Fallowfield – że dziecko, którego poród odebrała Cora, szuka swojej biologicznej matki.

– Tak, ona musi ją odnaleźć – potwierdziła Alvira żarliwie. – Nie wiem, czy Cora Banks prowadziła dokumentację, możemy się tylko modlić, by się okazało, że to robiła.

– Mogę wam zagwarantować, że Cora prowadziła kartotekę – odpowiedział rozbawiony Fallowfield.

Ta zaskakująca informacja dotarła do Alviry dopiero po dłuższej chwili.

– Prowadziła kartotekę? – powtórzyła.

– Cora jest bardzo bystrą kobietą. Takie informacje mają wielki potencjał.

– Pan wie, gdzie teraz przebywa Cora Banks?

– Tak, wiem. – Upił łyk kawy.

– Może mi pan dać jej adres?

– Oczywiście. Przebywa w więzieniu dla kobiet w Danbury, ale opuszcza je już jutro.

– Dokąd się uda?

– Tutaj, do mojego domu w Rowayton. Od wielu lat łączy nas bliska przyjaźń. Mogę wam zorganizować spotkanie.

Fallowfield sięgnął do kieszeni i wyjął minipada.

– Podajcie mi jakieś informacje o biologicznej matce, której szukacie, gdzie przeprowadzono adopcję, datę urodzenia i płeć dziecka.

Płeć dziecka, pomyślała Alvira. Czy to znaczy, że ona przyjmowała więcej niż jeden poród dziennie? Starła się nie okazać, jak bardzo zszokowały ją te pytania.

– Może pan zorganizować nam spotkanie z Corą, kiedy wróci do miasta? – upewniła się.

– Oczywiście – potwierdził Fallowfield. – Musicie jednak zdawać sobie sprawę z pewnych faktów. Cora przez dziesięć lat była w więzieniu. Kiedy wyjdzie, będzie miała mnóstwo wydatków. Musi zapłacić za ubezpieczenie zdrowotne, kupić ubrania i mieć pieniądze na życie. Nigdy już nie podejmie pracy jako akuszerka. Utraciła uprawnienia i ma dożywotni zakaz ponownego starania się o nie.

Willy wsłuchiwał się w rozmowę. Czyste wymuszenie, pomyślał. Widział jednak, że Alvira się tym nie przejęła.

– Ile? – rzucił.

Fallowfield popatrzył na niego uważnie.

– Jest pan człowiekiem, który potrafi mnie zrozumieć. – Pokiwał głową. – Zauważyłem, że jeździ pan bardzo drogim samochodem. Powiedziałbym, że pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką, wszystko w dwudziestodolarowych banknotach, wynagrodzi czas, jaki Cora spędzi na przeglądaniu dokumentacji. – Prawnik mówił obojętnym tonem, jakby rozmawiali o pogodzie.

– Dostaniecie pieniądze – zapewniła z naciskiem Alvirah.

– Wspaniale – wykrzyknął Fallowfield. – Oczywiście, wszyscy jesteśmy zgodni, że jest to poufna transakcja. Będziemy wiedzieć o niej tylko my i Cora.

– Ma się rozumieć – przyznała Alvirah.

Fallowfield popatrzył na Willy'ego.

– Zgoda – warknął Willy, wstając z krzesła.

Dziesięć minut później byli już w drodze do domu.

– Kochanie – odezwał się Willy – zastanawiam się, jak zdołamy zebrać pięćdziesiąt tysięcy dolarów bez wzbudzania podejrzeń.

– Nie ma sprawy – skwitowała Alvirah. – Czytałam, że jeśli się wpłaca lub wypłaca więcej niż dziesięć tysięcy dolarów, bank musi złożyć raport. A my po wygraniu na loterii mamy pieniądze w dziesięciu różnych bankach. Wyciągniemy z każdego po pięć tysięcy dolarów.

– Kochanie, my ostrożnie wydajemy pieniądze. Naprawdę chcesz dać taką sumę tym typkom?

– Nie chcę. Ale pragnę zdobyć dla Delaney tę informację. Kto wie? Może biologiczna matka również jej szuka? Mam nadzieję, że będę obecna przy ich spotkaniu – rozmarzyła się Alvirah z uśmiechem na twarzy.

Ostatnim świadkiem oskarżenia był doktor Mark Bevilacqua. Delaney słuchała, jak odpowiadał na pytania prokuratora dotyczące wykształcenia i praktyki lekarskiej. Zeznał, że ma sześćdziesiąt sześć lat, ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Harvarda, a przez ostatnie dwadzieścia lat zajmował się diagnozowaniem i leczeniem choroby Alzheimera. Na prośbę prokuratora sędzia uznał doktora Bevilacqua za eksperta.

Potem sędzia zwrócił się do przysięgłych i poinformował ich, że wyłącznie w ich gestii leży ocena zeznań eksperta.

Prokurator podsumował zeznania. Następnie doktor Bevilacqua opisał przysięgłym chorobę Alzheimera oraz jej wpływ na dotkniętych tą przypadłością.

– Doktorze Bevilacqua, w jakich okolicznościach poznał pan doktora Teda Granta?

– To było osiem i pół roku temu. Żona doktora Granta umówiła wizytę w naszej klinice. Zarówno ona, jak i pracujący z doktorem Grantem lekarze byli zaniepokojeni zmianami, jakie zachodziły w jego zachowaniu, i chcieli poznać ich przyczynę.

– Czy udało się panu postawić diagnozę?

– Tak, po przeprowadzeniu serii badań stwierdziłem u doktora Granta wczesnoobjawową postać alzheimera.

– Mógłby pan wyjaśnić, co to znaczy?

– W większości przypadków na chorobę Alzheimera zapadają pacjenci po sześćdziesiątym piątym roku życia. Tylko dziesięć procent chorych jest w młodszym wieku. Tych pacjentów określamy jako wczesnoobjawowych. Doktor Grant miał pięćdziesiąt jeden lat, kiedy zapadł na tę chorobę.

– Po postawieniu diagnozy zaczął pan leczyć doktora Granta?

– Tak, byłem jego lekarzem do czasu, kiedy zmarł półtora roku temu.

– Jak go pan leczył?

– Nie ma żadnej kuracji, która by powstrzymała postęp tej choroby. Zapisywałem tylko rozmaite leki łagodzące objawy choroby, w tym bezsenność, nadmierne podniecenie, bezmyślne łazikowanie, niepokój i depresję. Leczenie tych symptomów przynosi pacjentowi ulgę oraz ułatwia nad nim opiekę.

– Czy te terapie pomagały doktorowi Grantowi?

– Niewątpliwie, ale głównie w pierwszych latach choroby. Jednak w ostatnim czasie pomimo kuracji bardziej dotkliwie cierpiał na depresję, niepokój

i bezsenność.

– Doktorze Bevilacqua, chcę porozmawiać o poranku dwudziestego drugiego marca zeszłego roku, kiedy znaleziono doktora Granta martwego w jego łóżku. Leczył go pan wtedy przez prawie siedem lat.

– Tak.

– Jak się z panem skontaktowano tamtego ranka?

– Zadzwoił do mnie funkcjonariusz policji z Alpine i poinformował, że, jak się wydaje, doktor Grant zmarł we śnie.

– Jak pan na to zareagował?

– Byłem poniekąd zdziwiony.

– Co pan rozumie przez określenie „poniekąd zdziwiony”?

– Doktor Grant był na badaniach w mojej klinice cztery tygodnie przed tą datą. Choroba Alzheimera atakuje zarówno umysł, jak i ciało. Chociaż stan jego umysłu stale się pogarszał, niezbędne do życia narządy miał wtedy w stosunkowo dobrym stanie.

– Podpisując świadectwo zgonu, był pan przekonany, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych?

– Na podstawie uzyskanych wtedy informacji byłem o tym przekonany. Spróbuję to wyjaśnić. Medycyna nie jest nauką ścisłą. Często się zdarza, że badania nie wykazują u pacjentów żadnych zagrożeń, a ci pacjenci jeszcze tego samego dnia umierają na zawał lub udar. Nie ma w tym nic niezwykłego, kiedy pacjent cierpiący przez siedem lat na alzheimera nagle umiera, mimo że był we względnie dobrym stanie fizycznym.

– Doktorze Bevilacqua, dowody przedstawione na procesie wskazują, że śmierć doktora Granta nastąpiła wskutek silnego ciosu w tył głowy, a nie z przyczyn naturalnych. Zgodnie z pana wiedzą medyczną, gdyby doktor Grant nie doznał tego urazu, jak długo jeszcze mógłby żyć?

– Każdy przypadek alzheimera jest inny. Przeciętna oczekiwana długość życia po zdiagnozowaniu choroby to osiem do dziesięciu lat.

– Powiedział pan „przeciętna”. Czy występują tu duże różnice?

– Tak. Niektórzy pacjenci żyją tylko trzy lata, natomiast inni nawet dwadzieścia po zdiagnozowaniu choroby.

– Czy słuszne byłoby założenie, że doktor Grant mógłby jeszcze żyć przez przynajmniej siedem lat?

– Jak już mówiłem, każdy pacjent jest inny. Jednak biorąc pod uwagę stan zdrowia doktora Granta miesiąc przed jego śmiercią i troskliwą opiekę, jaką był otoczony, z dużym prawdopodobieństwem mogę założyć, że żyłby jeszcze kilka lat, może nawet pięć.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Robert Maynard wstał ze swojego miejsca.

– Doktorze Bevilacqua, zeznał pan, że był poniekąd zdziwiony, otrzymawszy dwudziestego drugiego marca zeszłego roku telefoniczne zawiadomienie o śmierci doktora Granta.

– Poniekąd zdziwiony, ale nie zszokowany.

– Zeznał pan także, że większość ofiar wczesnoobjawowego alzheimera przeciętnie nie żyje dłużej niż osiem do dziesięciu lat. Mam rację?

– Tak.

– Ile lat doktor Grant chorował na alzheimera?

– Leczyłem go siedem lat. A w momencie kiedy diagnozuję tę chorobę u pacjenta, przeważnie cierpi on na nią przynajmniej od roku.

– Rozumiem, że jeśli przeciętny pacjent chory na alzheimera żyje osiem do dziesięciu lat po zdiagnozowaniu choroby, to według wszelkiego prawdopodobieństwa w chwili śmierci doktor Grant był nią dotknięty przez przynajmniej osiem lat. Czy dobrze to rozumiem?

– Tak.

– Zeznał pan również, że mimo przepisywanych przez pana lekarstw i troskliwej opieki ze strony Betsy Grant i wynajętej do pomocy osoby w ostatnim roku jego życia drastycznie wzmożła się depresja, niepokój i bezsenność. Czy tak?

– Tak.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

– Wysoki Sądzie – prokurator Elliot Holmes wstał z miejsca. – Nie mam nic więcej do dodania.

Sędzia spojrział na Roberta Maynarda.

– Wysoki Sądzie – powiedział adwokat. – Prosimy o godzinę przerwy, by obrona mogła się przygotować.

– Zgadza się – oświadczył sędzia.

Kiedy Alvira i Willy po raz trzeci wyruszyli do Rowayton, Alvira nie potrafiła ukryć podniecenia.

– Och, Willy, aż trudno uwierzyć, że poznamy nazwisko matki Delaney, a może nawet i ojca. Mam nadzieję, że jej matka nie przeprowadziła się do Japonii albo do Chin.

– To bardzo mało prawdopodobne – odrzekł sucho.

Nie otrząsnął się jeszcze z wrażeń z poprzedniego dnia, kiedy biegał po dziesięciu bankach, dokonując wypłat. W każdym wygłaszał tę samą kwestię: „Mam nadzieję, że poszczęści mi się w kasynie w Atlantic City”. Stwierdził z ulgą, że kasjerzy tylko się uśmiechali, kiedy liczyli i paczkowali pieniądze.

Mieli spotkać się z Corą u Lesiego Fallowfielda przy Wilson Avenue o drugiej. Oboje byli zdziwieni, kiedy powiedział „u mnie w domu”. Zobaczył, jak wymieniają spojrzenia, i szybko dodał: „w domu, który wynajmuję”.

Alvira śledziła uważnie mapę nawigacyjną, która pokazywała, że od adresu podanego przez Fallowfielda dzieliło ich tylko półtora kilometra. Po kilku minutach mechaniczny głos poinformował ich: „Twój cel znajduje się sto pięćdziesiąt dwa metry na prawo”. Po kilku sekundach usłyszeli: „Jesteś u celu”.

Znajdowali się przed domem w stylu rancza, jakie budowano w latach czterdziestych dwudziestego wieku. Na małym trawniku rosło kilka rzadkich krzewów.

– Przygnębiające – mruknął Willy, wyłączając silnik.

Automatycznie otworzył klapę bagażnika, wysiadł z samochodu i wyjął starą walizkę. Było w niej pięćdziesiąt tysięcy dolarów w pięćdziesięciu paczkach.

Po chwili wysiadła Alvira i poszli kamiennym chodnikiem do frontowych drzwi.

Fallowfield musiał ich obserwować, bo drzwi się otworzyły, zanim Willy dotknął dzwonka.

– W samą porę – odezwał się gospodarz, jakby witał starych przyjaciół. Alvira zauważyła, że od razu rzucił okiem na walizkę, którą niósł Willy.

Zaprowadził ich do małego saloniku.

– Usiądźcie, a ja pójdę po Corę – powiedział.

Kiedy usiedli na krzesłach, Alvira zrzuciła z ramion lekki płaszcz. Na wycieczkę statkiem, zakończoną na początku września, kupiła sobie nowy zestaw ubrań. Właśnie w tym płaszczu zeszła po kolacji ze statku i poszła z mężem na przechadzkę. Przez chwilę odczuwała radość, jaką sprawił jej rejs, ale szybko wróciła do teraźniejszości.

Niebawem zjawił się Fallowfield.

– Zanim Cora zejdzie, chce przeliczyć pieniądze. Wezmę je na górę...

– Przeliczycie pieniądze tutaj – zażądał Willy, kładąc walizkę na szklany blat stolika, przy którym siedział z żoną. Fallowfield chciał protestować, ale zmienił zdanie, kiedy wieko walizki odskoczyło i zobaczył równe rzędy banknotów dwudziestodolarowych.

– Zaraz wracam – oznajmił.

Alvirah rozejrzała się dokoła. Pokój robił miłe wrażenie. Na przeciwległych końcach stały dwie kanapy, a po obu stronach kominka dwa fotele z obiciem w niebiesko-bordowe paski. Podłogę zaścierał kolorowy dywan. Co mnie obchodzi wygląd tego pokoju?, pomyślała, zirytowana teraz długoletnim nawykiem dokładnej obserwacji otoczenia.

Alvirah i Willy wyprostowali się na krzesłach, słysząc kroki na schodach. Po chwili do pokoju weszli Leslie Fallowfield i Cora.

Po latach spędzonych w więzieniu kobieta wyglądała mizernie. Miała na sobie spodnie i sweter, rzeczy na nią zbyt luźne. Matowe brązowe włosy były gęsto przetykane siwizną. Mogła mieć około siedemdziesięciu lat. Ledwie rzuciła okiem na gości. Jej wzrok przykuły pieniądze, które Willy rozłożył na stoliku. Fallowfield przystawił jeszcze dwa krzesła, dla siebie i Cory.

– Ufam wam – oświadczyła z uśmiechem była akuszerka, odsłaniając zepsute zęby – ale oczywiście musimy wszystko przeliczyć.

– Nie ma problemu – stwierdził Willy. – Ale wszystkie pieniądze mają leżeć na stole.

Willy i Alvirah obserwowali ich bacznie. Przypominają mi dzieci liczące cukierki podczas Halloween, pomyślała Alvirah. Postanowiła podzielić się tą myślą z mężem w drodze do domu.

Cora i Fallowfield wybrali przypadkowe cztery paczki, zerwali banderole i przeliczali pięćdziesiąt dwudziestodolarówek, banknot po banknocie, z każdej paczki. Zadowoleni, że w każdej było tysiąc dolarów, zajęli się pozostałymi paczkami, zrećnie rozdzielając od góry banknoty jak przy tasowaniu kart, by się upewnić, że wszystkie były dwudziestodolarówkami. Postawili je przy przeliczonych już paczkach i porównali ich wysokość. Stwierdzili, że są identyczne.

– Miło robić interesy z uczciwymi ludźmi – powiedziała z uśmiechem Cora.

– Już macie pieniądze – ucieła Alvirah, która nie miała ochoty na rozmowy.

– Teraz dajcie nam nazwisko biologicznej matki Delaney.

Cora wyjęła z kieszeni kartkę papieru.

– Matka miała siedemnaście lat. Pochodziła z Hawthorne w New Jersey. Dane jej rodziców: Martin i Rose Ryanowie. Dziecko urodziło się szesnastego marca przy Oak Street w Filadelfii. Siedemnastoletnia matka miała na imię Betsy.

Noworodek został zarejestrowany jako rodzone dziecko Jennifer i Jamesa Wrightów z Long Island, stan Nowy Jork. Dali jej imię Delaney.

Robert Maynard powołał sześciu „świadków moralności”, którzy mieli potwierdzić reputację Betsy Grant. Byli to dwaj nauczyciele z Pascack Valley High School, dwie osoby z sąsiedztwa, dyrektor hospicjum, gdzie Betsy przed chorobą męża przepracowała setki godzin jako wolontariuszka, oraz wielebny Thomas Quinn, pastor kościoła St. Francis Xavier, dokąd chodziła na niedzielne nabożeństwa.

Wszyscy zeznali, że znają Betsy Grant od wielu lat i że zawsze była niesłychanie oddana mężowi. Szczególnie przekonujące okazały się zeznania pastora.

– Jak często bywał ksiądz w domu Grantów? – spytał Maynard.

– W ostatnich latach, kiedy doktor Grant z powodu choroby nie mógł chodzić do kościoła, co dwa tygodnie przychodziłem do ich domu, by przynieść mu komunię. Betsy zawsze tam była i opiekowała się nim.

– Jak ksiądz ocenia jego stan w ostatnim roku życia?

– Widziałem, że choroba zbiera swoje żniwo. Ten biedny człowiek był już bardzo chory.

– Czy Betsy Grant kiedykolwiek wspominała księdzu o chęci umieszczenia go w domu opieki?

– Tak, mówiła o tym dwukrotnie w zeszłym roku. Powiedziała mi, że wybuchnął gniewem i uderzył ją. Bardzo chciała zatrzymać go w domu aż do końca, lecz jeśli jego zachowanie nadal by się pogarszało, brała pod uwagę dom opieki, ale tylko w ostateczności. Wiedziała, że byłby zdruzgotany, nie mogąc być z nią we własnym domu.

– Proszę księdza, chodzi mi o reputację Betsy Grant w lokalnej społeczności. Czy uważana jest za osobę prawdomówną?

Na to pytanie pastor odpowiedział podobnie jak inni świadkowie.

– Każdy, kto zna Betsy Grant, wie, że jest osobą w pełni godną zaufania.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań – skwitował Maynard.

Elliot Holmes był bardzo doświadczonego prokuratorem. Wiedział, że nic nie zyska, atakując tego świadka. Uważnie formułował pytania i zadawał je z szacunkiem.

– Proszę księdza, zeznał ksiądz, że w ostatnich latach życia doktora odwiedzał dom państwa Grantów co parę tygodni. Mam rację?

– Tak.

– Ile czasu spędzał tam ksiądz podczas odwiedzin?

– Przeważnie około pół godziny.

– Czy słuszne byłoby domniemanie, że ksiądz nie wiedział, co dzieje się w domu w czasie pomiędzy wizytami księdza?

– Tak, jest jak najbardziej słuszne.

– Nie było księdza na przyjęciu urodzinowym w wieczór poprzedzający śmierć doktora Granta, prawda?

– Rzeczywiście, nie uczestniczyłem w nim.

– Zatem ksiądz nie ma żadnej wiedzy na temat wydarzeń tamtego wieczoru ani okoliczności śmierci doktora Granta?

– Nie, poza tym, co czytałem w gazetach.

– Dziękuję księdzu, nie mam więcej pytań.

Było już blisko do przerwy na lunch. Sędzia Roth polecił przysięgłym, by udali się do sali obrad, a on niedługo do nich dołączy.

– Panie Maynard – sędzia zwrócił się do obrońcy – czy oskarżona chce zeznawać?

– Bezwzględnie tak.

Sędzia Roth zwrócił się wtedy do Betsy Grant.

– Pani Grant, czy pani wie, że ma zagwarantowane konstytucją prawo do zeznawania lub też odmowy zeznań w swojej sprawie?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, że jeśli zdecyduje się zeznawać, będzie pani musiała odpowiadać na pytania obu stron, a przysięgli przy wydawaniu wyroku będą rozpatrywać pani zeznania na tle całego materiału dowodowego?

– Tak.

– Czy pani wie, że jeśli nie będzie pani zeznawać, pouczę przysięgłych, że decyzja odmowy zeznań nie może być pod żadnym pozorem brana pod uwagę przy wydawaniu werdyktu?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Jeszcze jedna sprawa. Czy miała pani dość czasu na przedyskutowanie tej decyzji ze swoim adwokatem, panem Maynardem?

– Tak, miałam.

– W takim razie, panie Maynard, wysłuchamy zeznań pani Grant po przerwie na lunch.

– Wysoki Sądzie – wtrącił Maynard – dziś jest czwartek i zaraz będzie przerwa na lunch, a jutro nie będzie nas na sali sądowej. Zeznania pani Grant niewątpliwie przeciągną się do poniedziałku. Proszę Wysoki Sąd o danie nam czasu do poniedziałku na to ważne zeznanie.

Zirytowany Elliot Holmes złożył sprzeciw, choć wiedział, że sędzia prawdopodobnie przychyli się do prośby.

– Znaleźliśmy się na bardzo ważnym etapie procesu – stwierdził sędzia Roth.

– Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy zaczęli nawet dzisiaj po południu, świadek

zeczynawałyby pewnie przez cały poniedziałek, a może nawet i we wtorek. Przychyłam się do prośby obrońcy.

Potem sędzia zwrócił się do umundurowanego funkcjonariusza stojącego przy drzwiach, za którymi zniknęli przysięgli.

– Proszę przyprowadzić przysięgłych. Powiadomię ich o zaistniałej sytuacji.

Lisa Clifton rozpoczęła przegląd mebli, bibelotów, pudeł i dywanów, wszystkiego, co przywiozła, wprowadzając się do domu Scotta.

– Ponieważ kupujemy nowy dom, będę te rzeczy trzymać tymczasem oddzielnie – zapowiedziała przed trzema laty Scottowi, kiedy planowali ślub. – Mój dziadek przenosi się do domu opieki i chce, żebym zabrała z jego domu to, co chciałabym później mieć. Był kolekcjonerem i ma wiele ładnych przedmiotów.

Scott chętnie przystał na takie rozwiązanie.

– Moja eks, Karen, w roku naszego rozstania wpadła w szał zakupów. Jestem przekonany, iż wiedziała, że z nami już koniec, i chciała zostawić mnie z tym nowoczesnym wystrojem. W tym domu nie ma jednego wygodnego krzesła.

Oboje się wtedy roześmiali. To były czasy, kiedy wierzyłam, że będziemy żyć długo i szczęśliwie, pomyślała Lisa. Byliśmy szczęśliwi przez rok, może trochę dłużej. Potem wszystko się zmieniło. On się zmienił. Teraz kupię tylko meble do pokoju dziennego i do sypialni, poza tym, kiedy się wyprowadzę, nie będę musiała o nic więcej się martwić.

Zrobiła listę wszystkich znajdujących się na strychu przedmiotów, potem zeszła na dół i zadzwoniła do firmy zajmującej się przeprowadzkami. Mogli przyjechać najwcześniej za tydzień.

– Nie ma sprawy – powiedziała – ale zależy mi na godzinie. Proszę być około dziesiątej. Będę szukać mieszkania w okolicach Morristown. Jeśli go od razu nie znajdę, chciałabym wszystko zostawić w waszym magazynie.

– To da się załatwić.

Nie mogła wiedzieć, że kiedy pracownik firmy zakończył rozmowę, natychmiast sobie pomyślał: kolejne paskudne rozstanie. Ciekawe, czy będą walczyć o rzeczy, które ona zagarnia. Tak czy inaczej, rozstania są dobre dla firmy!

Scott wrócił do domu o wpół do szóstej. Obdarzył ją ciepłym pocałunkiem i mocnym uściskiem.

– Jak się ma moja mała dziewczynka? – zagadnął.

Jego mała dziewczynka, pomyślała Lisa. No nie, nie jestem niczyją małą dziewczynką, a tym bardziej twoją.

– Dobrze – odparła z wymuszonym uśmiechem. Chyba nie wychwyił sarkazmu w jej głosie.

Jak zwykle, zdjął marynarkę i wyjął ze stojącej w holu szafy sweter.

– Jaki koktajl mam przygotować dla pani tego domu? – zawołał.

Mój Boże, ile jeszcze frazesów ma dzisiaj w zapasie?, zastanawiała się Lisa. Stwierdziła ze smutkiem, że zamiast dawnej miłości do męża odczuwa jedynie ból

i pogardę.

– Tylko kieliszek wina – powiedziała. – Możemy się napić, oglądając wiadomości o szóstej. Jestem bardzo ciekawa, co Delaney Wright powie o wydarzeniach na sali sądowej.

– Nie chcę tego słuchać. – Scott zmarszczył brwi.

– To może w tym czasie posiedzisz w salonie – zaproponowała.

Zauważyła wyraz zdziwienia na twarzy męża. Bądź ostrożna, pomyślała. On nie może podejrzewać, że chcesz go opuścić. Zdobyła się na uśmiech.

– Och, Scott, tak mi przykro. Nie chciałam być opryskliwa. Żał mi Betsy i wciąż mam nadzieję, że coś się wydarzy i zostanie oczyszczona z zarzutów. Nie rozumiem, jak można przypuszczać, że zabiła Teda. Co prawda, poznałam ich, kiedy Ted był już bardzo chory, ale traktowała go tak czule, z miłością. Nawet kiedy ją uderzył, nie była na niego zła, tylko smutna.

– Niektórzy widzą to inaczej – warknął Scott i poszedł na górę, zapominając o koktajlach.

Lisa uważnie słuchała wiadomości. Odniosła wrażenie, że Delaney Wright stara się być obiektywna, ale kiedy relacjonowała niekorzystne dla Betsy zeznania lekarza, który stwierdził, że doktor Grant mógłby żyć jeszcze pięć lat, robiła to nieomal niechętnie. Delaney Wright nie może tego okazywać, ale jestem przekonana, myślała Lisa, że bez względu na to, co może obciążać Betsy, ona jest przekonana, że ta kobieta nie mogłaby zabić i nie zabiła Teda. Delaney wydawała się poruszona zeznaniami „świadków moralności”, którzy z pełnym przekonaniem twierdzili, że to osoba o nieposzlakowanej opinii i godna zaufania.

Program zakończył się o szóstej trzydzieści i wtedy Scott zszedł na dół.

– Przepraszam, że byłem taki marudny, ale sama wiesz, jak trudno mi jest słuchać nowych opowieści o biednym Tedzie.

– Tak, wiem.

– A więc nie ma sprawy. Zrobiłaś rezerwację w klubie, prawda?

– Tak, na siódmą.

– Ale przyjedźmy tam trochę wcześniej i weźmy dwa samochody. Muszę jeszcze wstąpić do szpitala i odwiedzić kilku pacjentów.

Albo jednego pacjenta w twoim miłosnym gniazdku, pomyślała Lisa.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziała z uśmiechem.

Betsy Grant wyszła z sali sądowej. Towarzyszył jej Robert Maynard. Usiłowała stawić czoło informacji, że Ted mógłby żyć jeszcze kilka lat. Wiedziała, że to zeznanie było katastrofalne dla niej. Mogła mieć tylko nadzieję, że pomogli jej „świadkowie moralności”.

Odwróciła się od wycelowanych w nią kamer i podbiegła do samochodu. Prawie od początku jej kierowcą był Richie Johnson. Rano przywoził ją do sądu, a potem odwoził do domu. Betsy powiedziała Robertowi Maynardowi, że nie ma sensu, by jeździł z Manhattanu do Alpine i z powrotem do Hackensack.

Maynard, Singh i Carl czekali na nią co rano na chodniku i odprowadzali do sali sądowej. Betsy nie powiedziała mu jednak, że chciałyby zachować jasny umysł i że męczące są jego bezustanne zapewnienia, iż wszystko będzie dobrze.

Dzisiaj wieczorem, jak zwykle, wymówiła się od zaproszeń na kolację i próśb przyjaciół, by wpadła choćby na chwilę.

– Potrzebuję ciszy – mówiła przeprasząco. – W głowie mi huczy.

Wszyscy to rozumieli, a Betsy wiedziała, że bardzo się o nią martwią.

Ja też się martwię o siebie, pomyślała z rozpaczą. Wiedziała, że Richie zerkał czasem we wsteczne lustro, by sprawdzić, jak ona się czuje, ale bez zachęty z jej strony nie rozpoczął rozmowy.

Kiedy przyjechała do domu, okazało się, że Carmen szykuje kolację. Żadne perswazje nie mogły przekonać jej, by nie pojawiała się w rezydencji codziennie, od poniedziałku do piątku. Od przychodzenia w soboty i niedziele powstrzymywała ją jedynie obietnica Betsy, że weekend spędzi z przyjaciółmi.

Kiedy żył Ted, Carmen wcześniej robiła dla niego kolację. Podawała ją Angela, a ja z nim siedziałam, wspominała Betsy. Po kolacji zwykle kładł się do łóżka. Wtedy mogła iść na siłownię albo do kina, albo zjeść ze znajomymi kolację w klubie.

Albo z Peterem. Ale te kolacje urządzali najwyżej dwa razy w miesiącu.

– Pani Betsy, proszę się odprężyć. W saloniku będzie czekał na panią kieliszek wina.

Carmen mówiła to co wieczór, ale ta kwestia podnosiła Betsy na duchu. Ktoś się mną opiekuje, pomyślała. A ja nie mogę rozmawiać z Peterem. Po gorączkowej rozmowie telefonicznej, jaką odbyli w dniu jego zeznań, błagała, żeby nie dzwonił przed zakończeniem procesu.

Uprzedziła, że ma telefon na podsłuchu i on zapewne też.

Było jej chłodno. Zdjęła żakiet, ale tym razem nie włożyła koszuli z długim rękawem, tylko ciepły szlafrok sięgający kolan. Starła się nie myśleć

o przerażającym dniu, kiedy sama będzie zeznawać. I to już w przyszłym tygodniu.

Carmen przygotowała dla niej wszystko w saloniku. Zapaliła światła, podkręciła termostat, postawiła na stoliku kieliszek wina.

Była szósta i rozpoczęły się wiadomości. Betsy trudno się było skoncentrować na miejscowych wydarzeniach, wypadku drogowym na moście Verrazano-Narrows, napadzie w Central Parku, oszustwach właściciela mieszkania.

Potem na ekranie pojawiła się Delaney Wright. Z zamierającym sercem Betsy ponownie wysłuchała tego, co powiedział doktor Bevilacqua, że Ted mógłby żyć jeszcze kilka lat, a może nawet dłużej.

Zostanę skazana za zabicie Teda, pomyślała. To nie może się zdarzyć. Po prostu nie może. Czy wszyscy o mnie zapomną, kiedy będę odsiadywać dożywocie? A może po dwudziestu latach Stowarzyszenie Walki z Omyłkami Sądowymi wykaże, że tego nie zrobiłam, i wtedy wypuszczą mnie i przeproszą? Dwadzieścia lat. A ja będę miała wtedy sześćdziesiąt trzy.

Po wiadomościach wyłączyła telewizor. Twarz młodej dziennikarki wciąż stała jej przed oczami. Kiedy Delaney streszczała zeznanie doktora Bevilacqua, zdawała się przygnębiona.

Gospościa zawołała ją na kolację. Przygotowała kotlet jagnięcy z warzywami. Betsy zmuszała się do jedzenia. Nie mogę zemdleć na sali sądowej, powtarzała sobie. Tym bardziej wyglądałabym na winną.

Przyszła Carmen, by nalać jej kawy, i zaczęła mówić o zaginionej bransoletce.

– Pani Betsy, przeszukałyśmy już cały dom. Nigdzie jej nie ma. Czy nie powinna pani jednak zgłosić zaginięcia biżuterii? Kiedy wyjmowałam pocztę, zauważyłam rachunek od pani ubezpieczyciela. Bransoletka jest chyba nadal ubezpieczona.

– Tak, jest. Dziękuję ci, Carmen. Zajmę się tym. Głupio jest płacić za ubezpieczenie biżuterii i nie skorzystać z niego, kiedy wiadomo, że nigdy nie zostanie odnaleziona.

Od początku procesu nie interesowałam się pocztą, przypomniała sobie Betsy. Nie mogę już dłużej ignorować tego, co się dzieje. Została jej jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Przed laty, kiedy Ted, Kent i Scott rozpoczęli wspólną praktykę, każdy z nich kupił sobie zestaw książek medycznych. Kiedy Kent otwierał i odnawiał własną klinikę, oddał swoje książki oraz trochę innych rzeczy na przechowanie do magazynu. Tam wybuchł pożar i jego książki doszczętnie się spaliły.

Nigdy jej o to nie prosił, ale Betsy wiedziała, że byłby szczęśliwy, gdyby dostał oryginalny zestaw książek, które należały do Teda. Pijąc kawę, pomyślała, że Kent i jego żona Sarah okazali się wypróbowanymi przyjaciółmi w tych ciężkich czasach. Zeznając w sądzie, podkreślali, jak troskliwie opiekowała się

mężem i ile czułości mu okazywała.

Miała jeszcze inną motywację. W swoich najgorszych stanach Ted wyciągał te książki z półek i rozrzucał je po pokoju. Chciała wymazać te wspomnienia, a oddając książki Kentowi, uczyni pierwszy krok w tym kierunku.

– Carmen – odezwała się Betsy, kiedy gosposia przyszła powiedzieć jej dobranoc – wiesz, że medyczne książki leżą na dwóch górnych półkach w bibliotece?

– Tak.

– Po zakończeniu procesu, proszę, spakuj je. Wyślemy je do kliniki doktora Adamsa.

– Oczywiście.

Po wyjściu Carmen Betsy pomyślała o Alanie – może chciałby mieć książki ojca. Odrzuciła jednak tę myśl. Pewnie by je wyrzucił albo starał się sprzedać. To wciąż jest mój dom. Wszystko w nim należy do mnie. Mogę te rzeczy zatrzymać albo oddać.

Jeśli uznają, że jestem winna, czy Alan weźmie wszystko, co mam? Poczowała się nagle bardzo samotna. Nie mogła zadzwonić do Petera. Już dobrały się do niego media. Na trzeciej stronie „Post” widniał nagłówek: ZNÓW PŁONIE STARA MIŁOŚĆ ŻONY ZMARŁEGO DOKTORA!

Była dopiero za piętnaście ósma, ale Betsy postanowiła pójść na górę. Nie jestem jeszcze śpiąca, myślała, ale włożę piżamę i może coś poczytam w pokoju dziennym. W pokoju, gdzie spędziła z Tedem tak wiele spokojnych, szczęśliwych godzin.

Ledwie zdążyła usiąść, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się ojciec. Ostatnia rzecz, jakiej dzisiaj potrzebuję, to jego słowa pociechy. Westchnęła.

– Cześć, tato – powitała go obojętnym tonem.

– Bets, nie najlepiej poszło ci dzisiaj w sądzie. To twierdzenie lekarza, że on mógłby żyć jeszcze kilka lat, nie było dla ciebie korzystne.

– Wiem, że nie było.

– Gert uważa, że powinienem być przy tobie i cię wspierać. Mówi, że wnuki są już na tyle duże, by rozumieć, że takie rzeczy się zdarzają, poza tym nie jesteś ich prawdziwą krewną.

Nie wierzyła własnym uszom. Nie mogła w to uwierzyć. Zaczęła uważnie dobierać słowa.

– Wciąż cię proszę, żebyś nie nazywał mnie Bets. Nie chcę, żebyś pojawił się w sądzie, ale podziękuj swojej ukochanej żonie za tę sugestię. Jediną osobą, która mogłaby dać mi wsparcie, byłaby tak zwana prawdziwa krewna, to dziecko, które sprzedałeś za czterdzieści tysięcy dolarów. Ona ma teraz dwadzieścia sześć lat i marzyłabym, żeby mogła być blisko mnie. Proszę, nie dzwoń do mnie więcej.

Rzuciła telefon i zamknęła oczy, zanim ojciec zdążył coś odpowiedzieć. Ogarnęła ją szalona tęsknota za córką, której nigdy nie poznała. Odżyły wspomnienia chwili, gdy akuszerka pozwoliła jej potrzywać noworodka.

Kiedy opadły emocje, Betsy poczuła się potwornie zmęczona. Zgasła światło i weszła do sypialni.

W procesie Betsy Grant sędzia wydał nakaz sekwestracji świadków. Znaczyło to, że zanim sami zaczną zeznawać, nie wolno im rozmawiać o procesie z innymi świadkami ani słuchać ich zeznań na sali sądowej. Ponadto mieli zakaz czytania w prasie sprawozdań z procesu i śledzenia go w innych środkach masowego przekazu.

Alan Grant łamał te wszystkie zakazy z wyjątkiem pojawiania się na sali sądowej. Czytał wszelkie artykuły prasowe i co wieczór przerzucał kanały telewizyjne, szukając sprawozdań z procesu. Rozmawiał też z innymi świadkami.

Doszedł już do takiego stanu, że bał się czytać swoją pocztę elektroniczną i SMS-y. Odkąd nagłośniono informację, że otrzymał wypłaty z majątku ojca, oraz podano do wiadomości, jaki spadek dostanie po skazaniu Betsy, żył pod stałą presją. Wszyscy domagali się zwrotu pieniędzy, natychmiast. Co prawda udało mu się uspokoić większość wierzycieli, obiecując im, że kiedy tylko Betsy zostanie skazana, on wystąpi do sądu o odblokowanie majątku i szybko dostanie spadek. Obiecał też każdemu rekompensatę – premię w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Wszyscy zgodzili się na ten układ poza jedną osobą, która nie uwierzyła, że Alan nie mógł teraz spłacić długu, i ostrzegła go, by miał się na baczności.

Mało spał, a w jego snach pojawiał się stale jeden obraz – jego ukochanemu ojcu został zadany śmiertelny cios w tył głowy tłuczkiem od młotki.

W poniedziałek rano Betsy Grant miała wystąpić jako ostatni świadek obrony. Przed salą sądową ustawili się w kolejce widzowie, oczekujący na wejście. Alvira i Willy byli pierwsi. Długo zastanawiali się, czy powiedzieć Delaney, że Betsy jest jej matką, i postanowili poczekać do chwili wydania wyroku. Wiedzieli, jak wielkim przeżyciem będzie dla niej ta wiadomość, byli też świadomi, że kiedy się dowie, musi zrezygnować z relacjonowania procesu. Ich miejsca w ławach dla widzów znajdowały się tuż za ławą prasową, gdzie siedziała Delaney.

Poprzedniego wieczoru wybuchła sensacja. Jakaś kobieta z Milwaukee umieściła na swoim profilu na Facebooku zdjęcie dziewczyny w zaawansowanej ciąży, trzymającej w ręce wieszak z sukienką. Umieściła też podpis: „Omam nie zemdlalam, kiedy zorientowalam się, że Betsy Grant to Betsy Ryan, która dwadzieścia sześć lat temu pracowała w butiku swojej ciotki w Milwaukee. Znalam jej ciotkę jeszcze z liceum i kilka razy spotkałam tam Betsy. Była bardzo miłą dziewczyną. Zrobiłam to zdjęcie, kiedy pomagała mi wybrać sukienkę na ślub mojej siostry. Ona nie mogła zabić swojego męża. Nie skrzywdziłaby nawet muchy”.

Na początku rozprawy przysięgli pozostali w pokoju debat.

– Wysoki Sądzie – prokurator Elliot Holmes wstał z miejsca – wszyscy wiemy o wpisie na Facebooku umieszczonym o godzinie dziesiątej wczorajszego wieczoru, który został obszernie skomentowany godzinę później w wiadomościach o jedenastej, a także dzisiaj w porannych gazetach. Uważam, że w związku z tym mamy dwie kwestie do rozpatrzenia.

– Po pierwsze, przedkładamy sądowi wniosek, że ta fotografia jest bardzo istotnym dowodem. Prosimy Wysoki Sąd o uwzględnienie zeznań Petera Bensona, który mówił, że w latach szkolnych spotykał się z Betsy Ryan. Wkrótce po ukończeniu liceum jej rodzice głośno ogłosili wszem wobec, że jest zbyt młoda, by wyjechać do college’u z dala od domu i że spędzi ten rok w Milwaukee, pracując w butiku swojej ciotki. Pan Benson zeznał, że wtedy stracił z nią kontakt.

– Wysoki Sądzie, jest oczywiste, że prawdziwym powodem, dla którego nie pojechała do college’u, była jej ciąża, a wyjazd do Milwaukee miał ukryć ten fakt. Jeśli oskarżona urodziła dziecko, to przypuszczam, że zostało ono oddane do adopcji.

– Wysoki Sądzie, w innej sytuacji ciąża oskarżonej dwadzieścia sześć lat temu nie byłaby istotna dla sprawy. Przedkładamy jednak prośbę o możliwość spytania oskarżonej w trakcie jej zeznań, czy Peter Benson jest ojcem dziecka. Jak dowodziłem we wstępnym oświadczeniu i powtórzę to w mowie końcowej, stan

New Jersey utrzymuje, że głównym motywem zabójstwa męża była chęć oskarżonej rozpoczęcia nowego życia z Peterem Bensonem. Jeśli rzeczywiście on jest ojcem jej dziecka, byłby to istotny dowód na głęboką więź łączącą pana Bensaona z oskarżoną.

– Wreszcie, w odniesieniu do pierwszej kwestii, jeśli oskarżona zmieni swoje postanowienie i odmówi składania zeznań, oskarżenie będzie chciało powtórnie wezwać Petera Bensaona, by go skonfrontować z nowymi informacjami.

– Wysoki Sądzie – mówił dalej – jeśli chodzi o drugą kwestię, mimo że dążymy do dopuszczenia tego dowodu, uważamy, iż byłoby słuszne, żeby przepytac każdego przysięgłego, czy widział tę informację i czy zwrot „nie skrzywdziłaby nawet muchy” mógłby zaważyć na jego decyzji w tej sprawie.

– Jaki jest stosunek obrony do tych kwestii? – Sędzia zwrócił się do Roberta Maynarda.

– Wysoki Sądzie, rozmawiałem z Betsy Grant na temat wpisu na Facebooku. Dowiedzieliśmy się o nim, podobnie jak większość osób, późnym wieczorem z wiadomości telewizyjnych. Stanowczo się sprzeciwiam, by ten spóźniony dowód został przedstawiony przysięgłym.

Delaney słuchała krótkiego i mało przekonującego wystąpienia Maynarda. Zdziwiło ją, że nie powiedział, czy Betsy Grant przyzna, czy też zaprzeczy, że ojcem dziecka jest Peter Benson. Odniosła wrażenie, że adwokat sam uważa sprawę za przegraną i że przysięgli zapoznają się z tym materiałem. Spojrzała na oskarżoną, która patrzyła przed siebie, nie okazując żadnych emocji.

Miała dzisiaj na sobie biało-niebieski tweedowy żakiet, granatową spódnicę i czarne pantofle na obcasie. Z biżuterii wybrała pojedynczy naszyjnik z pereł i małe kolczyki z perłami. Miała też swoją szeroką obrączkę i zegarek na wąskim srebrnym pasku. Podczas całego procesu nosiła włosy ściągnięte do tyłu, ale dzisiaj, może za radą Maynarda, spadały jej swobodnie na ramiona. Wyglądała bardzo młodo, nie więcej niż na trzydzieści lat, i wyjątkowo pięknie.

O czym ona myśli?, zastanawiała się Delaney. Jeśli się okaże, że Peter Benson jest ojcem jej dziecka, będzie to dowodem na łączącą ich silną więź, tak jak twierdził prokurator. Co może ją pograć w opinii przysięgłych.

– Jest to niewątpliwie spóźniony dowód – zwrócił się sędzia Roth do obrony – ale potencjalnie bardzo istotny. Nie wchodzi w grę fakt, że prokurator wcześniej znał dowody i nie podzielił się swoją wiedzą z obroną. Gdyby tak było, niewątpliwie nie pozwoliłbym ich wykorzystać. Jednak wpis na Facebooku ukazał się wczoraj późnym wieczorem. Będę pytał każdego przysięgłego, czy zna tę informację i czy może ją bezstronnie osądzić i wydać werdykt, nie zważając na wpis pod zdjęciem.

Następne półtorej godziny sędzia Roth spędził na wzywaniu przysięgłych pojedynczo do swojego biura. Każdy widział wpis na Facebooku albo o nim

słyszał. Również każdy z nich zapewnił sędziego, że sprawiedliwie oceni dowody i że ów wpis nie będzie miał na to wpływu.

Sędzia uznał, że nie wykluczy żadnego z przysięgłych, a jeśli Betsy Grant będzie zeznawać, ta informacja także może być wykorzystana. Natomiast gdyby nie chciała zeznawać, prokurator będzie mógł ponownie wezwać Petera Bensona.

– Wysoki Sądzie – Maynard zerwał się z krzesła – Betsy Grant będzie zeznawać.

Sędzia Roth kazał wprowadzić przysięgłych na salę sądową. Kiedy zasiedli w swoich ławach, Robert Maynard ponownie zwrócił się do sędziego.

– Wysoki Sądzie, obrona wzywa Betsy Grant.

Wszyscy na sali patrzyli na kobietę, która wstała z krzesła i stanęła przed ławą przysięgłych. Sędzia kazał jej podnieść prawą rękę i powtarzać słowa przysięgi: „Przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę”.

Betsy wygłosiła tę formułę spokojnym i pewnym głosem. Potem podeszła do miejsca dla świadka i usiadła na krześle. Woźny sądowy poprawił ustawienie mikrofonu. Robert Maynard mówił o jej małżeństwie z Edwardem Grantem, zajął się też szczegółami długotrwałej choroby doktora, podkreślając troskliwą opiekę żony nad mężem. Potem skupił się na kwestiach, które, jak wiedział, mogą mieć wpływ na werdykt ławy przysięgłych. Podczas przesłuchania zwracał się do niej zawsze „pani Grant”.

– Pani Grant, czy w wieczór poprzedzający śmierć pani męża doktor Grant miał podczas kolacji wybuch wściekłości i mocno uderzył panią w twarz?

– Tak.

– Czy wtedy padła pani z płaczem na krzesło?

– Tak.

– Czy kilkakrotnie powiedziała pani: „Już dłużej tego nie zniosę”?

– Tak.

– Proszę wyjaśnić przysięgłym, co pani miała na myśli.

Betsy obróciła się na krześle w stronę ławy przysięgłych.

– Przez przeszło siedem lat choroby męża robiłam wszystko, co w mojej mocy, by dobrze się nim opiekować. Bardzo go kochałam. Na dwa lata przed jego śmiercią wzięłam urlop ze szkoły oraz zrezygnowałam z pracy wolontariuszki, by móc zostać w domu i stale być do jego dyspozycji. Jednak w ostatnim roku swojego życia kilkakrotnie mnie zaatakował oraz obrzucał obelgami.

Głos się jej załamał, napiła się wody.

– Wówczas mój lekarz, widząc, jak wpływa na mnie ta sytuacja, poradził, żebym oddała Teda do domu opieki. Przedtem opierałam się takim sugestiom, ponieważ wiedziałam, że to nasili depresję i niepokój męża. Ale kiedy uderzył mnie tamtego wieczoru, wiedziałam, że już dłużej tego nie zniosę. Zrozumiałam, że trzeba podjąć decyzję.

- Jaka to była decyzja?
- Wiedziałam, że nadszedł czas, by zrobić to, czego nigdy nie chciałam. Postanowiłam oddać go do domu opieki.
- Pani Grant, czy tamtego wieczoru, przed położeniem się spać, włączyła pani alarm?
- Byłam tak wyprowadzona z równowagi, że w ogóle tego nie pamiętam. Nie mogłam sprawdzić, bo stary system alarmowy nie rejestruje, kiedy był włączony i wyłączony.
- Zwykle alarm jest włączony na noc?
- Tak, robi to Angela albo ja.
- Pani Grant, czy po wyjściu opiekunki, gosposi i gości zaglądała pani jeszcze do męża?
- Tak, weszłam do jego sypialni, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Był pogrążony w głębokim śnie. Po tym wybuchu złości Angela dała mu środek nasenny.
- Która była wtedy godzina?
- Około dziewiątej czterdzieści pięć.
- Co pani potem robiła?
- Poszłam do swojej sypialni na parterze i natychmiast usnęłam.
- Kiedy następnym razem widziała pani męża?
- Rano, około ósmej, zaraz po tym, gdy Angela Watts weszła do mojego pokoju i powiedziała mi, że on nie żyje.
- Pani Grant, na procesie przedstawiono dowody, że alarm był włączony, kiedy rano przyszła opiekunka. Przedstawiono również dowody, że kiedy wszyscy tamtego wieczoru opuścili dom, została pani sama z mężem. Czy słyszała pani, żeby ktoś wchodził do domu w nocy?
- Nie, nie słyszałam. Byłam bardzo zdenerwowana, a wiedząc, że Ted spokojnie śpi, również wzięłam środek nasenny, co mi się rzadko zdarza. Też mocno zasnęłam.
- Kto jeszcze znał kod do alarmu oprócz pani i opiekunki?
- Moja gosposia Carmen znała kod. Poza tym Ted, chociaż był już bardzo chory, jeszcze na dwa lata przed śmiercią czasem powtarzał sobie jego cyfry. Pozostał taki sam od chwili wprowadzenia się do domu.
- Czy dała pani kiedyś numer kodu Alanowi Grantowi?
- Nigdy tego nie zrobiłam, nie wiem jednak, czy Ted mu nie powiedział lub nie powtarzał sobie cyfr w obecności Alana.
- Kto miał klucz do waszego domu?
- Oczywiście Ted i ja. Także Carmen i Angela.
- Alan Grant miał kiedyś ten klucz?
- Nie wiem. Ja nigdy nie dawałam mu klucza, a Ted nie mówił, że to zrobił.

Jestem pewna, że Angela i Carmen nie dałyby nikomu klucza bez naszego pozwolenia.

– A gdzie był klucz pani męża w okresie poprzedzającym śmierć?

– Przez ostatnie dwa lata życia mój mąż nigdzie samodzielnie nie wychodził.

Klucz wisiał na haczyku w kuchni. Czasami Ted zabierał go stamtąd, a potem ja znajdowałam klucz na półce w bibliotece, gdzie mąż sypiał.

– Co pani robiła ze znalezionym w sypialni kluczem?

– Wieształam go na haczyku na kuchennej ścianie.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani ten klucz?

– Trzy lub cztery miesiące przed śmiercią Teda zauważyłam, że nie ma klucza w kuchni. Myślałam, że znajdę go w bibliotece, ale tam nie było.

– Znalazła go pani w jakimś innym miejscu?

– Nie. Szukałyśmy go z Carmen, ale się nie udało.

– Brak tego klucza zaniepokoił panią?

– Nie bardzo. Uznałam, że musi być gdzieś w domu albo że Ted wyrzucił go do śmieci.

– Czy w ostatnich siedmiu latach życia pani męża Alan Grant był kiedykolwiek z nim sam?

– Wiele razy. Bywało, że zabierał go na przejażdżkę samochodem. Czasem siedzieli we dwóch w saloniku i oglądali telewizję.

– Teraz chciałbym zadać pani kilka pytań na temat wpisu na Facebooku. Proszę spojrzeć. Czy to pani jest na fotografii?

– Tak.

– Czy na tym zdjęciu jest pani w ciąży?

– Tak. W szóstym miesiącu.

– Pracowała pani wtedy w butik ciotki w Milwaukee?

– Tak.

– Kiedy pojechała pani do Milwaukee?

– W połowie lipca, po ukończeniu liceum.

– Kiedy zaszła pani w ciążę?

– Pod koniec maja, na balu maturalnym.

– Czy zanim zaszła pani w ciążę, planowała wyjazd we wrześniu do college'u?

– Tak. Zostałam przyjęta na George Washington University w Waszyngtonie.

– Jak rodzice zareagowali, dowiedziawszy się, że jest pani w ciąży?

– Oboje byli wstrząśnięci i zawstydzeni. Ojciec był na mnie bardzo zły.

– Zmieniła pani wtedy plany?

– Tak. Rodzice upierali się, że z wyjątkiem siostry mojej matki w Milwaukee nikt nie może dowiedzieć się o mojej ciąży. Mówili znajomym, że jestem zbyt

młoda, by wyjechać do college'u i że powinnam przez rok popracować u niej w Milwaukee.

– Czy urodziła pani dziecko?

– Tak. Dziewczynkę. I natychmiast mi ją odebrano. Dopiero matka na łożu śmierci wyznała mi, że mój ojciec sprzedał dziecko ludziom, którzy najwięcej za nie zapłacili. Dostał czterdzieści tysięcy dolarów. Ból, jakiego wtedy doznałam, nigdy nie przeminął.

– Czy powiedziała pani doktorowi Grantowi o swoim dziecku?

– Oczywiście, jeszcze przed ślubem. Uważałam, że powinien o tym wiedzieć.

– Jak zareagował?

– Zaoferował pomoc w odnalezieniu mojego dziecka.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Nic nie zrobiłam. Byłam zażenowana i zawstydzona. Ojciec sprzedał moje dziecko. Na łożu śmierci, przeszło dwadzieścia lat temu, matka powiedziała mi, że wierzyła, iż te pieniądze opłacą mi college. A ojciec wydawał je, kiedy zabiegał o względy swojej obecnej żony, choć wtedy moja matka jeszcze żyła. – Betsy przełknęła łzy.

– Tęsknię za swoją córką każdego dnia od chwili jej urodzin. Jako nauczycielka byłam stale otoczona uczniami w wieku mojej córki. Zawsze się zastanawiałam, gdzie ona jest.

– Pani Grant, kto jest ojcem pani dziecka?

– Peter Benson.

– Jest pani absolutnie pewna, że on jest ojcem?

– Tak, jestem absolutnie pewna. Był jedynym chłopakiem, z którym spotykałam się w liceum.

– Czy powiedziała mu pani o ciąży?

– Nie, nie powiedziałam.

– Czy przyznała mu się pani kiedyś, że urodziła dziecko?

– Nie, nie przyznałam się.

– Dlaczego?

– Ponieważ moi rodzice wypędzili mnie do Milwaukee. Nie chcieli, żeby Peter, czy ktokolwiek inny, dowiedział się o dziecku. Nie chcieli jej, nie chcieli też, by rodzina Petera mogła się ewentualnie starać o opiekę nad nią. Jak już mówiłam, ojciec sprzedał moje dziecko.

– Chce pani powiedzieć, że od czasu kiedy pani dowiedziała się o ciąży, do chwili kiedy wczoraj wieczorem ukazał się wpis na Facebooku, nigdy nie poinformowała pani Petera Bensaona o dziecku?

– Nie, nie zrobiłam tego. Do rozpaczy doprowadza mnie myśl, że on mógł widzieć te wiadomości i wie, że urodziłam jego córkę.

– Pani Grant, przyznaje pani, że spotykała się z Peterem Bensonem na kolacji raz lub dwa w miesiącu na dwa lata przed śmiercią pani męża?

– Tak, przyznaję.

– Czy miała pani romans z Peterem Bensonem?

– Nie, nie miałam.

– Proszę nam opowiedzieć o waszej znajomości.

– To było dokładnie tak, jak zeznał. Na dwa lata przed śmiercią Teda spotkałam go przypadkiem w muzeum. Oboje przeżywaliśmy trudne chwile. On był w żałobie po stracie żony, a ja w rozpacz po utracie mojego niegdyś wspianego męża. Wspieraliśmy się wzajemnie.

– Czy rozbudziło się u pani silne uczucie do Petera Bensona?

– Skłamałabym, nie potwierdzając. On również zeznał, że czuł podobnie.

– Czy rozmawiali państwo o swoich uczuciach?

– Tak. Powiedziałam mu, że nigdy nie zdradziłabym Teda i nigdy bym go nie opuściła.

– Pani Grant, czy wyrządziła pani jakąś krzywdę mężowi w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego marca zeszłego roku?

– Absolutnie nie. Prawdą jest tylko, że tego ostatniego wieczoru podjęłam wreszcie decyzję, by umieścić go w domu opieki. Ale nigdy bym go nie skrzywdziła.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

– Panie prokuratorze, może pan zaczynać.

Elliot Holmes wstał z miejsca i podszedł do stanowiska dla świadka.

– Pani Grant, nie ulega wątpliwości, że od dziewiątej czterdzieści pięć wieczorem dwudziestego pierwszego marca zeszłego roku była pani sama w domu z mężem. Czy tak?

– Tak.

– W nocy nie słyszała pani, by ktoś wchodził do domu. Czy tak?

– Tak.

– A kiedy następnego ranka o ósmej przyszła opiekunka, alarm był włączony. Czy tak?

– Tak.

– Po upływie kilku minut znaleziono ciało pani męża. Czy tak?

– Tak.

– Jest pani świadoma, że policja nie znalazła żadnych śladów włamania do domu, rozbitego okna ani naruszonego zamka?

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

– Na dwa lata przed śmiercią męża spotykała się pani regularnie z Peterem Bensonem?

– Tak. Już to mówiłam.

– Czy jedliście kiedyś kolację w New Jersey?

– Nie.

– Dlaczego?

– Potrzebowałam jego przyjaźni, wiedziałam jednak, jak zostałyby to odebrane, gdyby zobaczył mnie z nim ktoś ze znajomych. Nie ukrywam, że chciałam, by nasza przyjaźń pozostała w tajemnicy. Miałam dość kłopotów, nie potrzebowałam plotek.

– Pani Grant, czyż nie jest prawdą, że zabiła pani męża, bo była pani zmęczona jego chorobą oraz związanymi z nią komplikacjami i chciała pani być z Peterem Bensonem?

– Panie Holmes, byłam zmęczona. Byłam smutna. Mogłabym osiągnąć to wszystko, o czym pan mówił przed chwilą, umieszczając męża w domu opieki. Mogłabym wtedy widywać Petera Bensona o wiele częściej niż przedtem. – Betsy wychyliła się do przodu, wskazała palcem na prokuratora i podniosła głos. – Gdybym umieściła męża w domu opieki, to przedstawiłabym Petera moim przyjaciółom. Zrozumieliby sytuację.

– Od jak dawna nie widziała pani Petera Bensona ani z nim nie rozmawiała?

– Ostatni raz widziałam go w sądzie, w dniu kiedy zeznawał. Wczoraj wieczorem telefonował do mnie, by się upewnić, czy wszystko w porządku. A przedtem ja zadzwoniłam do Petera, kiedy znaleziono męża martwego i...

– Zadzwoiła pani – przerwał jej prokurator – by podzielić się z nim dobrą wiadomością, że jest pani wolna? – W jego głosie wyraźnie czuć było sarkazm.

Betsy wzdrygnęła się i zacisnęła ręce na poręczu krzesła.

– Panie Holmes, podłością jest sugerowanie, że śmierć męża była dobrą wiadomością.

– Pani Grant, czy pani nie uważa, że podłością było rozbitcie głowy bezbronnego, słabego człowieka, śpiącego w swoim łóżku?

– Tak uważam. – Betsy, wściekła, zerwała się z krzesła. – Ale ja tego nie zrobiłam. Nie rozbiłam głowy mężowi, by zaraz spokojnie położyć się spać. Nie zabiłam mojego męża. Nie zabiłam Teda.

– Proszę panią o zajęcie miejsca – pouczył Betsy sędzia.

Elliot Holmes popatrzył na sędziego Rotha.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do tego świadka – oświadczył lekceważącym tonem.

– Czy pan ma pytania? – Sędzia zwrócił się do Roberta Maynarda.

– Nie, Wysoki Sądzie. Dziękuję.

– Pani Grant – sędzia popatrzył na Betsy – może pani wrócić na swoje miejsce.

Słowa sędziego Rotha dochodziły do niej jakby z oddali. Chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i zapadła w ciemność.

Kiedy zemdląła i upadła na podłogę, na sali sądowej rozległy się zduszone okrzyki. Podbiegli do niej woźni sądowi, sędzia kazał przysięgłym wracać do pokoju obrad, a widzom opuścić salę. Szybko pojawili się sanitariusze, którzy po dziesięciu minutach powiadomili sędziego, że pani Grant czuje się lepiej. Po naradzie z obroną sędzia postanowił odroczyć rozprawę do środy rano.

Gdy ratowano Betsy, przysięgłych nie było na sali. Robert Maynard przekonał sędziego, by wrócili, kiedy jej już tam nie będzie. Sędzia poinformował przejętą sytuacją przysięgłych, że oskarżona już doszła do siebie i rozprawa zostanie wznowiona w środę. Przypomniał im, iż werdykt musi się opierać wyłącznie na materiale dowodowym, a nie na niechęci, uprzedzeniach lub współczuciu.

Jonathan Cruise miał listę sześciu lekarzy z Port Lee, z którymi chciał przeprowadzić wywiad. Postanowił ujawnić, że jest dziennikarzem „Washington Post”, i porozmawiać z nimi na temat nadużywania narkotycznych leków przeciwbólowych oraz narkotyków w północnym New Jersey, żeby się dowiedzieć, jak dalece jest to poważny problem.

Najbardziej interesowali go doktorzy Kent Adams i Scott Clifton. Fakt, że kiedyś prowadzili praktykę razem z doktorem Tedem Grantem, wzbudzał jego dziennikarską ciekawość. Coś musi być na rzeczy, powracała uporczywa myśl.

Najpierw spotkał się z dwoma innymi lekarzami. Zrobił to celowo, żeby jego historia wydała się wiarygodna Cliftonowi i Adamsowi.

Pierwszą rozmowę odbył z położnikiem, doktorem Mariem Iovino. Opowiedział Jonowi o tragedii dzieci, których matki uzależnione były od kokainy. Rodziły się często z poważnymi wadami wrodzonymi.

– Te dzieci można od razu rozpoznać – mówił. – Nie słyszy się zdrowego krzyku noworodka, bo po urodzeniu one miauczą jak koty. Przez te wszystkie lata spotkałem się tylko z kilkoma takimi przypadkami, ale serce mi się ściska, kiedy słyszę ten płacz.

– Jaka jest rozpiętość wieku takich matek? – Jon robił notatki.

– Bardzo duża, od piętnastu lat do czterdziestu pięciu – odparł lekarz.

Jon spotkał się także z doktorem Neilem Carpenterem, reumatologiem.

– Dzwonią do mnie pacjenci – wyjaśnił Jonowi lekarz – którzy twierdzą, że upadli albo mają artretyzm, albo naciągnęli sobie mięśnie i strasznie cierpią.

– Co pan robi, jeśli podejrzewa lub rozpoznaje, że są to ludzie uzależnieni od leków przeciwbólowych? – spytał Jon.

– Polecam plastry rozgrzewające lub słabe środki przeciwbólne – powiedział z uśmiechem lekarz.

Następnego dnia o drugiej trzydzieści Jon miał umówione spotkanie z doktorem Scottem Cliftonem. Doktor Kent Adams zgodził się na rozmowę, ale w późniejszym terminie, bo był bardzo zajęty.

Bezustannie słysząc cierpkie uwagi Scotta na temat Betsy Grant, Lisa uznała, że w tej sytuacji nie powinna wykazywać zbyt ostentacyjnego zainteresowania jej procesem, ale miała ochotę pojawić się na sali sądowej w charakterze widza. Zarówno ona, jak i Sarah Adams złożyły już swoje zeznania i zostały poinformowane, że nie będą powtórnie wzywane. Ponadto w ich przypadku sędzia złagodził przepis o izolacji świadków i pozwolił im uczestniczyć w posiedzeniach, gdyby tego chciały.

Prokurator nie miał zamiaru przesłuchiwać ich ponownie. W swoich zeznaniach Lisa i Sarah robiły wszystko, by pomóc Betsy. Żadna z nich nie miała już niczego do dodania. Lisy oczywiście nie było na sali sądowej, kiedy zeznawała Sarah, ale tego wieczoru Scott dał upust swojemu niezadowoleniu.

– Z tego, co słyszałem w wiadomościach – powiedział – wynika, że ty i Sarah zachwycaliście się Betsy, opowiadając, jaką jest wspaniałą osobą. Może zadzwonicie do Watykanu, żeby ją kanonizowali?

– Po tym, co przeszła, na pewno zostanie kanonizowana – odparła też sarkastycznym tonem.

Lisa poznała Teda i Betsy wkrótce po tym, gdy poślubiła Scotta. Była mile zdziwiona, kiedy się dowiedziała, że Betsy, podobnie jak ona sama, uprawia jogę Bikram. Postanowiły chodzić razem na sesje jogi w miasteczku Westwood, leżącym w jednakowej odległości od Ridgewood i Alpine. Spotykały się tam raz w tygodniu, potem umawiały na lunch trzy razy w miesiącu i bardzo się zaprzyjaźniły.

Spotkania dobiegły końca, kiedy Betsy została postawiona w stan oskarżenia, a Lisa trafiła na listę świadków procesu. Często myślała o tym, z jaką czułością przyjaciółka zawsze mówiła o mężu. Brakowało jej przyjaźni Betsy. Teraz, kiedy wiedziała, że zerwanie ze Scottem jest nieuniknione, czytała wszystkie artykuły w gazetach i oglądała wszystkie programy telewizyjne zajmujące się procesem. Szczególnie interesowały ją sprawozdania Delaney Wright, gdy dziennikarka wymieniała opinie ze współprowadzącym program.

Kiedy Lisa dowiedziała się, że Betsy będzie następnego dnia zeznawać, nie mogła spać w nocy. Wstała wcześniej i zeszła do kuchni, zanim Scott przyszedł na śniadanie. Wciąż starał się utrzymywać pozory.

– Liso, po zakończeniu procesu polecimy do San Domingo, przynajmniej na długi weekend. Po powrocie nie będziemy już potrzebować doradcy małżeńskiego.

– A po chwili dodał: – Chciałbym jeszcze powiedzieć, jak wspaniale wyglądasz, w dzień i w nocy.

– Dziękuję – odparła. – San Domingo to naprawdę wspaniały pomysł.

Starła się zachowywać przyjaźnie. Zauważyła, że Scott ma coraz większe sińce pod oczami. Jeszcze mniej śpi, niż przypuszczałam, pomyślała.

– Musimy też wystawić ten dom na sprzedaż i znaleźć nowy – mówił Scott. – Jest dużo nowych budynków w Saddle River. Niektórzy członkowie klubu tam się przeprowadzili i jak słyszę, są bardzo zadowoleni.

Zabierzcie mnie stąd, pomyślała Lisa. Ja nie umiem udawać.

Po wyjściu Scotta – obdarzył ją pozornie czułym pocałunkiem – wytarła usta i poszła na górę, żeby się ubrać. Zdejmując szlafrok, przejrzała się w lustrze. Wciąż cholernie dobrze wyglądam, pomyślała. Była zadowolona, że obcięła swoje jasne włosy, które teraz tworzyły ramę dla jej twarzy. Jej największym atutem były brązowozielone oczy. Przy krótkich włosach uwydatniały się wysokie kości policzkowe. Po prysznicu włożyła lekki szary żakiet i spodnie w tym samym kolorze. To był jej ulubiony strój, gdy jeszcze pracowała.

Otworzyły się drzwi sali sądowej i Lisie udało się znaleźć miejsce w pobliżu stołu obrony. Na salę weszła Betsy ze swoimi obrońcami, zauważyła przyjaciółkę i uśmiechnęła się do niej. Najwidoczniej była zadowolona, że ją widzi.

Betsy zeznawała przez wiele godzin.

Podobnie jak wszyscy na sali sądowej, Lisę wstrząsnęła wiadomość o dziecku Betsy. Gdy przyznała, że ojcem dziecka jest Peter Benson, wszyscy byli zszokowani.

Schodząc z miejsca dla świadka, Betsy zemdląła, przerażona Lisa pozostała na sali, mimo że sędzia polecił, by wszyscy wyszli.

– Jestem bliską przyjaciółką – tłumaczyła, kiedy sanitariusze ratowali nieprzytomną; kładli jej maskę tlenową na twarzy i kontrolowali puls.

Lisa nie odstępowała półprzytomnej kobiety, trzymała ją za rękę i odgarniała włosy z czoła. Gdy Betsy odzyskała świadomość i zobaczyła przyjaciółkę, rozplakała się. Lisa z jej twarzy ścierała łzy. Po przybyciu karetki Betsy nie zgodziła się pojechać do szpitala.

– Wracam do domu – zdecydowała. – Czy mój kierowca jeszcze tu jest?

Robert Maynard i jego pomocnicy cały czas stali przy drzwiach sali sądowej. Kiedy sanitariusze poinformowali ich, że pani Grant chce jechać do domu, powiedzieli, że odprowadzą ją do samochodu.

Delaney stała na schodach budynku sądu, obserwując Betsy. Miała ciemne okulary, ale było widać ślady łez na twarzy. Bez przerwy pracowały kamery, próbowano uchwycić każdy jej gest. Delaney zamarła, widząc, że kiedy szofer otworzył drzwi samochodu, kobieta niebezpiecznie się zachwiała.

Poczuła ulgę, gdy dostrzegła, że Lisa Clifton wsiada do samochodu razem z Betsy i otacza ją ramieniem, a kierowca ruszył z miejsca.

Doktor Scott Clifton podczas swoich zeznań jasno dał do zrozumienia, że

według niego pani Grant zabiła swojego męża. Jak widać, jego żona ma odmienne zdanie, pomyślała Delaney.

Przygnębiona wydarzeniami dnia chwilę stała przed budynkiem. Nagle zobaczyła na ulicy Alvira i Willy'ego. Pomachała im, a oni zaraz do niej przybiegli.

– Delaney, może byś przyszła do nas dzisiaj na kolację?

– Z największą przyjemnością – odparła.

Delaney dotarła do ich apartamentu – powitał ją smakowity zapach rostbefu – dopiero po skomentowaniu procesu Betsy Grant w wiadomościach o szóstej po południu. Don Brown pytał ją o reakcję obecnych na sali osób, gdy oskarżona zasłabła. Ostrożnie dobierała słowa. Odpowiedziała, że widzowie i przysięgli wstrzymali dech w piersiach. Opisała działania sędziego, który wysłał przysięgłych do sali obrad, a widzom nakazał opuszczenie sali.

– Czy uważasz, Delaney, że przysięgli nabiorą do niej większej sympatii?

Już miała powiedzieć, że powinni, ale się powstrzymała. Nie mogła być stronicza.

– Wyglądali na bardzo przejętych, kiedy upadła. Widziałam, że ktoś płakał.

Dopiero po zakończeniu programu przyznała Donowi, że Betsy Grant zaciekle broniła swojej niewinności i na pewno przysięgli współczuli jej, kiedy zemdląca. Dodała jednak, że prokurator zadał Betsy śmiertelny cios, pytając, czy przekazała Peterowi Bensonowi „dobrą wiadomość”, iż jej mąż nie żyje.

– Zaatakował zaraz po tym, gdy przyznała, że jest w Bensonie zakochana i że on jest ojcem jej dziecka. Nie wydaje mi się też, by adwokat Betsy Grant dał przekonujące wyjaśnienie w kwestii alarmu, który był włączony, kiedy rano przyszła opiekunka i znaleziono ciało doktora Granta.

Powtórzyła gospodarzom to, co mówiła Donowi.

– Co o tym myślisz, Willy? – spytała.

– Od początku mówiłem, że uznają ją za winną – powiedział cicho.

Chociaż rostbef był pyszny, Delaney ledwie go skubnęła.

– Alvirah, wiesz, że uwielbiam twój rostbef i pudding, ale ostatnio nie mogę dużo jeść. Wszystko we mnie krzyczy, że Betsy Grant jest niewinna. – W oczach miała łzy.

– Obie przygotowałyśmy już wiele sprawozdań z procesów i wiemy, jak to jest, kiedy oskarżony zostaje uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia lub zabójstwa i widzimy, jak zakuwają go w kajdanki i wyprowadzają z sali.

– Słowa Betsy Grant, kiedy mówiła, jak bardzo tęskni za swoim dzieckiem i jak cierpiała przez te wszystkie lata, złamały mi serce. Zastanawiam się tylko, jak bym się czuła, gdybym kiedykolwiek znalazła moją biologiczną matkę i powiedziała mi to samo.

Małżonkowie popatrzyli na siebie. Alvirah wzięła przyjaciółkę za rękę.

– Delaney. – Westchnęła. – Dziś po południu usłyszałaś te słowa od swojej biologicznej matki. Betsy Grant jest twoją matką, a Peter Benson ojcem.

Kiedy Alvira przekazała zaskakującą nowinę o jej prawdziwych rodzicach, Delaney ogarnęło uczucie euforii, a jednocześnie rozpaczy. Była przekonana, że w najlepszym wypadku Betsy nie zostanie skazana za morderstwo pierwszego stopnia, tylko za zabójstwo. Świadczące przeciwko niej dowody były na tyle przytłaczające, szczególnie wiadomość, że Peter Benson jest ojcem jej dziecka, iż będą miały większą wagę w ocenie przysięgłych niż zapewnienia oskarżonej, że nigdy by nie skrzywdziła swojego męża.

Jej dziecko, myślała Delaney. Ja.

Kiedy miała trzy lata, płakała, że nie jest podobna do nikogo z rodziny. Teraz wiedziała, że ciemne, szeroko rozstawione oczy ma po Peterze Bensonie.

Mój ojciec, moja matka, powtarzała w myślach po niespokojnie przespanej nocy. Wstała wcześniej, wzięła prysznic i szybko się ubrała. Robiąc makijaż, bacznie wpatrywała się w lustro. Peter Benson jest moim ojcem, ale jestem bardziej podobna do Betsy.

Nie mogła nic przełknąć, napiła się tylko kawy. Była pogrążona w myślach. Kto chciałby zabić doktora Granta? Pierwszy podejrzany to Alan Grant. Z jego zeznań wynikało, że ma wiele wydatków i jest pogrążony w długach, a odziedziczyłby przynajmniej połowę piętnastomilionowego majątku ojca. Odziedziczyłby cały, gdyby Betsy została skazana. Może ojciec podał mu kod do alarmu. Albo on sam zabrał klucz z haczyka w kuchni. Miał jednak solidne alibi na noc morderstwa.

Kto inny mógłby to zrobić? W testamencie doktor Grant zostawił Carmen Sanchez i Angeli Watts po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Tak zeznali prawnicy. Lecz czy któraś z nich wiedziała o tym przed jego śmiercią?

A lekarze, dawni partnerzy doktora Granta? Kiedy się okazało, że jest chory na alzheimera, szybko się rozstali i każdy poszedł swoją drogą.

Nie ma innych podejrzanych, myślała z rozpaczą Delaney.

We wtorek o dziewiątej rano odbyła prywatną rozmowę z producentką wykonawczą w jej gabinecie.

– Nie mogę już dłużej przygotowywać sprawozdań z procesu Betsy Grant – oświadczyła.

Kiedy Delaney wytłumaczyła jej dlaczego, na twarzy Kathleen Gerard, osoby nigdy nieujawniającej swoich uczuć, pojawił się wyraz zaskoczenia i współczucia.

– Delaney, oczywiście musimy uwolnić cię od tego obowiązku. Rozumiem twoją obawę, że matka może zostać skazana.

– Jestem pewna, że ona jest niewinna, i czuję się okropnie bezradna – wyznała Delaney. – Mam do ciebie dwie prośby – dodała po chwili milczenia. – Czy mogłabym wziąć od dzisiaj kilka dni wolnego, może tydzień?

– Oczywiście, Delaney. Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz.

– Dziękuję. I jeszcze jedno: oprócz ciebie i dwojga moich bliskich przyjaciół nikt nie wie, co mnie łączy z Betsy Grant i Peterem Bensonem. Bardzo mi zależy, by na razie utrzymać prawdę w tajemnicy.

– Masz na to moje słowo – zapewniła ją Kathleen.

Peter Benson był wstrząśnięty po przeczytaniu wpisu na Facebooku, obejrzeniu zdjęcia młodej ciężarnej Betsy oraz wysłuchaniu w radiu zeznań, z których wynikało, że to on jest ojcem jej dziecka. Nie wiedział, co robić.

Chciałby natychmiast pojechać do Alpine, być razem z nią, wiedział jednak, że w kluczowym momencie rozprawy powinien trzymać się od Betsy z daleka.

Przez tyle lat musiała cierpieć w samotności, po tym gdy zmuszono ją do oddania dziecka, a wstyd nie pozwalał jej rozpocząć poszukiwań, myślał. Bardzo dobrze pamiętał ojca Betsy. Kiedy oboje ukończyli już liceum, zadzwonił do niego pan Ryan i zażądał, żeby nie kontaktował się z jego córką, która dopiero za rok pójdzie do college'u. Stwierdził, że jest zbyt młoda, by wyjechać, a również zbyt młoda, by spotykać się z nim czy też innym chłopakiem.

Peter doskonale pamiętał wściekłość w głosie ojca Betsy, kiedy to mówił. Potem pomyślał o matce Betsy. Była niewątpliwie zastraszona przez męża i cierpiała już wtedy na nowotwór, który zabił ją sześć lat później.

Pamiętał też, że po śmierci pani Ryan napisał do Betsy i jej ojca list z wyrazami współczucia, na który nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Mam dwudziestosześcioletnią córkę, ta myśl stale przewijała mu się przez głowę. Jak ona wygląda? Ja mam brązowe oczy, Betsy niebieskie. Chyba brąz zwykle przebija niebieski?

Wziął dzień wolny, wiedząc, że odkąd złożył zeznania, wszyscy na uczelni plotkują o nim i Betsy. Poza tym chciał być w domu, kiedy w mediach pojawią się sprawozdania z jej zeznań.

Po śmierci żony Peter sprzedał dom i kupił mieszkanie w pobliżu uniwersytetu. Zarówno on, jak i jego żona Annette martwili się, że nie mają dzieci. Trzykrotnie próbowali metody *in vitro*, ale za każdym razem kończyła się poronieniem.

Zostałem ojcem w wieku osiemnastu lat, myślał Peter. Gdybym o tym wiedział, czy zrezygnowałbym z college'u i poszedł do pracy? Nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić siebie, kiedy miałem osiemnaście lat.

Betsy zeznała, że chciała zatrzymać dziecko, ale jej ojciec postanowił sprzedać je temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Kto ją wziął? Czy jest jeszcze w kraju?

O siódmej wieczorem zadzwoniła jego matka. Miała teraz siedemdziesiąt trzy lata, a od czterech była wdową.

– Och, Peter – powiedziała. – Tata i ja z radością wzięlibyśmy to dziecko. Wiedząc, jak blisko byliście ze sobą, podejrzewałam, że coś się za tym kryje, kiedy

Betsy zrezygnowała z college'u i wyjechała do Milwaukee. Powinnam była zaufać swoim przeczuciom i pojechać tam do niej.

Po rozmowie z matką Peter nie mógł się powstrzymać i zadzwonił do Betsy. W jej głosie wyczuł smutek i zmęczenie.

– Peter, wiem, że uznają mnie za winną. Mam nadzieję, że spróbujesz odszukać nasze dziecko. A kiedy ci się uda, proszę, przekonaj naszą córkę, że jej matka nie jest morderczynią.

Po dziesięciu udanych włamaniach i wygranej w blackjacka w Atlantic City Tony jak zwykle nie potrafił w porę odejść od stołu i stracił wszystkie pieniądze.

Znowu znalazłem się na lodzie, myślał ponuro, jadąc samochodem do Saddle River w New Jersey.

Miał jeszcze tę bransoletkę. Mógł za nią dostać w lombardzie trzydzieści tysięcy dolarów, nawet gdyby zgłoszono jej zaginięcie, straciłby jednak swoją jedyną kartę przetargową, jeśli zostałby przyłapany na kolejnym przestępstwie.

Jedyna ważna karta przetargowa, powtarzał w myślach.

Przyszedł czas, by zdobyć nowe punkty. Został ponownie zatrudniony do mycia okien. Wiele osób myło okna dwa razy do roku, ale jesienią robili to wszyscy.

Już trzeci dzień pracował w jednej z tych wielkich rezydencji w niedużej, ale bardzo bogatej Saddle River. Kiedy mył okna w głównej sypialni, szybko obejrzał jej wnętrze. W jednej z szaf ściennych był tandetny sejf, taki sam jak w sypialni Betsy Grant. Otworzenie go to łatwizna.

Nie był jeszcze pewien, czy to zrobi, ale na wszelki wypadek odłączył od systemu alarmowego jedno z okien balkonowych w pokoju.

Tymczasem szef firmy sprzątającej spytał go, kiedy skończy tam pracę.

– Najpóźniej jutro – odpowiedział Tony.

– Nie ma innej opcji. Rodzina wybiera się na rejs i nie chcą, żeby ktoś był w domu podczas ich nieobecności.

Doskonale wybrali termin, pomyślał Tony. Drabina, którą zawsze woził w samochodzie, była na tyle wysoka, by mógł dostać się na balkon.

Niewątpliwie przy takiej rezydencji musiało być wiele kamer. Ale kiedy będzie już blisko, zakryje numery rejestracyjne ciemnym materiałem, ubierze się na czarno i włoży kominiarkę. Miał precyzyjny plan. Gdyby włączył się alarm, on będzie już na autostradzie, zanim policjanci zdążą zapalić silnik radiowozu.

Wiedział, że jest to ryzykowne. Uwielbiał jednak poczucie satysfakcji, które go ogarniało zawsze, kiedy odnosił zwycięstwo nad tym całym systemem. A gdyby coś się wydarzyło, miał bransoletkę, by móc „zawrzeć układ”.

Przeczekał weekend do poniedziałkowej nocy, by być pewnym, że rodzina już wyruszyła w rejs. O pierwszej w nocy postanowił wrócić do rezydencji. Kiedy zjechał z autostrady, zatrzymał się, by zakryć numery rejestracyjne. Nie wiedząc, że w pobliżu stoi radiowóz i że jest obserwowany, wsiadł do swojego samochodu i pojechał w kierunku domu, który chciał obrabować.

Podjazd przed domem był kolisty, prowadził też na parking na tyłach domu.

Tony zostawił tam swój samochód, wziął drabinę i ostrożnie podszedł do frontu budynku. Tam rozłożył drabinę, wspiął się na nią i skoczył na balkon. Kiedy zaczął otwierać zamek w drzwiach, znalazł się nagle w świetle reflektora, a ktoś przez głośnik kazał mu podnieść ręce do góry i się nie ruszać.

Już o pierwszej piętnaście Tony Sharkey siedział w kajdankach w policyjnym samochodzie, który wiozł go na komisariat w Saddle River. Tam poddano go dobrze mu znanym procedurom. Został sfotografowany, pobrano odciski palców, musiał odpowiedzieć na rutynowe pytania o nazwisko, datę urodzenia i adres.

Potem zaprowadzono go do pokoju śledczych, gdzie czekał na niego detektyw William Barrett.

– Panie Sharkey – zaczął. – Dowiedziałem się od funkcjonariusza, który pana aresztował, że kiedy poinformował pana o jego prawach, pan chciał się widzieć z detektywem. Czy tak było?

– Tak – przyznał z rezygnacją Tony.

– Powtórzę teraz to, co usłyszał pan od funkcjonariusza. Ma pan prawo do milczenia. Ma pan prawo do adwokata, zanim zacznie pan odpowiadać na pytania. Jeśli nie stać pana na adwokata, dostanie pan obrońcę z urzędu. Wszystko, co pan powie, może być i będzie wykorzystane przeciwko panu w sądzie. Ponadto, jeśli zechce pan odpowiadać na pytania, może pan w każdej chwili przestać. Czy pan to rozumie?

– Tak, znam to na pamięć.

– Panie Sharkey, czy próbował pan włamać się do domu, przy którym został pan aresztowany?

– Oczywiście. Jak pan myśli, dlaczego stałem na balkonie w środku nocy? Nie zrywałem przecież tam jabłek.

– Jestem pewien, że nie zrywał pan tam jabłek – zauważył śledczy ironicznie. – Co miał pan zamiar zrobić po dostaniu się do środka?

– Poszukać biżuterii i gotówki.

– Czy ktoś jeszcze był tam z panem?

– Nie, zawsze jestem Samotnym Traperem.

– Więc co takiego chce mi pan powiedzieć?

– Słyszał pan o wielkim procesie w Hackensack, w którym oskarżają tę bogatą panią o zabicie męża? Tego kolesia z alzheimerem?

– Sprawa jest mi znana – uciął Barrett. – O co chodzi?

– Pracowałem w tym domu kilka dni przedtem, myłem okna. Byłem tam tej nocy, kiedy zaciukano doktora. Ja tego nie zrobiłem, ale nie myślę, że zrobiła to jego żona.

– Był pan w domu tamtej nocy? – spytał z niedowierzaniem Barrett. – Co pan tam robił?

- Interesowała mnie biżuteria. Zwinąłem bransoletkę. Wciąż ją mam.
- Wciąż ją pan ma? Gdzie ona jest?
- W moim mieszkaniu w Moonachie. Gliniarz, który mnie aresztował, wziął moje klucze. Możecie tam jechać i ją wziąć. Jest wysadzana brylantami i szmaragdami.
- Gdzie ją znajdziemy?
- Jest w papierowej torebce pod obluzowaną płytką w łazience pod umywalką.
- Śledczy William Barrett nie miał pojęcia, czy Tony Sharkey zmyśla, czy rzeczywiście ma ważne informacje. Tak czy inaczej, musieli natychmiast się tym zająć.
- Wyjmij klucze z depozytu – zwrócił się do siedzącego obok kolegi. – Panie Sharkey, proszę podpisać zgodę.
- Szybko nabazgrał swój podpis na formularzu.
- Teraz pošlemy funkcjonariuszy do pana mieszkania – powiedział Tony’emu – a ja znów porozmawiam z panem, jeśli coś tam znajdą.
- Dobrze – odparł Tony. – I niech im pan powie, że w mieszkaniu nic więcej nie ma. Niech mi nie zepsują wystroju wnętrza.
- Zabierzemy pana teraz do celi. – Barrett wzniósł oczy do sufitu.
- Jeszcze jedno. Kiedy znajdziecie bransoletkę, zadzwońcie do firmy sprzątającej Paramus. Powiedzcie, by dali wam nazwiska facetów, którzy pracowali w domu Grantów w Alpine na dwa dni przed śmiercią tego kolesia.

Dziewięćdziesiąt minut później, o trzeciej piętnaście rano, po powrocie z Moonachie policjanci byli już w biurze śledczego Barretta. Oglądał bransoletkę wyjętą spod obluzowanej płytki pod umywalką w łazience, dokładnie tam, gdzie powiedział Tony.

– Przeprowadźcie go do mnie – zażądał.

Tony usiadł naprzeciwko Barretta i uśmiechnął się, widząc bransoletkę w jego ręku.

– A nie mówiłem? Niech pan popatrzy na inicjały, T.G. i B.G. Jakie to milutki.

– OK, ta informacja się potwierdziła – powiedział detektyw Barrett ostrożnie. – Z firmą sprzątającą porozumiem się dopiero rano. Ich biuro jest nieczynne w nocy.

– To też się potwierdzi, gwarantuję – zapewnił Tony.

Barrett wiedział, że powinien natychmiast poinformować o sprawie prokuratora Elliota Holmesa. Wszystkie wydziały policji miały jego numer kontaktowy do wykorzystania w ważnych przypadkach. Wydaje mi się, że ta sytuacja spełnia warunki, pomyślał Barrett. Wszedł z pokoju i czując, jak ściska go w żołądku, połączył się z domowym numerem prokuratora. Wyrwany z głębokiego snu Elliot Holmes odebrał połączenie.

– Przepraszam, że dzwonię do pana o tej godzinie. Zrobiłbym to tylko w wyjątkowym wypadku. Pomyślałem jednak, że to jest konieczne.

– Dobrze, o co chodzi?

Barrett opowiedział mu o aresztowaniu Tony'ego, odzyskaniu bransoletki z inicjałami oraz o zapewnieniach włamywacza, że był w domu Grantów w noc morderstwa. Holmes nie wierzył własnym uszom.

– Kiedy zgłoszono zaginięcie bransoletki? – spytał.

– Dziwne, ale nigdy nie zgłoszono. Przed telefonem do pana dzwoniłem do policji w Alpine. Nie mają takiego zgłoszenia.

– Więc jeśli on nawet wszedł do domu Grantów, nie wiadomo, kiedy to zrobił.

– Twierdzi, że pracował tam przy myciu okien na kilka dni przed śmiercią doktora. Mogę to potwierdzić dopiero rano, kiedy otworzy się biuro tej firmy.

Holmes był wściekły. Wiedział, że musi porozmawiać z Sharkeyem, a potem zawiadomić Maynarda.

– Przeprowadźcie go do mojego biura o ósmej. Pogadam z nim. Akurat teraz potrzeba mi tego zamieszania, kiedy proces dobiega końca! – Z tymi słowami

Holmes się rozłączył.

Pięć godzin później Holmes wszedł do pokoju przesłuchań w biurze prokuratora i usiadł przy stole konferencyjnym. Detektyw Barrett wprowadził tam Tony'ego. Dwóch śledczych z wydziału zabójstw, którzy pracowali przy procesie, siedziało przy prokuratorze. Popatrzyli na Tony'ego z pogardą.

– A więc panie Sharkey... – zaczął Holmes sarkastycznym tonem.

– Proszę mówić do mnie Tony. Wszyscy mnie tak nazywają.

– Panie Sharkey – powtórzył Holmes, ignorując tę propozycję – rozumiem, że został pan poinformowany o swoich prawach i że chce pan ze mną rozmawiać. Czy tak?

– Dlatego tu jestem. Ma pan ładne biuro.

– Czy pan rozumie prawo Mirandy³, o którym pana informowano? Wydaje mi się, że tak. Ma pan paskudną kryminalną przeszłość. Na pewno słyszał je pan już wiele razy.

– Tak, mnóstwo razy. Wszystko rozumiem. Nie ma problemu.

– Detektyw Barrett poinformował mnie o pana zapewnieniach, że był pan w domu w Alpine tej nocy, kiedy został zamordowany doktor Grant. Po raz pierwszy powiedział pan o tym policjantom podczas aresztowania, gdy próbował się pan włamać do jakiegoś domu. Potem ujawnia pan bransoletkę, która może, ale nie musi, pochodzić z domu w Alpine i nigdy nie zgłoszono jej kradzieży.

Holmes chciał mówić dalej, ale do pokoju wszedł inny detektyw i coś szepnął mu do ucha. Sądząc po wyrazie twarzy, prokurator nie był zadowolony z wiadomości.

– Zostałem właśnie poinformowany – kontynuował Holmes – że firma sprzątająca potwierdziła, iż pracował pan w domu w Alpine na dwa dni przed morderstwem.

– A nie mówiłem? – Tony z triumfalną miną zwrócił się do detektywa Barretta.

– Jak chce mnie pan przekonać – spytał wściekły Holmes – że był pan tam tej nocy, kiedy zabito doktora?

– Wróciłem tam następnej nocy, kiedy skończyłem myć te ich fikuśne okna. Widziałem sejf w głównej sypialni na piętrze i wiedziałem, że łatwo mi będzie dostać się do środka.

– Jak pan tam wszedł?

– Kiedy myłem okna, odłączyłem drut alarmowy, potem wszedłem przez to okno, a kiedy wychodziłem, ponownie skręciłem drut, by wyglądało tak, że nadal jest podłączony, chociaż nie był. Dzięki temu przy moim wyjściu dziadowski system alarmowy nie zadziałał. Łatwo sobie z nim poradziłem.

– Powiedział pan detektywowi Barrettowi, że widział pan odjeżdżający samochód?

– Tak, ale teraz mówmy poważnie. Chcę dostać wyrok w zawieszeniu, zanim zacznę gadać.

– Chce pan wyroku w zawieszeniu? – Prokurator Elliot Holmes zerwał się z miejsca. – Chce pan wyroku w zawieszeniu? Jest pan zatwardziałym kryminalistą. Kilka godzin temu został pan złapany podczas włamania. Kradzież bransoletki nigdy nie została zgłoszona. Nawet jeśli została zabrana z tamtego domu, bez względu na to, czy akurat pan ją zabrał, będzie też pan oskarżony przynajmniej o posiadanie rzeczy pochodzącej z kradzieży. Nie może pan udowodnić, że tamtej nocy był pan w domu Grantów. Nie będzie mi pan tu opowiadał bajek o tajemniczym samochodzie, który rzekomo pan widział. – Elliot Holmes nie mógł opanować wściekłości. – Niczego pan ode mnie nie dostanie poza kolejnymi aktami oskarżenia. Mam obowiązek natychmiastowego skontaktowania się z obrońcą, panem Maynardem, i poinformowania go o pana rewelacjach. Jeśli nabierze się na te bzdury, może domagać się powołania pana na świadka. Obiecuję, że zniszczę pana na sali sądowej. Zabierzcie go z moich oczu – warknął, zwracając się do dwóch swoich detektywów.

3 Prawo pochodzi od nazwiska Ernesta Mirandy, aresztowanego w Arizonie w 1963 roku pod zarzutem porwania i gwałtu. Podczas przesłuchania policja nie poinformowała go, że ma prawo do adwokata. Oskarżony przyznał się do winy i został skazany, natomiast Sąd Najwyższy unieważnił wyrok z powodu tego niedopatrzenia proceduralnego. W efekcie zostały wypracowane formuły zawierające uprawnienia oskarżonego, które policja jest zobowiązana wygłosić podczas aresztowania (przyp. tłum.).

Robert Maynard przyszedł do swojego biura w wieżowcu kilka minut przed dziewiątą. Chociaż dzisiaj nie szedł do sądu, był w garniturze i w krawacie. W mankietach koszuli miał spinki, buty wyblaszczone. Zamierzał dzisiaj przygotować swoją mowę końcową. Wiedział, że dowody przeciwko Betsy Grant były nie do obalenia, mógł liczyć jedynie na niejednomyślność ławy przysięgłych albo na wyrok za zabójstwo, a nie morderstwo pierwszego stopnia. Po pięciu minutach sekretarka dała mu znać, że dzwoni prokurator.

– Cześć, Elliot. Muszę przyznać, że jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałbym się telefonu.

– Cześć, Robert. A ty jesteś ostatnią osobą, do której miałbym zamiar dzwonić. Mam jednak obowiązek poinformowania cię o pewnych wydarzeniach.

Oślupiały Maynard słuchał o aresztowaniu Tony’ego Sharkeya, odzyskaniu bransoletki i zapewnieniach włamywacza, że był w domu Grantów w noc morderstwa.

– Tak to wygląda – powiedział Elliot. – Możesz się z nim zobaczyć w więzieniu okręgowym hrabstwa Bergen. W tej sytuacji jestem zmuszony wyrazić zgodę, abyś poprosił sędziego o wznowienie sprawy i powołał go na świadka. Mam nadzieję, że tak zrobisz. Unicestwię go. Żądał wyroku w zawieszeniu, by w zamian zniszczyć moją linię oskarżenia.

Do Roberta Maynarda dopiero po chwili dotarł sens tego, co usłyszał. Nowi nieoczekiwani świadkowie zjawiają się w ostatniej chwili tylko w marnych programach telewizyjnych o policjantach i złodziejach, pomyślał. Nagle nabrał otuchy.

– Elliot, nie wiem, do czego to prowadzi. Lecz jeśli zniszczenie twojej linii oskarżenia znaczy, że zostanie oczyszczona z zarzutów moja niewinna klientka... Za godzinę dotrę do więzienia i porozmawiam z nim. Potem zadzwonię do ciebie i dam ci znać, czy będę chciał powołać go na świadka.

– OK, zrób tak. Jeśli się na to zdecydujesz, będziemy musieli dzisiaj spotkać się z sędzią. Ten facet nie domaga się adwokata, wiem, że sędzia będzie go chciał przepytać w sprawie decyzji składania zeznań i uświadomić mu, że może sobie tym zaszkodzić.

– Dobrze. Po rozmowie z nim naradzę się w tej sprawie z Betsy. Skontaktuję się z tobą koło południa.

– Po raz pierwszy w mojej długiej karierze coś takiego pojawia się pod koniec sprawy o morderstwo – zauważył Holmes już mniej napastliwym tonem.

– Ja zajmuję się tym o dwadzieścia lat dłużej niż ty i dla mnie jest to także

niespodzianka.

Robert Maynard się rozłączył. Chociaż miał sceptyczne nastawienie do potencjalnego świadka, z którym miał się spotkać, po raz pierwszy zaczął się poważnie zastanawiać nad możliwością, że mimo wszystko Betsy Grant może być niewinna.

Jadąc do Hackensack, zadzwonił do niej, by powiedzieć, co się wydarzyło. Zaskoczyła ją wiadomość, że Tony był w jej domu w noc śmierci Teda.

– Robert, wiesz, co to znaczy? Nigdy nie myślałam, że wierzysz w moją niewinność. Nie mam pojęcia, kiedy zginęła bransoletka. Zorientowałam się, że jej nie ma, dopiero dwa miesiące po śmierci Teda. Długo nie nosiłam kosztownej biżuterii. Przeszukałyśmy z Carmen cały dom i doszłyśmy do wniosku, że na pewno Ted ją wyrzucił, podobnie jak klucz. Nie przyszło mi do głowy, iż została ukradziona, ponieważ reszta cennej biżuterii została w sejfie. Miałam właśnie zamiar zgłosić jej brak do firmy ubezpieczeniowej. Zaczekaj chwilę – rzuciła. – Carmen chce mi coś powiedzieć. O co chodzi, Carmen?

Gospośnia wyrwała jej telefon z ręki.

– Panie Maynard, chciałam powiedzieć to w sądzie, ale sędzia wciąż powtarzał, że mam tylko odpowiadać na pytania. Chciałam mu powiedzieć, że w głównej sypialni był zabrudzony dywan, kiedy poszłam tam sprzątać zaraz po śmierci doktora Teda.

– Czy mówiła pani komuś o tym?

– Nie, wmawiałam sobie, że przedtem tego nie zauważyłam. Ale po wyjściu ludzi od mycia okien sprawdziłam, czy wszystkie pokoje są czyste. Wtedy na pewno nie było brudu na tamtym dywanie. Śmierć doktora Teda wszystkich wytrąciła z równowagi, mnie też, więc pomyślałam, że tego nie zauważyłam. Wiem jednak, że tak nie było.

– Carmen, jest pani tego absolutnie pewna? To może być bardzo ważne.

– Tak, panie Maynard. Źle się czułam, że nie powiedziałam tego na rozprawie. Ale jak mówiłam, sędzia kazał mi tylko odpowiadać na pytania.

Betsy odebrała Carmen telefon.

– To może okazać się bardzo pomocne – ucieszył się Maynard.

– Miejmy nadzieję, Robercie.

– Betsy, za godzinę będę się widział z tym facetem. Muszę się zorientować, czy on nam pomoże, czy nas zabije. Potem do ciebie zadzwonię.

– OK, módlmy się, by był to cud, jakiego oczekuję.

Robert Maynard zadzwonił do więzienia okręgowego hrabstwa Bergen z prośbą, by od razu po przyjeździe mógł spotkać się z aresztowanym. Po przejściu wymaganej kontroli został zaprowadzony do małej salki konferencyjnej, z której korzysta prokurator. Był tam stół i dwa krzesła. Po kilku minutach dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa wprowadzili Tony'ego Sharkeya.

– Będziemy stali za drzwiami – powiedział jeden z nich. – Proszę dać znać, kiedy pan skończy.

Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, Maynard natychmiast się zorientował, że Tony Sharkey był przygnębiony. Holmes powiedział mu, że nie będzie żadnej ugody, i szykował się, by go zniszczyć.

– Panie Sharkey...

– Proszę mówić mi Tony.

– OK, Tony. Musi pan zrozumieć, że jako adwokat mam zobowiązania wyłącznie w stosunku do mojej klientki, Betsy Grant. Powołam pana na świadka, jeśli uznam, że będzie to leżeć w jej interesie.

– Zgoda – odparł Tony. – To pana święty obowiązek i takie tam.

– Musi pan zrozumieć, że ma pan prawo do adwokata.

– Słyszałem już o takiej możliwości z sześć razy. Nie chcę adwokata. Ostatni geniusz, który mnie reprezentował, nabił mi cztery lata więzienia.

– W porządku. To zależy od pana. Musi pan też zrozumieć, że nie mogę zmusić prokuratora, by dał panu wyrok w zawieszeniu lub łagodniejszy wymiar kary.

– Też mi tak mówił. – W głosie Tony’ego dało się wyczuć sarkazm. – Prawdziwa prokuratorska perełka.

– Mogę jednak obiecać panu jedną rzecz. Głęboko wierzę, że jeśli dzięki pana zeznaniom zostanie zidentyfikowany prawdziwy morderca, a przynajmniej jeśli się okaże, że Betsy tego nie zrobiła, prokurator będzie niewątpliwie zażenowany i znajdzie się pod presją, by zmniejszyć panu wyrok. A Betsy Grant z pewnością nie będzie oskarżać pana o włamanie do jej domu. Odpowie pan tylko za próbę obrabowania domu w Saddle River, przy której pana złapano. Tak to widzę.

Tony nie spuszczał z niego wzroku i kiwał głową.

– Słuchając, jak pan o tym mówi, myślę, że gra jest uczciwa.

– Oczywiście, musi pan powiedzieć mi wszystko, co pan wie. Tylko wtedy będę mógł podjąć decyzję, czy powołać pana na świadka. Nie chcę żadnych niespodzianek, jeśli będzie pan zeznawać. Gdyby starał się pan mnie przechytrzyć, wniesiemy także akt oskarżenia o ukradzioną bransoletkę. Czy to jasne?

– To proste. Niech pan powie tej babeczce, żeby się nie martwiła. Jestem jej nowym najlepszym przyjacielem.

Maynard szczegółowo wypytał Tony’ego o wszystko, co tamten powiedział policji i prokuratorowi. Potem spytał go, czego nie powiedział prokuratorowi.

– Mówi pan, że widział samochód odjeżdżający w środku nocy spod domu. Jaki to był samochód?

– Luksusowy mercedes. Może dwuletni.

– Jakiego koloru?

- Było ciemno, ale wyglądał na czarny.
- Widział pan kierowcę?
- Widziałem kogoś za kierownicą, ale nic więcej.
- A tablice rejestracyjne?
- Tablice z Jersey. Jestem tego pewny.
- Zauważył pan jakieś cyfry lub litery na tablicy?
- Nie, było zbyt ciemno.
- Co pan potem robił?

– Zrobiłem to, po co przyszedłem. Wszedłem przez okno i wyjąłem bransoletkę z sejfów. Porozmawiałem z tą babeczką, myjąc jej wymyślne okna. Całkiem miła kobitka. Potem gadałem z gosposią. Byliśmy tam przez dwa dni. Gosposia powiedziała nam, że możemy zostawić nasz sprzęt gdziekolwiek na górze, ponieważ wszyscy śpią na parterze. Nie wierzyłem własnemu szczęściu. Kiedy wróciłem, by dostać się do sejfu, wiedziałem, że nikogo nie będzie na górze.

Maynard zdawał sobie sprawę, że powołanie Tony'ego na świadka jest ryzykownym ruchem, ale to ryzyko mogło się okazać opłacalne. Wiedział także, że jeśli go nie podejmie, Betsy najpewniej zostanie skazana.

– Panie Sharkey, będę usilnie namawiał swoją klientkę, żeby się zgodziła na pana powołanie. Jestem przekonany, że posłucha mojej rady. Zaraz do niej zadzwonię. Również do prokuratora. Uzgodniliśmy, że jeśli będzie pan zeznawał, natychmiast powiadomimy sędziego i zostanie pan po południu przewieziony do sądu, żeby mógł pana przepytac. Nie chce pan adwokata, więc sędzia będzie chciał z panem porozmawiac.

– Oczywiście. Czytałem w gazecie, że to sędzia Roth. Znów się z nim przywitam. To on wydał mój ostatni wyrok. Cztery lata.

– Do zobaczenia, Tony.

Maynard dał znak stojącym za drzwiami funkcjonariuszom, że chce wyjść. Natychmiast zatelefonował do Betsy.

– Przyjeżdż tutaj o dwunastej trzydzięci i spotkaj się ze mną na parkingu. Porozmawiamy w samochodzie. Zaraz zadzwonię do prokuratora, potem do sędziego. – Zamilkł na chwilę. – Betsy, nie licz na zbyt wiele. Co prawda, uważam, że facet mówi prawdę. Ale on niewątpliwie pochodzi z nizin społecznych. Trudno przewidziec reakcję przysięgłych.

– Dobrze – odparła. – Zaryzykuję. Może to moja jedyna szansa. Jak myślisz?

– Zgadza się. Jeszcze jedno, Betsy. Znasz kogoś, kto jeździ stosunkowo nowym czarnym mercedesem z tablicami rejestracyjnymi z New Jersey?

– Tak. – Milczała chwilę. – Kent Adams i Scott Clifton mają czarne mercedesy. Ale przypuszczenie, że któryś z nich mógłby skrzywdzić Teda, byłoby absurdalne. Zresztą w tej okolicy wiele osób ma takie samochody.

– Do zobaczenia, Betsy – skwitował niezbyt optymistycznie nastawiony

Maynard.

O godzinie pierwszej Elliot Holmes i Robert Maynard mieli spotkanie z sędzią Rothem w jego gabinecie. Betsy Grant w towarzystwie asystenta Maynarda czekała na korytarzu. Miała na głowie chusteczkę, która zasłaniała częściowo twarz. Na ten dzień sędzia ogłosił przerwę w obradach, mogła zatem wejść do gmachu sądu razem z Robertem Maynardem, nie przyciągając niczyjej uwagi. Okazało się jednak, że jej anonimowość nie miała trwać długo.

Tony Sharkey siedział w celi znajdującej się obok sali sądowej. Rozmawiał z funkcjonariuszami z biura szeryfa, jego głos słychać było w innych celach, gdzie inni oskarżeni ze swoimi adwokatami czekali na rozprawę. Przechwalał się, że powie sędziemu coś, co „rozwali ten cały proces Betsy Grant”.

W gmachu sądu zaczęła krążyć wiadomość, która szybko dotarła do pokoju dziennikarzy, że za chwilę wydarzy się coś ważnego.

O wpół do drugiej otworzono drzwi do sali sądowej. Betsy Grant, w otoczeniu kilkunastu osób, wśród których był także dziennikarz sądowy, weszła wolnym krokiem do środka, ignorując wykrzykiwane w jej stronę pytania, dlaczego tu jest. Prokurator i zespół obrony zajęli już swoje miejsca. Betsy usiadła obok Roberta Maynarda i oparła złożone dłonie na stole. obrońca poklepał ją lekko po ramieniu, potem przeglądał notatki. Wszyscy czekali na sędziego.

Po dwóch minutach pojawił się sędzia Roth.

– W sprawie stan New Jersey przeciwko Betsy Grant – powiedział poważnym tonem – odnotowuję, że na sali sądowej obecni są adwokaci oraz oskarżona. Pragnę też zaznaczyć, że w dniu dzisiejszym była przewidziana przerwa w rozprawie. Wczoraj obrona zakończyła przedstawianie dowodów, a mowy końcowe miały być wygłoszone jutro, począwszy od dziewiątej rano. Teraz chciałbym podać do protokołu wydarzenia ostatnich kilku godzin. Dzisiaj o godzinie jedenastej czterdzieści pięć za pomocą połączenia konferencyjnego skontaktowały się ze mną obie strony postępowania. Poinformowano mnie, że mniej więcej o pierwszej w nocy podczas przypuszczalnej próby włamania został aresztowany przez policjantów z Saddle River niejaki Tony Sharkey. Powiadomiono mnie również, że pan Sharkey najpierw został przesłuchany przez policję, kilka godzin później przez prokuratora Holmesa, a następnie przez pana Maynarda. Jego obecnym miejscem pobytu jest więzienie hrabstwa Bergen. Po rozmowie z obiema stronami postępowania wyznaczyłem nadzwyczajną rozprawę, żeby odnieść się do zaistniałej sytuacji. Panie Maynard, teraz oddaję panu głos.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. W ciągu ostatnich kilku godzin zaszło wiele niespodziewanych wydarzeń i pojawiły się dowody o przełomowym znaczeniu dla

obrony mojej klientki. Usilnie prosimy Wysoki Sąd o pozwolenie na wznowienie procesu i powołanie pana Sharkeya na świadka oraz o ponowne przesłuchanie Carmen Sanchez i Betsy Grant. Proszę pozwolić na przedstawienie krótkiego zarysu ich zeznań.

– Zgadza się – odparł sędzia Roth.

– Pan Sharkey zezna, że w noc morderstwa był w domu doktora Granta i Betsy Grant. Przyzna, że się tam włamał. Powie, jak udało mu się rozbroić alarm, kiedy dwa dni przedtem mył tam okna, pracując dla firmy sprzątającej. Gdy został aresztowany w Saddle River, wyraził zgodę, a nawet nalegał, by policja pojechała do jego mieszkania w Moonachie i zabrała stamtąd brylantową bransoletkę, którą ukradł z rezydencji Grantów w noc śmierci doktora. Zezna także, że kiedy zbliżał się do domu, chcąc do niego wejść, zobaczył wyjeżdżającego zza budynku czarnego mercedesa. Była wtedy według niego druga w nocy. Ponadto kiedy Carmen Sanchez dowiedziała się o tych niespodziewanych wydarzeniach, powiedziała mi po raz pierwszy – również Betsy Grant dowiedziała się o tym po raz pierwszy – że zauważyła brud na dywanie w głównej sypialni tego ranka, kiedy znaleziono martwego doktora Granta. Plamy widniały poniżej okna, przez które, jak sam zezna, wszedł do pokoju Tony Sharkey. Betsy Grant zezna, że nie zgłosiła ubezpieczycielowi zaginięcia bransoletki, bo rzadko ją nosiła i dopiero kilka miesięcy po śmierci męża zorientowała się, że jej nie ma. Zarówno ona, jak i Carmen Sanchez zeznają, że długo szukały bransoletki, by wreszcie dojść do wniosku, że chory na alzheimera doktor Grant prawdopodobnie ją wyrzucił. Wysoki Sądzie, od chwili zatrzymania w Saddle River kilkakrotnie przypominano Tony’emu Sharkeyowi prawo Mirandy. Stanowczo nie zgadza się on na adwokata z urzędu. Rozumiemy, oczywiście, że Wysoki Sąd przesłucha go, zanim zacznie składać zeznania.

– Panie Holmes? – sędzia Roth zwrócił się do prokuratora.

– Wysoki Sądzie, przesłuchiwałem już pana Sharkeya. Zażądał obietnicy wyroku z zawieszeniem w zamian za swoje zeznania, które zresztą uważam za kłamliwe. Rozumiem, że biorąc pod uwagę olbrzymie konsekwencje wyroku skazującego za morderstwo pierwszego stopnia, Wysoki Sąd jest zmuszony do dopuszczenia tych zeznań. Utrzymuję jednak, że pan Sharkey jest kłamcą. Chętnie sam go przesłucham. Jeśli chodzi o Carmen Sanchez i Betsy Grant, również chętnie je przesłucham.

– Proszę wprowadzić pana Sharkeya. – Sędzia Roth zwrócił się do stojącego przy drzwiach celi funkcjonariusza z biura szeryfa.

Na sali sądowej rozległy się szepty, kiedy wprowadzano Tony’ego w kajdankach i posadzono go przy stole obrony.

– Proszę o ciszę – powiedział sędzia surowym tonem.

– Panie Sharkey, proszę wstać.

– Jasne, panie sędzio. Pamięta mnie pan? Jak leci?

– Ile ma pan lat, panie Sharkey?

– Trzydzieści siedem. Skończę trzydzieści osiem w przyszły wtorek.

– Jak długo chodził pan do szkoły?

– Odpadłem w dziesiątej klasie. – Tony zachichotał. – Nigdy nie odrabiałem lekcji.

– Panie Sharkey, rozumiem, że chce pan zeznawać w tej sprawie jako świadek obrony. Czy tak?

– Tak, panie sędzio. Wiem, że ta ładna pani nie zabiła swojego męża.

– Panie Sharkey, czy pan rozumie, że nie musi pan zeznawać? Zgodnie z piątą poprawką do konstytucji może pan odmówić zeznań, które by również pana obciążały. Żadna ze stron nie może powołać pana na świadka bez jego zgody. Czy pan to rozumie?

– Tak, panie sędzio. W ostatnich latach często cytowano mi prawo Mirandy.

– Czy pan rozumie, że gdyby pan tego chciał, miałby adwokata z urzędu, z którym mógłby przedyskutować kwestię zeznawania czy też odmowy zeznań w tym procesie?

– Nie chcę żadnego adwokata. Sam sobie lepiej poradzę.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że postawiono panu zarzut usiłowania włamania w Saddle River, mogą także obciążać pana zarzuty za włamanie lub posiadanie skradzionego przedmiotu, czyli bransoletki przypuszczalnie zrabowanej z domu Grantów w Alpine? Czy pan wie, że pana zeznania w tym sądzie mogą być użyte przeciwko panu i że za każdy z tych zarzutów grozi panu pięć lat więzienia, czyli łącznie dziesięć lat?

– Wiem. – Tony z trudem przełknął ślinę.

– Czy pan również rozumie, że prokurator niczego panu nie obiecuje? Wręcz przeciwnie, chce w pełni rozliczyć pana ze wszystkich zarzutów. Czy pan to rozumie?

– Tak, ale myślę, że zmieni zdanie – stwierdził Tony, a Elliot Holmes spojrział na niego z wściekłością.

– Jeśli jednak nie zmieni zdania, a na to się zanoszą, czy pan rozumie, że może pana czekać długi pobyt w więzieniu?

– Tak, panie sędzio. Wiem, że ryzykuję.

– Jestem zadowolony – powiedział sędzia Roth po chwili milczenia – że pan Sharkey postanowił zeznawać z własnej woli, mając pełną świadomość swoich praw. Ma trzydzieści siedem lat, chodził do liceum, ale nie ukończył szkoły i przez wiele lat był zamieszany w kryminalną działalność. Wspominam jego przeszłość, by podkreślić, że pan Sharkey zna wszystkie procedury i swoje konstytucyjne prawa. Wielokrotnie mu powtarzano, że może natychmiast dostać adwokata. Nie życzy sobie jednak tego. Ma prawo zrzec się pomocy adwokata. Moim

obowiązkiem jest dopilnowanie, by każda decyzja, jaką podejmie, była dobrowolna i świadoma. Te warunki zostały spełnione. Pan Sharkey może zeznawać.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. – Robert Maynard ponownie wstał z miejsca. – Proszę również Wysoki Sąd o zrozumienie mojej sytuacji. Okazało się, że w bardzo krótkim czasie mam powołać pana Sharkeya na świadka oraz przesłuchać ponownie panią Grant i panią Sanchez. Wiem, że jutro rano mieliśmy wygłosić mowy końcowe. Usilnie proszę o dodatkowy dzień na przygotowania i o wznowienie obrad pojutrze, czyli w czwartek.

Zirytowany Elliot Holmes zaprotestował, lecz uspokoił się po chwili.

– Wysoki Sądzie, jestem gotów do wygłoszenia mowy końcowej w dniu jutrzejszym, ale dostosuję się do decyzji Wysokiego Sądu.

– Nie lubię przetrzymywać ławy przysięgłych – odparł sędzia – ale mamy bezprecedensową sytuację. Moi urzędnicy skontaktują się z każdym przysięgłym, by przekazać informację o jednym dniu zwłoki. Wznowimy obrady pojutrze o dziewiątej rano. Ławie przysięgłych nie zostaną udostępnione żadne nowe informacje. Byli wielokrotnie pouczeni, że nie wolno im czytać gazet ani śledzić wiadomości z procesu w innych mediach. Jestem przekonany, że dzisiejsze posiedzenie zostanie szeroko skomentowane w mediach. To wszystko.

Doktor Scott Clifton przyjechał do kliniki w Fort Lee, gdzie kiedyś pracował razem z Tedem Grantem i Kentem Adamsem. Teraz był tu jedynym lekarzem, a jego poczekalnia świeciła pustkami.

Senator Brian McElroy miał pojawić się na pierwszą wizytę o dziewiątej, a była już za pięć dziewiąta. Wszyscy nowi pacjenci powinni przychodzić przynajmniej dwadzieścia minut wcześniej, by wypełnić różne formularze.

W klinice siedziała tylko jego nowa recepcjonistka, Heidi Groner. Nawet jej nie pozdrowił, tylko od razu przeszedł do pytań.

– Czy odzywał się senator McElroy? Dlaczego jeszcze nie przyszedł?

– Telefonował wczoraj wieczorem i nagrał się na automatyczną sekretarkę. Odwołał wizytę – odparła Groner nieśmiało.

– Czy podał jakiś powód?

Recepcjonistka wahała się chwilę. Miała dopiero dwadzieścia dwa lata, a wyglądała jeszcze młodziej.

– Powiedział, że biorąc pod uwagę, jak zakończyła się operacja jego przyjaciela, nie pozwoliby się panu do siebie zbliżyć nawet na kilometr.

Scott popatrzył na nią z wściekłością.

– Przepraszam, panie doktorze, ale pan o to spytał.

Scott odwrócił się, wszedł do swojego gabinetu i zamknął z trzaskiem drzwi. Został mi tylko jeden pacjent na dzisiejszy dzień, pomyślał z goryczą. A był przekonany, że jest w dobrej formie tamtego ranka, kiedy operował Darrella Hopkinsa.

Senator Brian McElroy był wschodzącą gwiazdą na scenie politycznej New Jersey. To fatalny zbieg okoliczności, że znał Darrella Hopkinsa, któremu Scott przed miesiącem operował kolano. Wiedział, że operacja nie poszła mu najlepiej. Niezręcznie wstawił protezę stawu kolanowego i wywiązała się infekcja. Powtórna operację przeprowadził inny ortopeda, doktor Kent Adams.

Klinika znalazła się na skraju bankructwa. Koszty jej prowadzenia były ogromne. Płacił wysoki czynsz, coraz bardziej kosztowne ubezpieczenie od błędów lekarskich, zatrudniał pielęgniarkę, technika rentgenologa w niepełnym wymiarze godzin i recepcjonistkę na pełnym etacie, która umawiała wizyty i zajmowała się robotą papierkową.

Zadzwoił telefon na biurku i zaraz usłyszał głos Heidi Groner z interkomu:

– Panie doktorze, dzwoni pana była żona.

Scott ze złością podniósł słuchawkę. Karen mnie wykończy. Westchnął tylko.

– Ile teraz chcesz? – spytał matki trójki swoich dzieci.

Po południu miał spotkanie z dziennikarzem z „Washington Post”, który prowadził wywiady z lekarzami na temat problemów z narkotykami w New Jersey. Ostatnią rzeczą, jaką Scott chciałby robić, była rozmowa z dziennikarzem, ale Jonathan Cruise powiedział mu przez telefon, że rozmawiał już z położnikiem, doktorem Mariem Iovino, na temat wpływu narkotyków na nienarodzone dziecko, oraz doktorem Neilem Carpenterem, reumatologiem, w sprawie uzależnień od środków przeciwbólowych. Obaj byli wysoce cenionymi specjalistami i Scott nie widział powodu, by odmówić spotkania.

Za dziesięć trzecia znów usłyszał w swoim gabinecie głos Heidi.

– Pan Cruise chce się z panem zobaczyć. Przepraszam, że przyszedł wcześniej, ale mu powiedziałam, że nie jest pan zajęty i nie ma pan pacjentów na popołudnie.

– Niech wejdzie – warknął Scott.

Na widok Jonathana Cruise’a przybrał miły wyraz twarzy. Z góry wiedział, co ma mu powiedzieć. Przez pół godziny tłumaczył, że niektórzy ortopedzi rutynowo zapisują pacjentom po operacji środki przeciwbólowe.

– Musimy być bardzo ostrożni i dobrze się zastanowić, czy mamy odnowić receptę czy też nie. Jesteśmy czujni w stosunku do wszystkich pacjentów, lecz szczególnie gdy chodzi o młodych, którzy łatwo mogą się od tych środków uzależnić. To na nas spoczywa cała odpowiedzialność. My, ortopedzi, doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

Jon odniósł wrażenie, że ten dobiegający sześćdziesiątki przystojny lekarz dba o swoich pacjentów. Jednak kiedy po raz drugi przechodził przez pustą poczekalnię, wydawało mu się, że idzie przez zgliszcza. Ciekawe, ilu pacjentów przeszło do doktora Adamsa, kiedy zaczęli prowadzić oddzielne praktyki, pomyślał.

Kiedy Cruise wyszedł z kliniki, Scott wyładował złość na recepcjonistce.

– Panno Groner, jest oczywiste, że pani jeszcze nie dojrzała do tej pracy – oznajmił. – Kiedy zadzwoniła moja pierwsza żona, nie powinna pani mówić o niej jako o „byłej”. Gdy mam gościa, nie należy informować go o przyjętych tego dnia pacjentach. Jest pani zwolniona ze skutkiem natychmiastowym. Otrzyma pani wynagrodzenie jeszcze za następny tydzień, dostanie pani czek mailem.

Heidi Groner sama już chciała rzucić tę pracę. Nie miała prawie nic do roboty, poza tym serdecznie nie znosiła doktora Scotta Cliftona. Wstając od biurka, wsunęła do kieszeni wizytówkę, którą zostawił jej dziennikarz.

Wiele mogłabym mu powiedzieć, pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Od rozpoczęcia procesu Alan Grant schudł pięć kilogramów. Składanie zeznań w sądzie było dla niego wstrząsającym doświadczeniem. Kiedy patrzył na Betsy, siedzącą ze swoimi adwokatami, zastanawiał się, jak by się czuł, będąc na jej miejscu. Dlaczego tata nie mógł umrzeć na atak serca? Dlaczego musiało aż do tego dojść?

Zaproponowano mu wyjazd do Gruzji na prestiżową i bardzo dobrze płatną sesję dla pisma „Happening”. Fotografą, który miał ją zrealizować, zatrzymało bowiem w Buenos Aires niespodziewane zlecenie.

Alan wiedział, że chociaż to była praca za duże pieniądze, których bardzo potrzebował, musi odrzucić tę propozycję. Jako świadek powinien się liczyć z powtórным wezwaniem do sądu, choć nie wolno mu było przychodzić na rozprawę. Natomiast gdy ława przysięgłych zakończy obrady, będzie mógł się pojawić na ogłoszeniu wyroku. Uznają ją za winną, obiecywał sobie. Nie wywinie się z tego. Wtedy nastąpi koniec tego koszmaru.

Alan był teraz na krawędzi załamania nerwowego. Każdej nocy w śnie widział tłuczek miażdżący czaszkę ojca. Docierały do niego też inne wydarzenia. Obaj rozpaczają nad grobem matki. Ojciec kupuje mu mieszkanie. Także najlepszy sprzęt fotograficzny. Ojciec cieszy się, kiedy prace Alana są wysoko oceniane.

Kiedy się budził, cały dygotał. Problem polega na tym, myślał, że chociaż jestem w tym dobry, to nienawidzę fotografowania. Gdy dostanie spadek, zastanowi się, co robić. Nie chciał już mieć długów i wierzycieli na karku. Od lat nie płacił też podatków. A właśnie dostał pismo z urzędu skarbowego z żądaniem natychmiastowego wyjaśnienia sprawy.

Presja jest zbyt wielka, pomyślał. Kiedy Betsy zostanie skazana, od razu zgłoszę się do sądu, by dano mi zaliczkę na spłatę długów.

Chociaż starał się myśleć pozytywnie, nie opuszczały go nocne koszmary.

O czwartej nad ranem wziął dwa proszki nasenne, a może trzy? Spał do drugiej po południu. W kuchni włożył dwa tosty do opiekacza i włączył mały odbiornik telewizyjny. Gdy usłyszał „nowe wydarzenia w procesie Betsy Grant”, pogłośnił telewizor. Doznał szoku na wiadomość, że ostatnio aresztowany za włamanie mężczyzna twierdzi, iż widział samochód wyjeżdżający z terenu posiadłości Grantów o drugiej w nocy, tej samej, kiedy zamordowano jego ojca.

Panie Cruise – zaczęła zalotnym tonem – mam nadzieję, że mnie pan pamięta. Widzieliśmy się wczoraj w klinice doktora Scotta Cliftona. Dał mi pan wtedy swoją wizytówkę.

– Tak, pamiętam. W czym mogę pani pomóc?

– Nie chcę tego załatwiać przez telefon. Chciałabym się z panem spotkać. Mam bardzo interesujące informacje, które powinien pan poznać.

– Chętnie się z panią umówię. Może wybierze pani jakieś miejsce w Fort Lee w pobliżu swojej pracy?

– Nie pracuję już w Fort Lee. Zaraz po pana wyjściu zostałam zwolniona.

– Przykro mi – powiedział Jon.

Był coraz bardziej ciekaw, co może mu powiedzieć dawna recepcjonistka. Osoby wyrzucone z pracy są zwykle bardziej chętne do dzielenia się wiadomościami niż te, którym zależy na utrzymaniu swojego zajęcia.

– Gdzie pani chciałaby się spotkać?

– Mieszkam z rodzicami w Tenaflly. Clinton Inn jest w centrum miasta. Czy to panu odpowiada?

– Tak. Może dzisiaj o szóstej?

– Dobrze. Po tym, co panu powiem, będzie pan chciał zaprosić mnie na kolację.

Po zakończeniu rozmowy z Groner Jon zadzwonił do Delaney.

– Musimy przełożyć dzisiejsze spotkanie na późniejszą godzinę, Delaney – powiedział. – Przed chwilą zadzwoniła do mnie Heidi Groner, recepcjonistka, właśnie zwolniona z pracy przez doktora Cliftona. Twierdzi, że ma ważne informacje i chce się nimi podzielić. Nie wiem, o co jej chodzi. Może jest zła, że została wyrzucona z pracy, i chce odreagować. Według mnie jest trochę stuknięta.

– Jon, musisz się z nią zobaczyć – stwierdziła Delaney.

Miała zamiar podczas wspólnej kolacji wyznać Jonowi, że Betsy Grant i Peter Benson są jej rodzicami. Zrobi to później.

– Jon, nie mogę się jeszcze otrząsnąć ze zdumienia po usłyszeniu historii faceta aresztowanego w Saddle River, który twierdzi, że w noc morderstwa był w domu doktora Granta.

– To zaskakujący rozwój wypadków – stwierdził Jon.

– Wiem, że prokurator mu nie wierzy, ale adwokat Betsy chce powołać go na świadka. Jon, czy zdajesz sobie sprawę, co to może znaczyć dla Betsy Grant?

– Tak, i wiem, jak bardzo się zaangażowałaś w tę sprawę. Pamiętaj jednak, że jest wielu świrów, którzy chcą się znaleźć w świetle reflektorów, a Tony

Sharkey może być jednym z nich. Tacy ludzie zrobią wszystko, by przyciągnąć do siebie uwagę.

– Masz rację – przyznała Delaney. – Myślę jednak, że coś w tym jest.

Lisa Clifton spotkała się w Morristown we wtorkowe popołudnie z agentem nieruchomości i znalazła czteropokojowe mieszkanie w nowym luksusowym budynku, za które była w stanie płacić czynsz. Właśnie czegoś takiego szukała, duże, jasne pomieszczenie z dwoma sypialniami.

Po podpisaniu umowy najmu odczuła ogromną ulgę. Po co tak długo tkwiłam w tym małżeństwie?, zadała sobie pytanie. Byłam nieszczęśliwa przez przynajmniej dwa lata. Teraz chcę się jak najszybciej uwolnić od niego. Jeszcze tylko kilka dni, pomyślała. Nie mogę się już doczekać, by opuścić ten ponury dom z jego nowoczesnymi meblami. Coraz trudniej było jej znieść obecność Scotta, który zrobił się nagle bardzo czuły. Poprzedniego wieczoru, kiedy przyjechała od Betsy, jedli kolację z przyjaciółmi. Tak często zwracał się do niej „kochanie”, że brzmiało to strasznie głupio. Czyżby się martwił, że kiedy się rozstaną, ona będzie żądać czegoś więcej, niż zawarli w umowie przedmałżeńskiej? Przecież na jego wyraźną prośbę zrezygnowała z bardzo dobrze płatnej pracy. Szkoda, że nie mogę mu powiedzieć, że nie ma się czym martwić, pomyślała. Nie chcę jego pieniędzy, chcę tylko wolności!

W drodze powrotnej usłyszała w radiu o złodzieju, który twierdzi, że był w domu Betsy tej nocy, kiedy zamordowano Teda, i który widział czarnego mercedesa wyjeżdżającego z terenu rezydencji. Zacisnęła ręce na kierownicy. Dobrze pamiętała tę noc. Gdy wrócili po przyjęciu urodzinowym, Scott powiedział jej, że tak bardzo zdenerwował się sceną w jadalni, iż teraz nie może iść spać. Kiedy zeszła na dół następnego ranka, spał na kanapie w jednym z pokoi. Wtedy nie wątpiła w jego tłumaczenie. Mówił, że dla uspokojenia wypił kilka drinków i dlatego zasnął na kanapie.

Tamtej nocy był zdenerwowany.

A oni mieli czarnego mercedesa.

Ale z jakiego powodu Scott miałby skrzywdzić Teda? Od lat już ze sobą nie współpracowali.

Powstało nowe pytanie. Gdy Ted rzucił się przez stół, myślała Lisa, ja siedziałam obok Scotta. Czy Ted chciał dopaść Scotta, a nie mnie? Czy pomimo zakłócenia umysłu pamiętał o czymś, co zrobił Scott, i to go doprowadzało do wściekłości?

Pogrążona w myślach Lisa zdziwiła się, że tak szybko dojechała do domu.

Była zaskoczona, widząc męża w salonie. Powitał ją czułym pocałunkiem.

– Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierałaś telefonu.

Lisa odczuła zimny dreszcz, kiedy przytulił ją do siebie.

– Zapomniałam zabrać komórki – mruknęła. – Byłam na zakupach. Teraz są wielkie wyprzedaże.

– Mam nadzieję, że na nich skorzystałaś. – Scott rozluźnił uścisk.

– Tak. Kupiłam dwa kostiumy, które wymagają drobnych przeróbek. Będą gotowe za tydzień.

A wtedy już mnie tu nie będzie, dodała w myślach.

Po spotkaniu z Kathleen Gerard Delaney wróciła do domu. Wczorajszy i dzisiejszy dzień spędziła na powtórny czytaniu notatek, które robiła na sali sądowej. Poza tym przejrzała sprawozdania z procesu na stronach internetowych, by się upewnić, że nie pominęła niczego, co mogłoby okazać się przydatne. Zanim zadzwonił Jon, zastanawiała się, czy skontaktować się z Lisą Clifton. Lisa stała po stronie Betsy, a Scott nie ukrywał do niej swojej niechęci. Jaki to ma wpływ na ich małżeństwo?

Czy w takiej sytuacji da się uniknąć napięć między małżonkami?, zadawała sobie pytanie. Może gdybym jej powiedziała, że Betsy jest moją matką, byłaby ze mną bardziej szczerą. Zawsze mogę spróbować, pomyślała. Trzeba próbować wszystkiego, co może pomóc Betsy, postanowiła.

Zdziwiła się, że w książce telefonicznej było tylko nazwisko Lisy Clifton w Ridgewood w New Jersey, ale nie było Scotta Cliftona. Czy to nie dziwne, że telefon rodziny jest na nazwisko żony, a może tak zwykle robią lekarze? Lisa odebrała telefon po pierwszym sygnale. Delaney nie wiedziała, że żona lekarza czekała na telefon z firmy przeprowadzkowej, by ustalić, o której przyjadą po meble w piątek rano.

Delaney przedstawiła się i od razu przeszła do rzeczy.

– Pani Clifton, z tego, co zaobserwowałam w sądzie, wnioskuję, jest pani po stronie Betsy Grant.

– Jestem i zawsze byłam. Musi być inne wytłumaczenie tego, co stało się tamtej nocy, i nawet mam pewne przypuszczenia.

– Pani Clifton, czy możemy się spotkać i porozmawiać?

– Jestem Lisa. Tak, możemy. Słuchałam twojej relacji z procesu, dobrze, że byłaś bezstronna. Dzisiaj nie mogę się z tobą zobaczyć. Po południu mam ważne spotkanie, a wieczorem idziemy na kolację z przyjaciółmi.

– Pani Clifton, Liso, proces dobiega już końca. Jeśli masz informacje, które mogą oczyścić Betsy Grant z zarzutów, błagam cię, żebyś je teraz ujawniła.

– To nie dowód, tylko odczucie. Chętnie spotkam się z tobą jutro.

– O której możemy...

– Przepraszam, muszę już iść. Zadzwoni do mnie jutro rano.

Delaney czuła się bezradna. Lisa uważa, że winien śmierci Teda Granta jest ktoś inny, choć nie ma na to dowodu. Mogła pomyśleć o Alanie Grancie. Łatwo go wytypować. Ale on ma żelazne alibi. Spędził noc ze swoją byłą dziewczyną, Josie Mason, w jej mieszkaniu. Z zapisu z kamer monitoringu wynikało, że w nocy nie opuszczał budynku. Delaney była ciekawa, czy Alan znów spotyka się z tą kobietą.

A może zapłacił jej, by mu pozwoliła zostać u siebie na noc?

Nie chciała zrezygnować z żadnego tropu i jeszcze raz przejrzała swoje notatki z procesu. Mason była fryzjerką u Louisa & Davida na East 50th Street. Znalazła numer telefonu i połączyła się z salonem fryzjerskim. Jej rozmówczynię rozzłościła wzmianka o Alanie, zgodziła się jednak, choć bardzo niechętnie, spotkać z Delaney na drinka o piątej. Mason zaproponowała, by umówiły się w barze Peacock Alley w hotelu Waldorf Astoria.

W popularnym lokalu było pełno ludzi. Tu zawsze panuje atmosfera beztroski, pomyślała Delaney. Gdybym tylko sama mogła tak się poczuć!

Josie czekała na nią przy małym stoliku w pobliżu baru. Delaney łatwo ją poznała, bo przedtem Josie Mason zeznawała na procesie. Była zgrabną blondynką, koło trzydziestki, z włosami do ramion. Miała na sobie białą bluzkę z dekoltem i czarne spodnie.

Delaney usiadła obok niej. Z bliska widać było, że gładka twarz Mason miała już do czynienia z botoksem. Drobne zmarszczki wokół ust sugerowały, że jest nałogową palaczką.

– Cześć, Josie, dziękuję, że zgodziłaś się na spotkanie – powitała ją Delaney, kiedy podeszła kelnerka przyjmując zamówienie. Mason piła już jabłkowe martini i Delaney też się na nie zdecydowała.

Po odejściu kelnerki Josie sięgnęła do torebki, ale nic z niej nie wyjęła i wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem tego głupiego zakazu, że nie można zapalić przy drinku. To doprowadza mnie do szału.

– Ja nie palę, ale niektórzy z moich przyjaciół też się irytują. – Delaney starała się być miłą.

– Podobają mi się twoje sprawozdania z procesu – stwierdziła Josie. – Jesteś bezstronna w przeciwieństwie do tych radiowych szaleńców, którzy uważają się za mądrzejszych od Boga i wciąż krzyczą, że Betsy Grant rozwalila głowę swojemu mężowi.

Opowieść pełna wrzasku i wściekłości, nic nieznacząca, Delaney przypomniał się cytat z Szekspira.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedziała.

– Ci faceci chcą przygwoździć Betsy Grant i robią to skutecznie – ciągnęła Josie. – Cały czas lamentują, że zabiła chorego, bezbronno męża, bo chciała być ze swoim nowym facetem. Widziałam jego zdjęcie w gazecie. Jest zachwycający. I jest wdowcem!

Mówi o moim ojcu, pomyślała Delaney i zaraz przeszła do najważniejszej kwestii.

– Alan zeznał w sądzie, że mieliście się spotkać na drinka około dziesiątej, kiedy on wróci z przyjęcia urodzinowego ojca.

– Tak mniej więcej było. – Josie wzruszyła ramionami.

– Co masz na myśli, mówiąc mniej więcej?

– Przez jakiś czas chodziłam z Alanem. Zrywaliśmy ze sobą. Potem ni stąd, ni zowąd dzwonił do mnie i znów się spotykaliśmy. Pół roku przed śmiercią jego ojca okropnie się pokłóciliśmy. Jest przystojny i szycowny, ale stale jęczał, że nie ma pieniędzy. Zaczęłam więc płacić rachunki. Koleżanki powiedziały mi, że jestem głupia, no i musiałam przyznać im rację. Oświadczyłam mu, że najpierw niech zarobi jakieś pieniądze i dopiero potem do mnie dzwoni. Po kilku miesiącach jednak znów zaczęliśmy się spotykać na kolacjach i takich tam. Na tydzień przed urodzinową kolacją w domu ojca powiedział, że z ciężkim sercem patrzy na tak chorego człowieka. Spytał, czy możemy spotkać się na drinka o dziesiątej, kiedy wróci z New Jersey.

– Umówiliście się na tamten wieczór?

– Tak, tylko na drinka. Przyszłam pierwsza. Na początku wszystko było okej, ale potem zupełnie się załamał. Był tak przygnębiony, że omal nie płakał. Powiedział mi, że czuje się okropnie samotny i pewnie ma załamanie nerwowe, martwi się o ojca i o macochę, a z ojcem jest coraz gorzej. Zapytał, czy może zostać ze mną, bo nie chce być sam.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem łasa na smutne historie, więc się zgodziłam.

– Josie – Delaney uważnie dobierała słowa – kamery monitoringu zarejestrowały, że około północy razem z tobą wchodził do budynku i wychodził o ósmej rano. Czy jesteś absolutnie pewna, że przez całą noc był w twoim mieszkaniu?

– Tak, był ze mną całą noc. Pół nocy płakał. Myślałam, że oszaleję.

– Czy często się z nim widywałaś przez ostatnie półtora roku po śmierci jego ojca?

– Czasami. Posłuchaj. On odziedziczył wielkie pieniądze. Kiedy już je dostanie i przestanie opowiadać o swoich kłopotach, to kto wie? Ale czy nie uważasz, że kiedy zwalniam się z pracy, żeby świadczyć w sądzie, by dać mu niezbite alibi na noc śmierci jego ojca, nie powinien przynajmniej zadzwonić i mi podziękować? Gdyby wrócił do swojego mieszkania, kto by mu uwierzył?

Potrząsnęła głową i dopiła martini.

– Przyda się powtórka – uznała, przywołując gestem kelnerkę.

Delaney chciała jak najszybciej wyjść. Alan z rozmysłem wykorzystał tę dziewczynę, by zapewniła mu alibi, ponieważ wiedział, że tamtego wieczoru ktoś zamorduje doktora Granta, wydedukowała.

Kiedy Delaney płaciła za drinki, Josie nagle wybuchnęła śmiechem.

– Śmieszna rzecz wydarzyła się tamtej nocy – parsknęła. – Dwa dni wcześniej wzięłam kota ze schroniska.

Mów, o co ci chodzi. Nie mam czasu na opowieści o zwierzątkach, pomyślała Delaney.

– Nie wiedziałam, że Alan ma alergię na koty.

– I mimo to został u ciebie?

– Tak, wziął kilka tabletek, ale i tak kichał przez całą noc.

– Mówiłaś o tym policji?

– Nie. Co policję mogą obchodzić czyjeś alergie?

Starając się nie okazywać zniecierpliwienia, Jonathan Cruise czekał w Clinton Inn w Tenafly na Heidi Groner. Była już piętnaście minut spóźniona i zastanawiał się, czy w ogóle przyjdzie. Pojawiła się jednak po upływie kolejnych pięciu minut.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała.

Jednak ani w jej głosie, ani w szerokim uśmiechu, jakim go powitała, nie było cienia skruchy. W klinice nosiła upięte włosy, teraz spadały jej luźno poniżej ramion. Miała staranny makijaż, tusz na rzęsach, a piwne oczy podkreślone konturówką.

Jon dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Heidi jest bardzo ładną dziewczyną, czego nie zauważył w klinice doktora Cliftona. Spodziewając się, że zjedzą razem kolację, postanowił najpierw porozmawiać z nią na ogólne tematy. Jednak ona od razu przeszła do rzeczy.

– Mówiłam panu, że zostałam wczoraj wylana z pracy?

– Tak. Przykro mi.

– Nie ma sprawy. I tak chciałam stamtąd odejść. To miejsce przypominało kostnicę. Na dzień przed pana wizytą u doktora Cliftona zadzwonił senator McElroy i zostawił na sekretarce wiadomość, że odwołuje swoją wizytę. Kilka tygodni wcześniej doktor Clifton operował jego przyjacielowi staw kolanowy. Zrobił to źle i facet musiał przejść powtórna operację.

– Takie rzeczy często się zdarzały?

– Byłam tam niedługo, więc trudno mi powiedzieć. Wiem jedno, on mógłby śmiało komuś wynająć swoją poczekalnię.

– Czego się pani napije? – spytał Jon, kiedy podszedł do nich kelner.

– Kieliszek chardonnay. Nie lubię mocnych trunków.

– Proszę dwa razy chardonnay. – Jon zamówił i wrócili do rozmowy.

– Wydaje mi się, że większość klinik boryka się z wysokimi kosztami własnymi – powiedział.

– To prawda. Początkowo zatrudnił mnie na cały etat. A pielęgniarkę i technika rentgenologa tylko na część etatu. On miał niewielu pacjentów i wykonywał za mało operacji, żeby móc nam płacić. Jestem pewna, że handluje prochami.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Ma telefon jednorazowego użytku. Wie pan, taki, na którym jest tylko określona liczba minut.

– Wiem, jaki to telefon.

– Ten telefon dzwonił dwa albo trzy razy dziennie. A w zeszłym tygodniu, kiedy drzwi od jego gabinetu były otwarte, usłyszałam, jak umawia się z kimś na parkingu w pobliżu kliniki.

– Myśli pani, że spotykał się z ludźmi, żeby sprzedawać im prochy?

– Tak. A przynajmniej recepty na prochy. Po co miałyby się spotykać z kimś na parkingu?

Jon przypomniał sobie pustki w klinice Scotta Cliftona.

– Najlepsze zostawiłam na koniec – powiedziała Heidi konspiracyjnym tonem. – Czytał pan o tym hollywoodzkim reżyserze, którego syn przedawkował w zeszłym tygodniu?

– Tak. Znam tę historię.

– Czy on nie miał na imię Steven?

– Rzeczywiście, tak miał na imię.

– Kiedy doktor Clifton rozmawiał w zeszłym tygodniu przez taki telefon, usłyszałam, jak mówił: „Do widzenia, Steven”.

Po kolacji z Heidi Groner Jon natychmiast pojechał do mieszkania Delaney. Była dziesiąta wieczorem. Zaraz mu powiedziała, że jej zdaniem Alan wykorzystał Josie Mason, by zapewnić mu alibi na noc, kiedy jego ojciec został zamordowany.

– To ma sens, prawda, Jon? Wydaje się czysty.

– Tak. Znaczy, że ktoś inny popełnił morderstwo. Chcę ci teraz powiedzieć, czego się dzisiaj dowiedziałem.

– Doktor Clifton zamieszany w handel narkotykami? – Delaney nie kryła zdumienia po wysłuchaniu jego relacji.

– Jest bardziej prawdopodobne, że sprzedawał recepty na legalne środki. Niektórzy farmaceuci, chociaż wiedzą, że lekarz wypisuje zbyt wiele recept, nie zgłaszają tego i nie zadają żadnych pytań. Z tymi receptami przychodzą narkomani i płacą gotówką. To świetna maszyna do robienia pieniędzy dla lekarza i dla farmaceuty.

– Dlaczego Scott miałby zabijać swojego dawnego wspólnika? Nie miał przecież żadnego powodu.

– Rzeczywiście nie miał. Chyba że jutro Tony Sharkey powie coś więcej, niż tylko że widział czarnego mercedesa. Nie sądzę, by jego zeznania pomogły Betsy Grant.

– A w piątek prokurator i Maynard mają wygłosić mowy końcowe, reszta zaś będzie należeć do ławy przysięgłych – powiedziała ze łzami w oczach.

Jonathan objął ją ramieniem.

– Co z tobą, Delaney? Zadziwiasz mnie. Robiłaś sprawozdania z wielu procesów, nie mogę pojąć, dlaczego tak emocjonalnie traktujesz ten.

Nadszedł czas, by mu powiedzieć.

– Jon, jak byś się czuł, gdybyś się nagle dowiedział, że Betsy Grant jest twoją matką?

Proces został wznowiony w czwartek rano. Do sali pełnej dziennikarzy i widzów wszedł sędzia i polecił, by wprowadzono przysięgłych. Kiedy zajęli miejsca, zaraz zwrócił się do nich.

– Panie i panowie, mówiłem wam w poniedziałek, że dzisiejszego ranka strony będą wygłaszać swoje mowy końcowe. Ale dowiedziałem się we wtorek, że w związku z nowymi wydarzeniami obrona chce wznowienia postępowania, na co wyrażam zgodę. Będzie wezwana osoba, która dotychczas nie zeznawała, Tony Sharkey, zamieszkały w Moonachie. Jeśli ktoś zna tę osobę, proszę o podniesienie ręki. – Sędzia umilkł na chwilę. – A więc nikt go nie zna. Pan Maynard wezwie także Carmen Sanchez, która już przedtem zeznawała, oraz Betsy Grant, która także już zeznawała. Panie i panowie, najpierw pan Maynard przepytta tych świadków, potem prokurator Holmes zweryfikuje ich zeznania. Po przesłuchaniach obrona ponownie zakończy przedstawianie swojego stanowiska. Po przerwie, która potrwa do jutrzejszego rana, strony wygłoszą swoje mowy końcowe. Potem otrzymacie ode mnie odpowiednie instrukcje i będziecie mogli rozpocząć obrady. Panie Maynard, proszę wezwać swojego pierwszego świadka.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Obrona wzywa Tony’ego Sharkeya.

Stojąc w drzwiach celi, Tony Sharkey rozglądał się po sali sądowej. Miał na sobie garnitur i krawat, rzeczy kupione w pośpiechu przez asystentów Maynarda. Towarzyszyło mu dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfa. Po zaprzysiężeniu usiadł na krześle dla świadka.

Maynard najpierw spytał Tony’ego o wiek, adres oraz zatrudnienie przy myciu okien.

– Panie Sharkey, kiedy i gdzie widziałem się z panem po raz pierwszy?

– We wtorek. W pudle. To znaczy w więzieniu.

– Czy poprzedniego wieczoru został pan aresztowany w Saddle River?

– Tak. Złapali mnie podczas włamania. Gliniarz zobaczył mnie na balkonie.

– Zabrano pana do komisariatu?

– Tak. Rozmawiałem tam z detektywem. Powiedziałem mu, że mam dla niego dobrą wiadomość.

– Czy policjanci, na pana prośbę i za pana zgodą, pojechali do pana mieszkania w Moonachie?

– Tak. Wysłałem ich do swojego domu. Wzięli mój klucz.

– Czego tam szukali?

– Powiedziałem im, że bransoletka, którą w zeszłym roku zabrałem z domu Grantów w Alpine, tej samej nocy, kiedy rąbnięto doktora, jest w łazience pod

obluzowaną płytką.

Na twarzy Betsy pojawił się grymas, kiedy Tony mówił, że „rąbnięto” jej męża.

– Panie Sharkey, pokazuję panu bransoletkę oznaczoną jako dowód rzeczowy 10. Czy ta bransoletka była pod płytką?

– Tak, bez wątplenia. Są na niej inicjały T.G. i B.G. Przywieźli ją na komisariat, a detektyw zaraz mi ją pokazał.

– Co pan powiedział detektywowi?

– Powiedziałem, że nie wierzę, by ta miła pani zabiła swojego męża. Zanim doszedłem do budynku, zobaczyłem czarnego mercedesa, wyjeżdżał stamtąd.

– Która była wtedy godzina?

– Druga, może druga trzydzieści w nocy. Zastanawiałem się, co się tam, do cholery, dzieje.

– Co się potem wydarzyło?

Przysięgli słuchali jak zahipnotyzowani, kiedy Tony opowiadał o myciu okien w domu Grantów, o tym, jak rozbroił alarm i zabrał bransoletkę.

– Panie Sharkey, dlaczego zabrał pan z sejfu tylko jedną bransoletkę?

– Kiedy wykonuję swoją robotę, biorę tylko jeden lub dwa wartościowe przedmioty. Wtedy nikt się nie domyśla, że ktoś wszedł do domu. Gdy odkryją brak tych rzeczy, nie zawiadamiają gliniarzy, bo myślą, że zapomnieli odłożyć je na miejsce. Nie zgłaszają też tego, bo policjanci czołgaliby się po całym domu, szukając odcisków palców.

– Panie Sharkey, czy obiecano panu cokolwiek za składanie tych zeznań?

– Nie. Nie dostaję niczego od prokuratora. Tylko pan powiedział mi, że ta urocza pani puści w niepamięć kradzież bransoletki.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

– Pana kolej, prokuratorze – powiedział sędzia.

– Panie Sharkey, ma pan za sobą już sześć wyroków za poważne przestępstwa, czy to się zgadza?

– Taa. Nie jestem z tego dumny. Moja matka na pewno też nie.

– Wie pan także, że sędzia może poinstruować przysięgłych, iż mogą brać pod uwagę pana wcześniejsze wyroki, kiedy będą oceniać wiarygodność pana zeznań. Innymi słowy, czy będą panu wierzyć.

– Wiem. Już przez to przechodziłem.

– Panie Sharkey, kiedy spotkał mnie pan po raz pierwszy?

– Wcześniej rano we wtorek. Wyglądał pan na zadowolonego z naszego spotkania.

– Ujawnił mi pan też część swoich dzisiejszych zeznań, czy tak?

– Tak.

– Kiedy jednak prosiłem pana o opisanie samochodu, który ponoć pan

widział, gdy odjeżdżał spod domu, to nie chciał mi pan tego powiedzieć. Mam rację?

– Tak było.

– W efekcie chciał pan, żebym obiecał mu wyrok w zawieszeniu za jego zeznania, zanim ujawni pan więcej szczegółów. Tak było?

– Tak. Uważałem, że to będzie w porządku, jeśli potem miałem być w sądzie.

– A ja powiedziałem panu, na podstawie tego, co mi pan ujawnił, że niczego nie obiecuję, natomiast pociągnę pana do odpowiedzialności za próbę włamania w Saddle River oraz kradzież w domu Grantów, nawet jeśli teraz pani Grant przebacza panu, ponieważ próbuje pan pomóc jej wykręcić się z oskarżenia o morderstwo. Zgadza się?

– Na to wygląda.

– Mówi pan, że ukradł bransoletkę w marcu zeszłego roku. Czy tak?

– Tak. To było wtedy.

– Panie Sharkey, zapoznałem się z raportami z pana spraw sądowych. Czyż nie jest pan uzależniony od hazardu, a myciem okien zajmuje się tylko sporadycznie?

– Nie zaprzeczę, że kiedy mam trochę gotówki, od razu jadę do Atlantic City. Pracuję w firmie myjącej okna, tylko kiedy znajdą dla mnie robotę. Nie mają tam dużo zleceń.

– Dlaczego więc jeśli brakuje panu pieniędzy, przez cały czas trzymał pan tę bransoletkę? Dlaczego nie sprzedał jej pan paserowi, by dostać tysiące dolarów?

– Ponieważ myślałem, że mogę znaleźć się w potrzasku, tak jak teraz. Chciałem jej użyć, by zmniejszyć sobie wyrok.

– Czyli jest pan tutaj tylko po to, żeby sobie pomóc. Zgadza się?

– Tak. Ale mówię prawdę o tym zdarzeniu.

– Jednak gdyby nie został pan aresztowany ostatniej nocy w Saddle River, nie byłby pan tutaj tak bardzo przejęty sprawą Betsy Grant, czy mam rację?

– Nie, nie mogę powiedzieć, że bym tu był. Jednak zawsze jej współczułem, od czasu kiedy została aresztowana.

– Panie Sharkey, nie może pan udowodnić, że był w domu Grantów dokładnie tamtej nocy. Prawda?

– Nie. Ale ustalmy coś. Myłem tam okna dwa dni wcześniej. Wiem, że firma wysłała wam te informacje. Mam bransoletkę. Sprawdźcie też alarm. Jest starszy ode mnie. Każdy mógł go załatwić.

– A pan zobaczył przypadkiem tajemniczy samochód odjeżdżający spod domu?

– Żaden tajemniczy. Było ciemno. Powiedziałem panu, co widziałem.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Tony opuścił miejsce dla świadka z poczuciem, że nie wypadł dobrze na tym przesłuchaniu. Robert Maynard odniósł podobne wrażenie.

– Pani Maynard, proszę wezwać następnego świadka – powiedział sędzia.

– Obrona wzywa Carmen Sanchez.

Carmen podeszła wolnym krokiem do miejsca dla świadka. Sędzia przypomniał jej, że została już wcześniej zaprzysiężona i że przysięga nadal ją obowiązuje. Maynard wypytał ją o brudną plamę na dywanie i o to, jak razem z Betsy szukały bransoletki.

Potem ruszył do ataku Elliot Holmes.

– Pani Sanchez, pomówmy o rzekomej plamie na dywanie. Jak sama pani twierdzi, wykonuje pani swoje obowiązki dokładnie i bardzo skrupulatnie. Czyż nie?

– Jeśli chce pan powiedzieć, że dobrze sprzątam, to tak.

– Mówi pani, że zobaczyła plamę na dywanie tego ranka, kiedy odkryto zwłoki doktora?

– Tak. Ale byłam wtedy okropnie zdenerwowana.

– Mówi pani także, że dzień lub dwa wcześniej czyściła tam pani wszystko i sprzątała odkurzaczem?

– Tak. Dlatego byłam zdumiona.

– Pani Sanchez, jest pani w bliskich stosunkach z Betsy Grant, prawda?

– Tak. Ona jest dobra dla mnie.

– Chyba się nie mylę, że bardzo pani na niej zależy?

– Tak. Tak. Bardzo.

– Czy aresztowano ją za zamordowanie męża w dwa tygodnie po jego śmierci?

– Tak. Bardzo mi było smutno.

– Wiedziała pani, że tamtej nocy była w domu sama z mężem, czyż nie?

– Tak. Wiedziałam o tym.

– Jednak wierzyła pani, że zrobił to ktoś inny, prawda?

– Tak. Tak.

– To znaczyłoby, że ktoś w nocy wszedł do domu, mam rację?

– Tak myślę. Nie wiem, co się stało.

– Nigdy nie przyszło pani do głowy powiedzieć o zabrudzonym dywanie, co mogło być sprawką nieznanego intruza?

– Nie. Nie wiem dlaczego. Nie wiem. Pomyślałam o tym, kiedy zeznawałam, ale sędzia powiedział, żeby odpowiadać tylko na pytania.

– Ale później nie wspomniała pani o tym ani pani Grant, ani panu Maynardowi, dopóki przed dwoma dniami nie pojawił się nagle pan Sharkey, prawda?

– Co pan rozumie przez pojawił się?

– Chcę powiedzieć, że milczała pani do czasu, kiedy przed dwoma dniami pan Maynard dowiedział się o panu Sharkeyu.

– Nie wiem, dlaczego tak się stało. Byłam zażenowana, że mogłam nie zauważyć brudu, kiedy sprzątałam dzień wcześniej.

– Pani Sanchez, porozmawiajmy teraz na inny temat. Mówiła pani, że razem z panią Grant długo szukałyście tej bransoletki, czy tak?

– Tak. Nie mogłyśmy jej znaleźć.

– Ale nie wie pani, kiedy została ukradziona, prawda?

– Nie.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Wówczas Robert Maynard wstał z miejsca.

– Wysoki Sądzie, wzywam powtórnie Betsy Grant.

Kiedy usiadła na miejscu dla świadka, zwrócił się do niej łagodnym tonem:

– Pani Grant, to pani bransoletka, prawda?

– Tak. Dostałam ją od Teda na pierwszą rocznicę ślubu – odparła łamiącym się głosem.

– Czy są na niej wygrawerowane pani i jego inicjały?

– Tak.

– Kiedy zauważyła pani jej brak?

– W kilka tygodni po śmierci mojego męża.

– Czy zgłosiła pani kradzież?

– Nie. Nie miałam powodu, by sądzić, że została ukradziona. Poza tym cała biżuteria była w komplecie.

– Czy zgłosiła pani utratę bransoletki swojemu ubezpieczycielowi?

– Nie. Myślałam, że mógł wziąć ją Ted i położyć w innym miejscu. Nie chciałam zgłaszać utraty bransoletki, brać pieniędzy od firmy ubezpieczeniowej, a później gdzieś ją znaleźć. Razem z Carmen szukałyśmy jej wszędzie. Bardzo chciałam ją odnaleźć. Wiele dla mnie znaczyła. Dopiero niedawno zdecydowałam, żeby zgłosić tę stratę, ale zanim zdążyłam to zrobić, sytuacja się zmieniła.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Teraz do miejsca dla świadka podszedł Elliot Holmes.

– Pani Grant, nie ma pani pojęcia, kiedy bransoletka została ukradziona, prawda?

– Nie wiem tego dokładnie. Przez ostatni rok w ogóle jej nie nosiłam, dlatego dopiero później zorientowałam się, że jej nie ma. Ted już nie wychodził z domu, więc nie miałam okazji, by wkładać bransoletkę. Myślę, że ostatni raz miałam ją na balu dobroczynnym.

– Czy kiedykolwiek nosiła pani ten przedmiot o tak dużej wartości sentymentalnej podczas wielu kolacji z Peterem Bensonem w Nowym Jorku?

– Nie, nie nosiłam! – krzyknęła Betsy.

– Czyli bransoletka mogła zostać ukradziona kiedykolwiek w ciągu roku, prawda?

– Nie wiedziałam, że została ukradziona, więc oczywiście nie znam dokładnej godziny jej zaginięcia. Jednak pan Sharkey nigdy przedtem nie pracował w moim domu. Pojawił się dopiero na dwa dni przed śmiercią Teda. Skąd mógłby przedtem wiedzieć coś o moim domu?

– Pani Grant, proszę tylko odpowiedzieć na pytanie – warknął Holmes.

– Mówiłam panu. Nie nosiłam jej cały rok przed śmiercią Teda i nie zdawałam sobie sprawy, że jej nie ma.

– A gdy została pani aresztowana, jej wieloletnia gosposia nigdy nie wspomniała o pobrudzonym dywanie pod oknem w górnej sypialni, prawda?

– Nie, nie wspomniała. Żałuje, że tego nie zrobiła. Jest jej teraz bardzo przykro.

– Nie mam więcej pytań – stwierdził Holmes ze złośliwym uśmiechem.

Betsy opuściła stanowisko dla świadka i wolno podeszła do stołu obrony. Robert Maynard podał jej krzesło.

– Wysoki Sądzie, obrona zakończyła zadawanie pytań – oświadczył.

– Jakaś replika, prokuratorze?

– Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia zwrócił się do przysięgłych, oznajmiając, że zakończono przedstawianie dowodów i mają się stawić jutro o dziewiątej rano, by wysłuchać mów końcowych obu stron.

Josie miała wolne czwartki. Długo spała, a kiedy wstała, myślała o tym, jak to dobrze, że poznała Delaney Wright. To spotkanie otworzyło przed nią nowe perspektywy.

A może spotkałabym się z prokuratorem i powiedziałabym mu, że kiedy wszystko przemyślałam, doszłam do wniosku, że Alan wykorzystał mnie, by stworzyć sobie alibi. Zaczęła układać sobie w myślach rozmowę z prokuratorem. Po pierwsze, przez pół roku nawet nie rozmawiała z Alanem, kiedy nagle zadzwonił i jęczał, jak bardzo za nią tęskni. W miesiącu poprzedzającym śmierć jego ojca spotykali się przynajmniej trzy razy w tygodniu. Pewnego wieczoru zaczął lamentować, jak bardzo martwi się o ojca i jak on sam jest samotny. Twierdził, że urodzinowe przyjęcie ojca wpędzi go w depresję i będzie musiał potem z kimś porozmawiać. Dobra, powiedziałam i zgodziłam się umówić z nim na drinka u O'Malleya, w barze odległym o jedną przecznicę od mojego domu. Przez półtorej godziny wysłuchiwałam jego smutnej historii. Potem powiedział, że nie chce być sam. Błagał mnie, żebym poszła z nim do jego mieszkania, ale wiedząc, jakim jest flejtuchem, zaprosiłam go do siebie.

Jak mówiłam Delaney Wright, myślała Josie, nie wiedziałam, że Alan jest uczulony na koty. On też nie wiedział, że ja przygarnęłam kota. Alan zaczął kichać natychmiast po wejściu do mieszkania, mimo to został. Dziwnym zbiegiem okoliczności jego ojciec został zamordowany właśnie tamtej nocy. Bingo, ja jestem jego alibi!

Od czasu śmierci jego ojca spotykałam się z Alanem przynajmniej raz w tygodniu, ale nie były to prawdziwe randki, tylko udawane. Nie jestem głupia i wiem, kiedy facet jest naprawdę zainteresowany, powiedziała sobie w duchu. Czy on mi chociaż podziękował za potwierdzenie jego historii, kiedy zeznawałam w sądzie? Nie. Dałam mu alibi, a tylko tego chciał.

Mogę to wszystko powiedzieć prokuratorowi, pomyślała Josie. Zostanę ponownie wezwana na świadka. Rozprawię się z tym żalonym palantem, który tak bardzo kochał ojca, ale po jego śmierci miał odziedziczyć miliony.

Josie głaskała kota i nadal rozmyślała. Zadzwonię do Alana i zażądam, żeby dał mi milion dolarów, a jeśli nie, to skontaktuję się z prokuratorem. Poradzę mu, żeby wziął pożyczkę. Kiedy jego macocha zostanie skazana, on dostanie wszystkie pieniądze ojca, ale po zakończeniu procesu pewnie nie zobaczyłabym ani centa.

Myślałaś, że jestem zbyt głupia, żeby to zrozumieć, Alanie, mówiła sobie w duchu Josie. Zabrało mi to chwilę, ale teraz wszystko jest jasne.

Uśmiechała się do siebie, a kot zaczął mruczeć.

Kiedy w czwartek po południu zadzwonił telefon i Alan zobaczył, że to Josie, nie miał ochoty odebrać połączenia. Ale właśnie ona dała mu stuprocentowe alibi, które teraz stało się jeszcze bardziej istotne. Musiał dbać o jej dobre samopoczucie.

– Cześć, Josie – powitał ją ciepło. – Jak się ma moja kochana dziewczynka?

– Twoja kochana dziewczynka ostatnio dużo rozmyślała – odparła prowokacyjnym tonem. – Pozwól, że ci wytłumaczę, o czym tak rozmyślałam.

Słuchając jej, Alan poczuł, że ma lepkie dłonie.

– Josie, nie ma takiej możliwości, żebym zdobył dla ciebie milion dolarów w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie mogę też podpisać zobowiązania, że jestem ci winny taką sumę.

Po dyskusji trwającej dziesięć minut nakłonił Josie do kompromisu. Obiecał, że mogą się spotkać z jego adwokatem i że formalnie przepisze na nią połowę swojego mieszkania. Mówił, że jest przekonany, iż to nie będzie trudne. Gdyby ktoś się tym zainteresował, powie, że ją kocha i chciał jej udowodnić, że bardzo poważnie traktuje ich związek. Po zakończeniu procesu, kiedy dostanie pieniądze, przekaże jej drugą połowę mieszkania.

Po rozmowie Alan rzucił komórkę na stół. Co jeszcze go czeka? Nawet gdyby dostał całe piętnaście milionów, obiecał Scottowi dwadzieścia procent tej sumy. A ten spartaczył robotę. Po urodzinowej kolacji miał wrócić do domu i wstrzyknąć tacie środek, którego skutki sugerowałyby zawał serca. Ale tata obudził się i zaczął go dusić. Wtedy Scott chwycił tłuczek i rozwalił mu głowę.

Alan niechętnie podniósł słuchawkę i zatelefonował do adwokata. Potem oddzwonił do Josie i powiedział jej, że mogą się spotkać w kancelarii o czwartej.

W czwartek rano Delaney zamierzała iść do sądu, by posłuchać zeznań Tony'ego Sharkeya, lecz stwierdziła, że ważniejsza jest rozmowa z Lisą Clifton. Była zdumiona, gdy ta zadzwoniła do niej o ósmej rano z propozycją, by zamiast spotykać się w jej domu, umówiły się na kawę w odległym o prawie osiem kilometrów miasteczku Allendale.

Delaney widziała Lisę na procesie Betsy Grant i zapamiętała współczujący wyraz jej twarzy, natomiast teraz kobieta była spięta i nerwowa. Gorączkowo rozglądała się po restauracji, jakby kogoś szukała.

O dziesiątej nie było tam wiele osób, wydawanie śniadań dobiegało końca. Lisa siedziała w boksie blisko ściany.

Delaney miała reporterski zwyczaj uważnego przyglądania się osobom, z którymi przeprowadzała wywiad. Już w sądzie zauważyła, że Lisa była szczupłą i miała krótkie ciemnoblonde włosy. Pomyślała teraz, że jest bardzo atrakcyjną kobietą. W jej głosie dało się wyczuć napięcie.

– Delaney, jestem pewna, że zauważyłaś, iż bardzo się martwię o Betsy Grant. Jest moją bliską przyjaciółką i na pewno nie zabiła swojego męża.

– Zgadza się z tobą. Natomiast doktor Clifton jest przekonany o winie Betsy. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy to stwarza między wami napięcie.

– Delaney – powtórzyła Lisa, ponownie rozglądając się po sali – moje małżeństwo już nie istnieje. Od początku było błędem. Właśnie widziałam się z agentem nieruchomości. Podpisałam umowę najmu na mieszkanie w Morristown. Wracam do swojej dawnej pracy w Johnson & Johnson. Jutro zabieram swoje rzeczy z domu w Ridgewood.

– Tak mi przykro – powiedziała Delaney.

– Niepotrzebnie – skwitowała Lisa. – Powiedz mi teraz, kto według ciebie zabił Teda.

– Alan Grant ma w tym jakiś swój udział – odpowiedziała bez wahania. – Problem polega na tym, że jego niepodważalne alibi jest zbyt niepodważalne. Po urodzinowej kolacji ojca umawia się ze swoją dawną dziewczyną na drinka. Nalega, by pozwoliła mu zostać u siebie na noc, bo czuje się bardzo samotny. W ten sposób ona i kamery monitoringu w jej budynku dają mu alibi. Alan nie zabił ojca, ale jestem przekonana, że był w zмовie z kimś, kto to zrobił.

Lisa nie odezwała się i znów zaczęła się rozglądać po sali.

Ona coś wie, pomyślała Delaney. Teraz mam jedyną szansę, by skłonić ją do mówienia.

– Liso, czy wiesz, że włamywacz zeznaje pod przysięgą, iż był w domu

Betsy i ukradł jej bransoletkę tej nocy, kiedy zamordowano doktora, i że widział czarnego mercedesa odjeżdżającego spod domu?

– Tak. Słyszałam o tym przez radio.

– Jego zeznania są za mało precyzyjne. Mam na tyle doświadczenia sądowego, by wiedzieć, że prokurator go rozniesie na strzępy – powiedziała Delaney ze smutkiem.

– Też się tego obawiam. – Lisa pokiwała głową.

– A jutro prokurator i adwokat Betsy wygłoszą mowy końcowe, potem sprawą zajmie się ława przysięgłych i Betsy zostanie skazana. – Delaney mówiła podniesionym głosem.

Lisa nie odezwała się, a Delaney nagle eksplodowała.

– Liso, na pewno nie wiesz, że jestem adoptowana. Przyjaciele starali się odszukać moich biologicznych rodziców. W poniedziałek wieczór powiedzieli mi, że Betsy Grant jest moją matką, a Peter Benson ojcem.

Zaskoczona Lisa wpatrywała się w Delaney.

– Teraz widzę, że jesteś do nich podobna – zauważyła, rozglądając się ze strachem po małej salce restauracji. – Delaney, zeznałam, że w noc śmierci Teda mój mąż był w domu przez całą noc. Myślałam, że był. Ale ja poszłam spać na górę, a on powiedział, że poogląda telewizję i napije się szkockiej, by dojść do siebie. Kiedy rano zeszłam na dół, spał w ubraniu na kanapie. Mógł wyjść tamtej nocy i spokojnie wrócić do domu. Nie wiem. Zaczyna mnie o coś podejrzewać. Kiedy wróciłam po spotkaniu z agentem nieruchomości, czekał już w domu i wypytywał, gdzie byłam. Dlatego chciałam się z tobą spotkać tutaj, nie w moim domu.

Delaney utkwiała w niej nieruchome spojrzenie.

– Czy myślisz, że twój mąż mógł zamordować doktora Granta? – spytała.

– Myślę, że to bardzo możliwe. Przed śmiercią Teda Scott i Alan Grant kilka razy spotkali się na lunchu. Zastanawiam się, czy Alan nie zaproponował mu pieniędzy za zabicie Teda. Mógł z łatwością dowiedzieć się od ojca, jaki jest kod do alarmu, zabrać dodatkowy klucz i dać go Scottowi.

Sąd nie dopuści tych zeznań, myślała Delaney. To są tylko przypuszczenia. Lisa już zeznała, że tamtej nocy Scott był w domu. Kiedy wyjdzie na jaw, że się rozwodzą, będzie to wyglądać na zemstę byłej żony, która chce zepsuć reputację byłego męża, opowiadając, że tamtej nocy spał na kanapie.

– Liso, czy mogłabyś zostać ze Scottem, dopóki nie odkryjemy, czy miał jakiś powód, by zabić doktora Granta? – spytała Delaney.

– Nie mogę. – Gwałtownie potrząsnęła głową. – Ja się go boję. Nie dam rady tam dłużej być.

Delaney wiedziała już, że Lisa nie ustąpi.

– Rozumiem – powiedziała. – Ale utrzymuj ze mną kontakt.

– Dobrze. Obiecuję.
Delaney musiała poprzestać na tej obietnicy.

Betsy zawiodła nowo rozbudzona nadzieją, że zeznania Tony'ego Sharkeya zmienią jej sytuację. Tego wieczoru, leżąc już w łóżku, rozmyślała o wydarzeniach dnia.

Nawet gdyby Sharkey udowodnił, że był w domu, wcale nie znaczy, że był tam w tym samym czasie co ten ktoś w czarnym mercedesie. Scott ma taki samochód. Kent też. Oraz wielu mieszkańców Alpine. A co, jeśli w ogóle tam nie było czarnego mercedesa?

Pójdę do więzienia. Wiem o tym. Zaszło jej w ustach, kiedy wyobraziła sobie, jak stoi na sali sądowej, a przewodniczący ławy przysięgłych odczytuje wyrok. Jeśli to morderstwo z premedytacją, dostanę trzydzieści lat albo dożywocie. Jeśli zabójstwo, skazą mnie na dziesięć lat.

Wiem, że jestem niewinna. Może lepiej byłoby znaleźć inne wyjście? W łazience są jeszcze różne leki Teda. Mogłabym zażyć całą garść i zakończyć ten koszmar.

Ta myśl podniosła ją na duchu i Betsy zasnęła.

Peter Benson nie był w stanie usiedzieć w domu i oglądać doniesień medialnych z dwóch ostatnich dni procesu. Jeśli nie mógł być razem z Betsy, chciał chociaż znaleźć się blisko niej. Wyszukał hotel niedaleko gmachu sądu i w czwartek wczesnym rankiem w ciemnych okularach i bejsbolówce wynajął tam pokój. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, natychmiast włączył telewizję. Zainteresowanie procesem było tak wielkie, że dwa ostatnie dni transmitowano na żywo w lokalnym kanale News 12 New Jersey.

Obserwował z nadzieją początek zeznań Sharkeya, do chwili, kiedy prokurator ze zjadliwą ironią zakwestionował opowieść o widzianym przez Tony'ego czarnym mercedesie, wyjeżdżającym spod domu doktora Granta w noc morderstwa.

Kiedy w kamerze ukazywała się Betsy, Peter patrzył z bólem serca, jak obojętnie słuchała zeznań, jakby budowała wokół siebie mur obronny. Wykazywała więcej emocji, mówiąc o zaginionej bransoletce.

Gdy sędzia zarządził przerwę w obradach, zapowiadając, że następnego ranka strony wygłoszą mowy końcowe, Peter zastanawiał się, czy nie pojechać do Alpine i spotkać się z Betsy. Zwyciężył rozsądek. Gdyby zrobiono mu zdjęcie, jak wchodzi do jej domu na dzień przed końcową rozprawą, zrobiłoby to fatalne wrażenie.

Jednak mógł do niej zatelefonować. Założył, że o dziesiątej wieczorem będzie sama, i zaryzykował telefon. Wiedział, że jego imię wyświetli się na komórce, ale Betsy nie odbierała. Zawsze dostępna w jej telefonie poczta głosowa była wyłączona.

Dzwonił do niej pięć minut. Wreszcie odezwała się zaspanym głosem.

– Peter?

– Betsy, czemu nie odbierałaś? Dobrze się czujesz?

– Wzięłam środek nasenny. Bardzo tego potrzebowałam.

– Oczywiście. Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

Betsy popatrzyła na nocną szafkę, gdzie stał słoik pełen proszków. Nie zdobyła się jeszcze na odwagę, by po nie sięgnąć.

– Tak, Peter, przyrzekam, że nic mi nie jest – mruknęła, znów zapadając w sen.

Liso, dlaczego jesteś taka nerwowa? – spytał Scott w piątek rano. – Nie możesz nic przełknąć i trzęsą ci się ręce.

Stwierdziła, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

– Scott, pamiętasz przecież, że albo dzisiaj, albo w przyszłym tygodniu Betsy zostanie prawdopodobnie skazana za morderstwo lub zabójstwo. Dobrze wiesz, jak bardzo ją lubię, i jestem przekonana, że jest niewinna.

– A ty dobrze wiesz, że zabiła mojego bliskiego przyjaciela, partnera i kolegę od trzydziestu lat, rozwalając mu głowę?

Dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Liso – odezwał się Scott – chociaż w tym punkcie mamy zupełnie odmienne zdania, bardzo cię kocham i chcę, żeby o tym wszystkim zapomnieć i wyjechać gdzieś razem.

– Ja też. – Starła się uśmiechać.

Szczególnie podoba mi się propozycja wyjazdu, pomyślała. Miała ochotę wykrzyknąć: Idź do kliniki i na miłość boską zostań tam! Firma przeprowadzkowa będzie tu o dziesiątej.

– Dziwię się, że nie idziesz do sądu, by wysłuchać mów końcowych – powiedział Scott, baczenie się jej przyglądając.

– Nie mogę – odparła twardo. – Nie chcę słuchać tego prokuratora, który chce wsadzić Betsy do więzienia.

– Więc następnym razem będziesz miała szansę zobaczyć ją właśnie w więzieniu. – Scott dopił kawę i wstał. – Podziwiam twoją lojalność, nawet kiedy jest źle ulokowana.

Lisa miała nadzieję, że nie zorientował się, iż cała zeszywniała, kiedy całował ją na pożegnanie.

Wreszcie poszedł. Pobiegnęła na górę, by wziąć prysznic i się ubrać. Walizki miała na strychu. Musiała jak najszybciej opuścić dom. Weszła na strych i zapaliła światło. Komplet walizek stał w rogu pomieszczenia, za dywanami i meblami, które miała zabrać. Kiedy podniosła największą walizkę, coś błysnęło z góry, z krokwi. Zaciekawiona, wyciągnęła rękę, wzięła ten przedmiot i zamarła.

To był tłuczek z czarnego marmuru.

Była absolutnie pewna, że pochodził z sypialni Teda Granta.

Była dziewiąta piętnaście rano. Delaney jechała do sądu taksówką firmy Uber, a była już spóźniona z powodu korków. Nagle zadzwoniła jej komórka.

– Cześć, Liso – powiedziała zdumiona.

W głosie rozmówczyni wyczuła napięcie.

– Delaney, właśnie się pakowałam. Muszę się dzisiaj stąd wyprowadzić. Za godzinę przyjeżdża firma przeprowadzkowa. Kiedy brałam walizkę ze strychu, zobaczyłam, że coś jest na krokwi. Delaney, to był tłuczek. Jestem pewna, że ten od moździerza z pokoju Teda. Dlatego Scott został na parterze w noc śmierci Teda. Zaplanował morderstwo.

– Liso, uspokój się. Gdzie teraz jest Scott?

– W klinice. O dziewiątej miał pacjenta.

– Wsiądź do samochodu i przyjedź do sądu – poleciła Delaney.

Po chwili stwierdziła, że w takim stanie nerwów Lisa może spowodować wypadek.

– Nie, nie rób tego – szybko dodała. – Jestem na Route 4. Za dziesięć minut będę w twoim domu. Zawiozę cię do sądu. Teraz zrób zdjęcie tłuczka na tle jakichś przedmiotów w domu, żeby można było udowodnić, że właśnie tam był. Za chwilę podam ci numer, na jaki masz wysłać zdjęcie.

Delaney zadzwoniła do biura prokuratora, połączyła się z wydziałem zabójstw i wyjaśniła, kim jest.

– Wyślę wam tekst z fotografią. Kluczowy dowód w procesie Betsy Grant. To narzędzie zbrodni.

– Proszę wysłać to na ten numer. – Asystent prokuratora był sceptycznie nastawiony. – Przyjrzymy się temu. obrońca już wygłasza swoją mowę końcową.

Po chwili Delaney połączyła się z Lisą.

– Wyślij zdjęcie do prokuratora. Zapamiętasz numer?

– Chyba tak, ale zapiszę. Proszę, przyjedź szybko.

Może Lisa powinna wyjść z domu i schronić się u sąsiadów, zaniepokoiła się Delaney. Ale było dopiero dwadzieścia pięć po dziewiątej, a Scott miał pacjenta o dziewiątej w swojej klinice w Fort Lee.

O dziewiątej trzydzieści kierowca zatrzymał się przed domem na Cleveland Avenue numer 522.

– Wejdę tylko na minutę – powiedziała. – Proszę poczekać.

Kiedy podbiegała do domu, Lisa otworzyła szeroko drzwi.

– Delaney, pomyliłam numer, jaki mi dałaś. Próbowalam to wysłać, ale nie dało rady.

– Nie szkodzi. Ja wyślę.

Lisa sięgnęła do torebki i wyjęła tłuczek.

– Tutaj jest słaby zasięg – wyjaśniła drżącym głosem. – W kuchni jest lepiej.

Trzymam w ręku narzędzie zbrodni, myślała Delaney, biegnąc przez hol do kuchni. Postawiła tłuczek przed rzędem ozdobnych pojemników i zrobiła zdjęcie. Jednak ani za pierwszym, ani za drugim razem nie udało się go wysłać. Wreszcie trzecia próba się powiodła i wiadomość powędrowała do biura Holmesa.

Nie zdążyła wyjść z kuchni, kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi przez drzwi frontowe.

– Wychodzisz, Liso? – spytał Scott Clifton.

Delaney tymczasem dzwoniła na 911.

– Pomocy! Zabójca na Cleveland Avenue numer 522. Nie rozłączajcie się. Będą dalsze informacje.

Zanim uzyskała odpowiedź od operatora, uniosła telefon, by nagrywać rozmowę. Wyraźnie słyszała ich głosy. Lisa usiłowała zachować spokój.

– Och, Scott, myślałam, że masz pacjenta.

– Przesunął godzinę wizyty. Dokąd się wybierałaś? – spytał podniesionym głosem.

– Do fryzjera. Zrobić sobie srebrne pasemka do włosów blond.

– Pytałem, dokąd idziesz? – Popatrzył na nią badawczo.

Dobrze robisz, Liso, pomyślała Delaney. Graj na zwłokę.

– Scott, chciałam uniknąć awantury. Ciężarówka firmy przeprowadzkowej przyjedzie tu o dziesiątej, żeby zabrać moje rzeczy ze strychu. Zostawiłam obrączkę i pierścionek zaręczynowy na komodzie.

– Wiedziałem, że coś knujesz. Chodźmy na strych, żeby zobaczyć, czy nie wzięłaś czegoś, co należy do mnie.

Popychał Lisę po schodach, a Delaney wślizgnęła się do holu. Nagle usłyszała krzyk Scotta.

– Wiem, że go masz. Gdzie on jest?

– Ty morderco – krzyczała Lisa, zbiegając ze strychu. – Chciałeś, żeby Betsy poszła do więzienia za to, co ty zrobiłeś. Zabiłeś Teda!

Delaney wśliznęła się do salonu, by jej nie zauważył. Serce biło jej jak oszalałe. „Proszę, przyjedźcie szybko”, powtarzała w myślach.

Lisa próbowała otworzyć drzwi frontowe, ale Scott zaraz ją odepchnął. Trzymał dłonie na jej gardle i ją dusił.

– Oddaj mi go – krzyczał. – Musiałaś się wtrącać?

Delaney włożyła komórkę do kieszeni i znów wbiegła do holu.

– Alan obiecał mi milion dolarów. – Scott zaciskał ręce na gardle żony. – A dwa razy tyle, kiedy Betsy zostanie skazana.

Delaney wiedziała już, co ma zrobić. Podniosła tłuczek i uderzyła nim Scotta

w głowę. Puścił Lisę i rzucił się na nią. Z rany na jego czole leciała krew.

Znów wycelowała w niego tłuczkiem, tym razem trafiła go w policzek. Nagle Scott wyrwał jej przedmiot i zamierzył się na nią.

Cofnęła się gwałtownie i cios ją ominął. Kiedy znów podniósł tłuczek, drzwi frontowe nagle się otworzyły i wpadło trzech policjantów z wyciągniętą bronią.

– Nie ruszaj się, ręce do góry! – krzyknął jeden z nich.

Delaney wyciągnęła telefon z kieszeni żakietu.

– Dotarło to do was? Dotarło to do was? – pytała łamiącym się głosem.

– Wszystko dotarło – usłyszała stanowczy głos operatora 911. – Czysto i wyraźnie.

Odetchnęła z ulgą.

– Wyślijcie zaraz to nagranie na ten numer. Do biura prokuratora.

Elliot Holmes napawał się smakiem zwycięstwa w najbardziej nagłośnionym procesie w swojej karierze i słuchał płomiennej mowy końcowej Roberta Maynarda. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wygłosi swoją.

Nagle na salę sądową wpadł asystent prokuratora i podbiegł do jego stolika.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – warknął Holmes.

– Jest to naganne zakłócenie przebiegu rozprawy – powiedział zirytowany sędzia Roth. – Przeszkadza pan obronie i dekoncentruje przysięgłych.

– Serdecznie przepraszam Wysoki Sąd, przysięgłych i adwokatów obrony. – Prokurator Holmes wstał z miejsca. – Proszę dać mi jeszcze chwilę.

Wziął komórkę od asystenta i patrzył na zdjęcie Scotta Cliftona, którego otaczali policjanci, a jeden z nich trzymał tłuczek. Poniżej zdjęcia był SMS wyjaśniający sytuację. Elliot Holmes wiedział, że już jest po sprawie.

– Wysoki Sądzie, proszę o piętnaście minut przerwy, by wysłuchać nagrania z tego telefonu. Może okazać się kluczowe dla wyniku procesu.

Sędzia zorientował się, że wydarzyło się coś niezwykłego.

– Zarządzam krótką przerwę – oświadczył. – Proszę, żeby przysięgli nie rozmawiali na temat tego incydentu.

– Betsy, nie wiem, o co chodzi – powiedział Robert Maynard podczas przerwy – ale czuję, że to coś dla nas dobrego. W innym wypadku nie przerwaliby mojej mowy końcowej.

Po dwudziestu minutach zszokowany Elliot Holmes zwrócił się do zebranych:

– Wysoki Sądzie, prokuratura zawsze dąży do zagwarantowania sprawiedliwości. Otrzymałem informację, że w ciągu ostatniej godziny doktor Scott Clifton został aresztowany w swoim domu, gdzie znaleziono też marmurowy tłuczek. Wysłuchałem także nagrania z przebiegu aresztowania, na którym odnosi się do zamordowania doktora Edwarda Granta. Był za to odpowiedzialny razem z Alanem Grantem. Wysoki Sądzie – Holmes mówił łamiącym się głosem – muszę przyznać, że nastąpiła tragiczna pomyłka sądowa. Stan New Jersey nie uważa już, że Betsy Grant zabiła swojego męża ani że w jakikolwiek sposób była zamieszana w morderstwo. Stan New Jersey wyraża głęboki żal za przysporzenie jej tak wielu cierpień. Wysoki Sądzie, stan New Jersey oddała akt oskarżenia.

Na sali sądowej rozległy się okrzyki radości. Sędzia poprosił o ciszę.

Betsy myślała tylko o tym, że w nocy omal nie połknęła garści środków nasennych.

– Wysłuchałem wypowiedzi prokuratora na temat niezwykłych wydarzeń

dosłownie z ostatniej godziny – przemówił sędzia Roth. – Na tej podstawie prokurator uznaje oskarżoną Betsy Grant za niewinną. Prokurator przyznał, że nastąpiła okropna pomyłka sądowa. Na szczęście nowe dowody zostały ujawnione jeszcze przed zapadnięciem wyroku. Gdyby została uznana za winną, groziłoby jej długie więzienie. – Sędzia zamilkł na chwilę. – Oskarżenie zostaje oddalone. Pani Grant, jest pani wolna, a sąd życzy pani wszystkiego dobrego.

Zebrani ponownie wyrazili swoją radość, a Betsy powtarzała w myślach: Jestem wolna! Jestem wolna.

Gdy powoli wstawała z krzesła, Robert Maynard objął ją ramieniem. Betsy podziękowała sędziemu. Natomiast Peter Benson, który w pokoju hotelowym słuchał mowy końcowej Roberta Maynarda, przybiegł do sądu, kiedy Elliot Holmes prosił sędziego o zarządzenie przerwy, by mógł zapoznać się z nową informacją, jaką właśnie otrzymał. Usiadł w ostatnim rzędzie, słuchając uważnie, co Holmes tłumaczył sędziemu, prosząc o oddalenie oskarżenia.

Kiedy tylko sędzia powiedział Betsy, że jest wolna, Peter ruszył w stronę stołu obrony. Funkcjonariusz z biura szeryfa próbował go zatrzymać, ale sędzia wyraził gestem przyzwolenie. Betsy i Maynard skierowali się do wyjścia, gdy zobaczyła zbliżającego się Petera. Maynard odsunął się, a Peter objął ją ramieniem.

– Zaopiekuję się nią. – Spojrzał Betsy w oczy. – Teraz i zawsze.

Dopiero po upływie trzech dni Delaney zadzwoniła do Betsy z pytaniem, czy mogłaby ją odwiedzić.

– Oczywiście. Wiem, że stałaś po mojej stronie. Byłam ciekawa, dlaczego nie składałaś sprawozdania z ostatniego tygodnia procesu.

– Wszystko wytłumaczę – odparła Delaney. – Czy zastanę też pana Bensaona?

Jak się mogła spodziewać, usłyszała, że tak.

Kiedy jechała do Alpine, serce podchodziło jej do gardła. Przywitała się z Betsy i Peterem, po czym wszyscy usiedli w salonie. Delaney zacisnęła dłonie i drżącym głosem oznajmiła:

– Chcę wam coś wyznać. Dowiedziałam się o tym dopiero kilka dni temu. Betsy, mówiłaś w sądzie, że każdego dnia tęskniłaś za swoim dzieckiem. Ja każdego dnia tęskniłam za swoją biologiczną matką. – Popatrzyła na Betsy i Petera. – A teraz znalazłam nie tylko swoją matkę, lecz również ojca.

Betsy i Peter spojrzeli na nią z niedowierzaniem, starając się zrozumieć, co chce im powiedzieć.

– Urodziłam się przy Oak Street numer 22 w Filadelfii – mówiła dalej Delaney – szesnastego marca dwadzieścia sześć lat temu. Moimi dziadkami byli Martin i Rose Ryanowie...

Epilog

Sześć miesięcy później

Alan Grant i doktor Scott Clifton zostali oskarżeni o zamordowanie doktora Edwarda Granta i czekają na proces. Doktor Clifton jest także oskarżony o usiłowanie zabójstwa Lisy Clifton. Ich adwokaci chcą, by zeznając, obciążali się wzajemnie. Obu grozi dożywocie.

Prowadząc swoje śledztwo, Jonathan odkrył dowody, że doktor Clifton dostarczył Stevenowi leki, które po przedawkowaniu doprowadziły do jego śmierci. Doktora Cliftona czeka więc kolejny proces.

Tony Sharkey dostał trzy lata więzienia za usiłowanie włamania do domu w Saddle River. Na prośbę Betsy Grant nie pociągnięto go do odpowiedzialności za włamanie do jej domu. Po odczytaniu wyroku powiedział sędziemu Rothowi, że ostatecznie wcale nie wyszło źle.

Tydzień po zakończeniu procesu, kiedy Carmen pakowała książki medyczne, by wysłać je do doktora Adamsa, odkryła, że jedna z nich była wydrążona. Znalazła tam trzy bloczki recept doktora Granta, wypisane i podpisane rzekomo przez niego. Czy właśnie tych bloczków tak desperacko szukał?

Alvirah zatelefonowała do Sama, by mu powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie odczuwa potrzeby wymiany płytek w swoim apartamencie, ale prosi go, by przyjął czek w wysokości pięciu tysięcy dolarów; chce w ten sposób okazać mu wdzięczność za bezcenne informacje. Sam wylewnie jej podziękował i zapewnił, że gdyby potrzebowała nowych płytek...

Betsy i Peter pobrali się w kościele St. Francis Xavier, ślubu udzielił im wielebny Quinn. Kiedy Betsy, piękna w swojej koronkowej sukni w kolorze szampana, i Peter w granatowym garniturze i srebrnym krawacie wymawiali słowa przysięgi, Delaney miała łzy w oczach. Moja matka, mój ojciec, myślała.

Delaney była druhną Betsy, a drużbą Petera – jego najlepszy przyjaciel profesor Frank Reeves.

Przyjęcie odbyło się w domu Betsy w Alpine. Jennifer Wright przygotowała album ze zdjęciami Delaney od chwili, kiedy dziewczynka miała tylko kilka dni, jako prezent ślubny dla Betsy.

– Jest tu wszystko o niej, od samego początku – powiedziała z uśmiechem, wręczając album Betsy.

Delaney spytała Betsy i Petera, czy może mówić do nich po imieniu. Natychmiast zrozumieli, o co jej chodzi. Jennifer była szczęśliwa, że tylko ją

Delaney nazywać będzie mamą.

Tego wieczoru połączono przyjęcie ślubne oraz zjazd rodzinny. Byli tam Jennifer i James Wrightowie, bracia Delaney z żonami, matka Petera, Alvirah i Willy, dzięki którym to się dokonało, Lisa Clifton i ukochana niania Delaney, Bridget O'Keefe. Moja rodzina, myślała z radością Delaney.

– Już lepiej być nie może – zauważył Jon, podchodząc do Delaney z dwoma kieliszkami szampana.

Popijając szampana, Delaney popatrzyła na Bridget, zatopioną w rozmowie z Alvirah. Przypomniała sobie ostrzeżenia niani: „Kiedy wszystko jest dobrze, kłopot czai się za rogiem”.

Ale nie tym razem, Bridget, pomyślała rozradowana. „Czuję to w kościach”, jak mówiłaś, mając pozytywne nastawienie.

Podziękowania

Znów i jak zawsze chciałabym podziękować mojemu odwiecznemu wydawcy i drogiemu przyjacielowi, Michaelowi Kordowi. Prowadził mnie od pierwszej strony aż do tego wspaniałego zwrotu „koniec”. To wielkie szczęście mieć takiego wydawcę od tylu lat.

Pragnę także wyrazić wdzięczność Marysue Rucci, redaktor naczelnej w Simon & Schuster. Wspaniale się z nią pracowało przez kilka ostatnich lat.

Wiele radości sprawia mi praca z domownikami. Mój syn David stał się pełnoetatowym znakomitym asystentem i researcherem.

Jak zwykle, inne moje dzieci chętnie podejmowały się pierwszego czytania i od początku dzieliły się swoimi opiniami.

Tradycyjnie podziękowania należą się Nadzwyczajnemu Małżonkowi, Johnowi Conheeneyowi, który przez dwadzieścia lat słucha, jak mówię, że ta książka mi nie wyjdzie.

Nadine Petry, moja długoletnia asystentka i prawa ręka, ma talent do odczytywania mojego fatalnego charakteru pisma. Dzięki, Nadine.

Kiedy czterdzieści jeden lat temu ukazała się moja powieść, *Gdzie są dzieci?*, nigdy bym nie przypuszczała, że wciąż będę pisać. Cieszy mnie wymyślanie nowych postaci i sytuacji, w jakich się znajdują.

Jak już mówiłam, „koniec” jest moim ulubionym słowem. Nie byłoby go jednak bez pierwszego zdania, które zachęca cię, drogi czytelniku, do przewracania stron.

Dziękuję, że nadal podobają się wam moje opowieści.

Pozdrowienia i szczęście Boże,

Mary

